

Wagon pocztowy Gm 38552

Edigey Jerzy



calibre 0.9.27

Edigey Jerzy

Wagon pocztowy Gm 38552

I. Ekspres rusza w drogę

Pociąg pośpieszny gotowy był już do odjazdu. Podróżni ulokowali się możliwie najlepiej w przedziałach. Jeszcze tylko przed wagonami komunikacji międzynarodowej stały, nieliczne zresztą, grupki odprowadzających. Wymieniano ostatnie pożegnania; szczęśliwcom mającym w kieszeni paszporty zagraniczne udzielano ostatnich rad przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Wieczór nie przyniósł ochłody ani nie spełnił nadziei na deszcz. Nadal było gorąco. Zarówno wyjeżdżającym, stojącym w oknach swoich przedziałów, jak odprowadzającym parne powietrze wyciskało krople potu na twarzach. Jak zwykle w takich razach dwa wózki ustawione na peronie nie mogły podróżnym ofiarować niczego więcej poza słodyczami i bułkami z kielbasą. Całe szczęście, że konduktorzy wagonów sypialnych zaopatrzyli się przezornie w parę skrzynek piwa i oranżady. Do granicy powinno wystarczyć. Bardziej przewidujący podróżni z wagonów idących jedynie do Katowic zabrali jeszcze z domu najrozmaitsze płyny. Teraz więc wyciągali z walizek i teczek butelki lub termosy, aby ugasić narastające pragnienie.

Przy wagonie bagażowym kolejarze kończyli załadunek. Wielkie, pękate kufry i rozmaite walizy podawane z dwóch wózków stojących tuż przy drzwiach brankarda znikwały we wnętrzu wagonu. Kolejarze śpieszyli się. Do elektrycznej lokomotywy zbliżał się właśnie dyżurny ruchu. Wielki zegar umieszczony przy wejściu na peron pokazywał, że do odjazdu zostało niespełna dwie minuty.

W otwartych drzwiach wagonu pocztowego, przyczepionego do pociągu między brankardem a jednym z wagonów sypialnych, stało dwóch ludzi w mundurach pocztowców. Trzeci, widoczny we wnętrzu wagonu, zdjął kurtkę mundurową i zawinawszy rękawy koszuli porządkował ostatni, przyniesiony przed chwilą plik listów dworcowych. Z tym zawsze jest najwięcej kramu. Instytucje, korzystające z listów dworcowych, z reguły dostarczają je w ostatniej chwili i najczęściej bezpośrednio do wagonu pocztowego. Poczta dworcowa nie ma więc ani czasu, ani możliwości odpowiedniego posegregowania tych przesyłek według „szlaków”. Trzeba to robić pośpiesznie tuż przed odjazdem pociągu i w czasie jazdy. Ta praca musi być zakończona przed przybyciem pociągu do najbliższej stacji. Jeszcze pół biedy z przesyłkami, które adresowane są do odbiorców w miejscowościach planowego postoju. Gorzej natomiast, gdy trzeba sprawdzać, na której stacji należy oddać przesyłkę, aby jak najszybciej mogła ona powędrować dalej, do miejsca przeznaczenia.

Starzy pracownicy wagonów pocztowych znają na pamięć zarówno cały rozkład jazdy, jak spis wszystkich urzędów pocztowych. Nie mylą się prawie nigdy. Natomiast ci, którzy stosunkowo niedawno trudnią się odpowiedzialną obsługą wagonu pocztowego, mają nie lada kłopoty.

- Bagiński! Gdzie może być Stara Wieś nad Pilicą? Cholery nie napisali nawet powiatu -

martwił się segregujący listy dworcowe.

- Stara Wieś nad Pilicą? - zapytany nie odwrócił nawet głowy. - Oddasz w Koluszkach, żeby przesłali na Tomaszów. Stamtąd trzeba autobusem.

- A Myślenice?

- Najlepiej do Katowic. Z Katowic prześlą autobusem pośpiesznym do Zakopanego. Po drodze są Myślenice.

Duża sterta żółtych z czerwoną obwódką listów szybko zmieniała się w mniejsze paczuszki. Teraz trzeba jeszcze każdą z tych kupek włożyć do odpowiedniej przegródki. W ciągu minuty postoju można będzie nieomylnym ruchem ręki wyjąć zawartość skrytki i wręczyć czekającemu już przed wagonem przedstawicielowi miejscowego urzędu pocztowego.

Na podłodze wagonu leżały worki z pocztą. Z tym było najmniej kramu. Rozdzielnia dostarczyła już przesyłki pocztowe w workach z podziałem na szlaki i z adnotacją, na której stacji je wyładować. O resztę zatroszczą się na samej stacji, gdzie oczekujący wózek pocztowy przejmie cenny bagaż. Przeworna obsługa wagonu pocztowego ułożyła worki w kolejności stacji, na których zatrzyma się pośpieszny. A więc tuż przy wejściu leżały worki przeznaczone do wyładowania w Koluszkach. Zaraz za nim pokażna sterta dla Częstochowy. Dalej Sosnowiec, Katowice, Bielsko - i niewielki worek, tylko do połowy wypełniony, do Zebrzydowic - ostatniej, granicznej stacji. Po drugiej stronie wagonu pocztowego znajdowały się worki zawierające przesyłki zagraniczne. Te były adresowane jedynie do poszczególnych państw. Wszystkie zostaną na granicy przeładowane do czeskiego wagonu, a pocztowej czechosłowaccy skierują je dalej, do miejsca przeznaczenia.

- Gotowe? - zapytał przechodząc obok dyżurny ruchu.

- Gotowe, naczelniku - odpowiedzieli dwaj pocztowcy stojący w drzwiach.

Dyżurny ruchu zbliżył się do lokomotywy. Zamienił kilka słów z maszynistą wychylonym przez owalne okienko elektrycznej maszyny i podał mu „drogę” - diagram stwierdzający, że pociąg pośpieszny opuścił stację Warszawa Główna zgodnie z rozkładem jazdy i ma wolną drogę aż do Koluszek.

- Uwaga, uwaga! - rozległ się ochryply dźwięk głośników stacyjnych. - Pociąg pośpieszny do Rzymu, Belgradu, Pragi Czeskiej przez Koluszki, Częstochowę, Katowice, Bielsko-Białą i Zebrzydowice odchodzi z peronu drugiego. Proszę wsiadać, drzwi zamykać. Życzymy odjeżdżającym przyjemnej podróży.

- *Wnimanije, wnimanije.*

- *Attention, attention...*

- *Achtung, Achtung...*

Różne kobiece głosy, zniekształcone przez niedostrojone magnetofony, powtórzyły zapowiedź

odjazdu pociągu po rosyjsku, francusku, angielsku i niemiecku. Po otrzymaniu takiej porcji pożegnań podróżni obrzucali ostatnim spojrzeniem coraz bardziej wyludniony peron. Wszystko było gotowe do odjazdu. Wzdłuż pociągu, przy otwartych drzwiach wagonów, siali konduktorzy wpatrując się w postać dyżurnego ruchu.

A dyżurny jeszcze raz popatrzył na zegarek, podał rękę maszyniście, cofnął się o dwa kroki i podniósł w górę swój lizak - laseczkę zakończoną białym kółkiem z zielonym otokiem. Widząc ten gest wszyscy konduktorzy podnieśli ponad głowy zapalone latarki - znak, że i oni gotowi do drogi.

- Odjazd! - zakomenderował pan w czerwonej czapce.

Maszynista Mikołaj Pietrzak ruchem, który osiąga się dopiero po latach doświadczeń, przesunął dźwignię. Ponieważ jego pomocnik, Stefan Witecki, zwolnił już przedtem hamulce pneumatyczne, potężne, trzydziestodwutonowe „Bobo” tylko przez chwilę mocowało się z siłą bezwładności masy pociągu. Elektryczne motory zwyciężyły i koła lokomotywy drgnęły. Łańcuchy łączące elektrowóz z resztą pociągu napięły się do granic wytrzymałości. Drugi skład wagonów ruszył wolno do przodu. Ruch ten był tak delikatny, że większość podróżnych uświadomiła go sobie dopiero wówczas, gdy pociąg ujechał pierwsze kilkanaście metrów.

Teraz maszynista przesunął dźwignię szybkości na dalszą pozycję. Motory elektryczne zaczęły pracować coraz potężniej, a pociąg nabierał pędu. Kiedy ostatnie wagony mijaly początek peronu, wielki szybkościomierz, umieszczony na pulpicie sterowniczym lokomotywy, wskazywał szybkość ponad piętnaście kilometrów. Za chwilę wzrosła ona do trzydziestu, a wkrótce do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Mikołaj Pietrzak wiedział, że wystarczy jeszcze jedno drgnienie ręki i pociąg nabierze większego pędu. Wiedział też jednak, że zanim wyrwie się ostatecznie z Warszawy, napotka jeszcze setki zwrotnic i skrzyżowań. Toteż ręka maszynisty pozostała spokojna i pociąg, dudniąc i podskakując na rozjazdach, szedł cały czas równo i z niewielką szybkością.

Mechanik i jego pomocnik, każdy z innej strony, uważnie wpatrywali się w morze różnokolorowych świateł. Jedne błyszczały z dziesięć metrów ponad torami - to semafony. Inne znajdowały się niewiele niżej niż stanowiska prowadzących elektryków. Przejeżdżając tak ruchliwą i tak rozciągniętą stacją, jak Warszawa Główna, Warszawa Zachodnia i Warszawa Rozrządowa, trzeba było również zwracać najwyższą uwagę na tarcze sygnalizacyjne. Tuż przy ziemi, niby kolorowe robaczki świętojańskie, świeciły latarnie zwrotnic. Tutaj należało uważać nie tylko na kolor światła, ale jednocześnie na jego kształt. Wprawdzie blokada elektryczna sprawia, że cała linia na dużym odcinku jest zawsze jednakowo ustawiona, ale najlepszy nawet motor zwrotnicy może się przecież zepsuć. Podobnie może zawieść aparat kontrolny w nastawni. Nie może tylko sprawić zawodu człowiek prowadzący pociąg z kilku tysiącami ludzi. Ich życie w dużej mierze zależy do tego, czy Mikołaj Pietrzak i Stefan Witecki dobrze orientują się w tym mrowiu świateł sygnalizacyjnych. Nic więc dziwnego, że obydwaj z uwagą pełną nerwowego napięcia czuwaliby przy pulpicie sterowniczym swojego „Bobo”.

Gdy już mijali pajęczynę torów Rozrządowej, Pietrzak przesunął rygiel dźwigni szybkości. Wskazówka szybkościomierza, stojąca prawie nieruchomo na pięćdziesiątce, leniwym ruchem

zaczęła posuwać się w górę i doszła do siedemdziesiątki. Maszynista uznał, że tej szybkości nie należy przekraczać. Niedługo czeka nowa przeszkoda - budujący się od wielu lat tunel pod torami przy stacji podmiejskiej Warszawa Włochy. O, widać już zresztą tarczę sygnalizacyjną, nakazującą zmniejszenie szybkości!

Przed samym wjazdem na prowizoryczne torowisko nad tunelem ekspres miał przepisowe sześć kilometrów. Nie darmo Mikołaj Pietrzak od osiemnastu lat był maszynistą PKP. Początkowo prowadził parowozy, a przed siedmiu laty uzyskał nowe kwalifikacje maszynisty elektrowozów. Zanim jednak zajął stanowisko z prawej strony lokomotywy, przez kilka lat wrzucał węgiel pod kocioł jako palacz, a później pełne dziesięć lat przesiedział po lewej stronie, na stanowisku pomocnika, tam gdzie dzisiaj znajduje się Stefan Witecki.

Po minięciu fatalnej przeszkody szybkość ekspresu znowu wzrosła.

Za Pruszkowem po raz pierwszy przekroczyli osiemdziesiątkę. Mknęli teraz mając „95” na zegarze kontrolnym. Do Skierniewic droga prosta i bez żadnych przeszkód.

Noc była ciemna. Światła w mijanych osiedlach i wsiach świeciły coraz rzadziej i coraz słabiej.

- Psiakrew - zauważył Witecki - prawie północ, a gorąco jak w łaźni. Napijesz się? Żona dała mi na drogę całą bańkę kompotu. Prosiłem, żeby zrobiła mało słodki.

- Daj - ucieszył się maszynista - ja mam tylko wodę. Chciałem kupić parę butelek oranżady, ale nie mieli na dworcu. Gotów byłem wziąć nawet butelkę piwa, ale gdzie tam! Nie było ani kropli.

- W taki upał to od rana niczego dopicia nie dostaniesz na stacji - odpowiedział pomocnik częstując kolegę kompotem.

- A dlaczego w Katowicach, a nawet w Częstochowie zawsze mają? Tylko w Warszawie taka posucha - złościł się Pietrzak wypróżniając kubek jednym haustem. - Dziękuję ci bardzo, świetny kompot.

Spojrzał na zegarek i na diagram.

- Jedziemy według rozkładu, za trzy minuty będą Skierniewice.

Kiedy pociąg mijał oświetloną stację, na peronie stał dyżurny ruchu. Dawał znak trzymaną w rękę chorągiewką, że wszystko w porządku. Poznał wychylonego przez okno Witeckiego i kiwnął mu na pożegnanie. Pomocnik maszynisty również pozdrowił znajomka. Skoro jeździ się tyle lat na tej samej trasie, to zna się nie tylko ludzi zatrudnionych na stacjach, ale nawet każde większe drzewo rosnące przy torze.

Za Skierniewicami szybkościomierz po raz pierwszy przekroczył setkę. Ale nie na długo. Niedaleko był przecież słynny „zakręt śmierci”. Wprawdzie kilkakrotnie go przebudowywano i od lat nie było ani jednego wypadku, ale stary kolejarz - Pietrzak - pamiętał o tym fatalnym miejscu. Jego ojciec, również maszynista, opowiadał synowi - jeszcze wówczas dziecku, o tragicznych

katastrofach, które nieraz tam się zdarzały. Jak wszyscy maszyniści starej daty Pietrzak wołał więc znowu nieco przyhamować rozpędzony sznur wagonów. Za to gdy tylko wysoki nasyp wśród lasu łagodnym łukiem przeszedł znowu we wstęgę prostych, biegnących w nieskończoność szyn, motory potężnego „Bobo” zaczęły pracować na wszystkich obrotach. Szybkościomierz zatrzymał się aż na „115”. Tej szybkości nie należało przekraczać. Po takim upalnym dniu śruby trzymające szyny mogły się nieco rozluźnić. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Do Kuluszek i tak przyjadą o czasie.

Ekspres Warszawa-Rzym pędził teraz wśród zupełnych ciemności. Za Skierniewicami stacje spotykano rzadziej. W mijanych wioskach ludzie dawno spali po dniu ciężkiej pracy. Połowa lipca, żniwa w całej pełni.

Przed Kuluszkami minęli blok. Na oświetlonej galeryjce dyżurny blokowy dawał znak, że wszystko w porządku. Do Kuluszek nie ma żadnych przeszkód.

- Tarcza sygnalizacyjna Kuluszki - meldował Witecki - droga wolna.

- Wjazdowy semafor podniesiony. Droga wolna - jak echo odpowiedział Pietrzak.

Minęli semafor i za chwilę pod kołami zadudniły pierwszo rozjazdy. Dwa biegnące równolegle do siebie tory szybko zamieniały się w całą pajęczynę dużej stacji towarowej. Pietrzak jeszcze raz sprawdził godzinę na swoim zegarku. Mieli około dwóch minut rezerwy. Maszynista ponownie ustawił dźwignię szybkości na zero, a pociąg jedynie własnym rozpędem przelatował przez mrowisko zwrotnic i rozjazdów. Już z daleka widać było nad torami wiadukt dla pieszych i tuż za nim oświetlone perony stacyjne.

Kuluszki to ważna stacja. Zatrzymują się tutaj wszystkie pociągi, ekspresy i pośpieszne międzynarodowe. Codziennie przez Kuluszki przepływa strumień ludzi. Chyba tylko dlatego, aby pokazać coś, czego nie spotyka się w całej Europie, stację osobową w Kuluszkach pozostawiono w takim samym stanie, w jakim opuścił ją ostatni pułk Kozaków Dońskich Gwardii Jego Wielicestwa Mikołaja Aleksandrowicza, w sierpniu 1915 roku... Kozacy wysadzili wtedy w powietrze dworzec kolejowy i podpalili resztę budynków stacyjnych. Jak twierdzą starzy ludzie, pamiętający epokę pierwszej wojny światowej, pod wieczór tego dnia spadł deszcz i sprawił, że reszta budynków kolejowych nie spaliła się doszczętnie. Spłonęły tylko dachy i wyższe piętra. Domy rozebrano do parteru, przykryto prowizorycznym dachem z desek i papy oraz urządzono w nich prowizoryczny dworzec.

Prawdę powiedział jakiś mądry filozof, że prowizorki są najtrwalszą rzeczą na świecie. Parterowe budyneczki, z daleka bardziej podobne do psich bud, stoją niezmiennie od lat pięćdziesięciu. Kto wie, może „złote gody” tej prowizorki będą obchodzone specjalną akademią?

Straciwszy cały pęd, pociąg sunął wolno wzdłuż peronu. W otwartych drzwiach wagonów stali konduktorzy. Za nimi podróżni kończący tutaj swoją jazdę. Maszynista Pietrzak podjeżdżał w tempie pozwalającym zatrzymać skład pociągu w odpowiedniej chwili, tak aby dwa stojące na peronach wózki znalazły się - jeden przed wagonem pocztowym, drugi przed brankardem. Dawniej, gdy Pietrzak prowadził parowóz, musiał nie mniej zręcznie wycyrklować zatrzymanie się pociągu, aby tender lokomotywy znalazł się przy ramieniu wodociągu. Teraz było to zbyt łatwe. „Bobo” nie pijało

wody...

Szerokie drzwi brankardu rozsunęły się z lekkim zgrzytem” Kolejarze szybko wyładowywali z wnętrza wagonu” bagaże i przesyłki ekspresowe. Następnie, równie sprawnie, ładowano przesyłki, które trzeba było zabrać z Koluszek w dalszą drogę.

Ale przy wagonie pocztowym sytuacja była zupełnie inna. Dwóm pocztowcom stojącym przy wózku pełnym worków nikt nie otworzył drzwi.

- Pospali się czy co? - zawołał jeden z listonoszy i uderzył pięścią w zamknięte drzwi, gdy energiczne poruszanie klamką nie dało rezultatu.

- Cholera ich wie! Nie otwierają.

- Panowie, pośpieszcie się! - zawołał dyżurny idąc w stronę lokomotywy. - Dwie minuty postoj.

- Pociąg pośpieszny z Warszawy do Rzymu i Belgradu przez Częstochowę, Katowice, Pragę Czeską stoi na peronie czwartym gotów do odjazdu - przypominał megafon. - Proszę wsiadać, drzwi zamykać.

- Otwierajcie! - denerwował się pracownik poczty. - Uderzał w drzwi już nie pięścią, lecz jakimś metalowym przedmiotem. Uderzenia te słyhać było chyba aż na Wiadukcie. Mimo to nikt nie otwierał drzwi wagonu pocztowego.

II. Czyżby zbrodnia...?

Drugi z pocztowców podtoczył wózek pod okna wagonu. Teraz wszedł na wózek, usiłując zajrzeć do wnętrza. Widocznie zobaczył coś niezwykłego, bo natychmiast zeskoczył na peron.

- Wszyscy leżą - wyjąkał - chyba nieżywi. Dwaj na stole, a trzeci na podłodze.

Za chwilę obydwaj stojący na wózku zagłądali do wagonu. Nie ulegało wątpliwości, że Wiśniewski miał rację. Najwyraźniej widać było dwóch ludzi w białych koszulach, bezwładnie opartych o blat stołu. Trzeci, ubrany w mundur pocztowca, nieruchomy, rozciągnięty był na podłodze. Wprawdzie zagłądający nie widzieli jego głowy, bo zasłaniał ją jakiś worek pocztowy, zorientowali się jednak, że i ten na podłodze nie daje znaku życia.

- Gotowe? - dobiegł głos od strony lokomotywy. To dyżurny ruchu, przygotowany do odprawienia pociągu pośpiesznego, sprawdzał, czy można dać sygnał odjazdu.

- Gotowe! - odkrzyknęli kolejarze z brankardu.

- Gotowe! - kolejno powtarzali konduktorzy podnosząc w górę latarki.

- Pociąg pośpieszny do Rzymu i Belgradu przez... - monotonicznie zapowiadał megafon - odjeżdża z peronu czwartego...

Feliks Wiśniewski, stary listonosz, któremu tylko niewiele lat zostało do dobrze zasłużonej emerytury, oprzytomniał pierwszy. Zeskoczył z wózka i pobiegł do dyżurnego ruchu.

- Panie Koma rek - wołał - nieszczęście! W wagonie pocztowym drzwi zamknięte, a wewnątrz nie żyją!

- Kto nie żyje? Jakie drzwi - denerwował się dyżurny ruchu, podnosząc właśnie w górę swój lizak.

- Wagon zamknięty, a wewnątrz leży trzech ludzi. Nie otwierają drzwi i nie ruszają się. Pewnie nie żyją.

Dyżurny ruchu Stanisław Komarek opuścił lizak. Widząc to konduktorzy również zgasili latarki. Jeszcze nie wiedzieli, co się stało, ale z ruchu ręki pana w czerwonej czapce wyczytali, że odjazd został w ostatniej chwili odłożony wskutek jakiejś nieprzewidzianej przeszkody.

Maszynista Pietrzak z otrzymaną przed chwilą „drogą” zeskoczył z lokomotywy. Razem z dyżurnym podbiegli do wagonu pocztowego i za przykładem listonoszy zajrzeli do środka przez okienko. Ujrzeni ten sam widok: trzech nieruchomych ludzi.

Maszynista wyjął z kieszeni uniwersalny klucz kolejowy, otwierający wszystkie trzy rodzaje używanych na kolei zamków. Przekręcony zamek ustąpił bez oporu, ale drzwi nie drgnęły.

- Zamknięte od wewnątrz na zasuwę - domyślił się dyżurny ruchu.

- Zgodnie z regulaminem - potwierdził listonosz Wiśniewski, który wiele lat jeździł z pocztą kolejową. - Natychmiast po ruszeniu pociągu wszystkie drzwi w wagonie pocztowym muszą być zamknięte od wewnątrz.

- Niech diabli wezmą taki regulamin! Co teraz robić? - denerwował się dyżurny Komarek.

- Mamy już trzy minuty opóźnienia.

- Biegnę do zawiadowcy stacji - zdecydował Komarek.

- A ja do dyżurnego urzędu pocztowego - dodał Wiśniewski.

- Co z odjazdem? - Pietrzaka martwiło nie przewidziane opóźnienie.

- Zatrzymamy pociąg. Przede wszystkim trzeba dostać się do wagonu i ratować tamtych.

- To zaalarmujcie SOK i milicję.

Dyżurny pobiegł do budynku stacyjnego. Za chwilę nadeszło stamtąd dwóch sokistów i milicjant. Oni również zaglądali do środka wagonu pocztowego, pukali i usiłowali otworzyć drzwi, lecz wszystko daremnie. Leżący na stole i na podłodze ani drgnęli.

Powrócił dyżurny ruchu.

- Zaraz tu będzie naczelnik stacji - rzekł do maszynisty - a jednego z ludzi posłałem do lekarza kolejowego. Całe szczęście, że mieszka w pobliżu. Telegraficznie poleciłem natychmiast połączyć się z Łodzią, z pogotowiem ratunkowym, aby przysłali dwie karetki, i z dyrekcją PKP, niech wydadzą instrukcje, co daiej robić.

- Jak to co robić? - oburzył się maszynista Pietrzak. - Jak najprędzej odprawić pociąg. Mamy prawie piętnaście minut opóźnienia. Trudno będzie odrobić do granicy.

- Nie ma mowy o odjeździe pociągu. Niech Łódź zadecyduje.

- Przecież jest po północy. W Łodzi w Dyrekcji PKP nie będzie teraz nikogo z tych, którzy mają coś do powiedzenia.

- Ale muszą być dyżurni w wydziale ruchu.

- Nie przetrzymuj pan pociągu! Przecież to pośpieszny w relacji międzynarodowej. Jeżeli nie przyjdzie na granicę o czasie, to opóźnimy i czeskie, i austriackie, a nawet jugosłowiańskie i włoskie pociągi.

- To co mam robić? - dyżurny ruchu bezradnie rozłożył ręce. - Nie odprawię pociągu z zamkniętym wagonem i trzema trupami w środku.

- Panie dyżurny - wtrącił jeden z członków Straży Ochrony Kolei - do środka łatwo się dostać. Okno jest otwarte. Wystarczy kawałek łomu albo buchwel, żeby oderwać kratę. Jak potrzeba, to w minutę będę w środku.

- Nic wolno - wtrącił listonosz Wiśniewski - w wagonie mogą być cenne przesyłki i listy wartościowe.

- Tylko milicja może wejść do środka - zaproponował przedstawiciel MO. - Trzeba zabezpieczyć ślady przestępstwa. Dyżurny sierżant dzwonił już do Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi.

Przed wagonem zebrała się spora grupka osób. Prócz znajdujących się na peronie kolejarzy koluszkowskich ściągnęli tutaj również wszyscy konduktorzy pociągu, a także konwojenci z wagonów sypialnych. Jeden z nich zauważył:

- Nie ma co oglądać się na przepisy. Może oni jeszcze żyją? Trzeba ich jak najszybciej ratować. Moje zdanie: wyważyć drzwi.

Nadbiegł naczelnik stacji. Widać był, że dopiero co wyciągnięto go z łóżka. W pośpiechu narzucił mundur na piżamę, a guziki dopinał w drodze. Wiedział już, co się stało. Wskoczył na wózek, zajrzał przez okno i przekonał się, że wszystko, co mu mówiono, zrywając go po północy, jest prawdą. Tymczasem dyżurny ruchu meldował zwierzchnikowi, jakie zarządzenia wydał w czasie jego nieobecności. Naczelnik potakiwał.

- Panie naczelniku - zauważył Pietrzak - nie można przetrzymywać pociągu międzynarodowego.

- Życie ludzkie ważniejsze niż rozkład jazdy - oponował jeden z kolejarzy. - A gdyby pociąg wyskoczył z szyn?

- Wtedy byłaby siła wyższa. Katastrofa.

- Teraz też jest katastrofa - odpowiedział dyżurny ruchu. - Trzech ludzi nie żyje. Mało wam?

- Ale pociąg jest zdolny do kontynuowania jazdy. Tory są nie uszkodzone. Nie ma się co namyślać, trzeba jechać. Dacie znać do Częstochowy, a tam postanowią, co dalej robić.

- Niech pan naczelnik zadecyduje - dyżurny ruchu zasłonił się zwierzchnikiem.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na stojącego jeszcze na wózku naczelnika. Ten wahał się tylko przez chwilę.

- W takim stanie nie można odprawić pociągu. Nawet gdyby przyjąć, że tym w wagonie nic już nie pomoże, nie wolno wypuścić wagonu pocztowego na trasę bez konwoju. Kto wtedy odpowiadałby za to, co się w tym wagonie znajduje? Trzeba jak najszybciej odczepić wagon pocztowy i odstawić na sąsiedni, zapasowy tor, a pociąg puścić bez poczty.

- Słusznie! - przytaknął Pietrzak.

- Zadzwońcie po zwrotniczego i po spinacza - naczelnik zwrócił się do dyżurnego ruchu - niech zaraz przyjdą.

- Nie trzeba, panie naczelniku - zaproponował Stefan Wilecki - ja odczepię wagon. Będzie prędzej. A zwrotniczego weźmiemy po drodze, bo i tak musimy podjechać do jego budki, tylko zatelefonujcie, żeby wiedział, o co chodzi.

Nie czekając na dalszy ciąg rozmowy Witecki zręcznie skoczył tam, gdzie wagon pocztowy łączył się z resztą składu pociągu, i zaczął odczepiać łańcuchy. Oddzielił też przewody od hamulców pneumatycznych i podniósł mostek służący do przejścia z wagonu do wagonu. Najbardziej marudna robota - rozłączenie harmonijki - na szczęście nie była potrzebna, bo wagon pocztowy nie był połączony harmonijką z sąsiednim wagonem sypialnym idącym do Rzymu.

W minutę później lokomotywa, ciągnąc tylko dwa wagony - pocztowy i brankard, odjechała ze stacji. Niedługo wróciła, ale już na tor sąsiedni. Pietrzak zatrzymał skład w ten sposób, że wagon pocztowy stanął naprzeciwko pomieszczenia zajmowanego przez SOK i milicję. Tutaj Witecki równie sprawnie odczepił pocztę od brankarda. Nie minęło nawet pięć minut, jak cały skład pociągu był ponownie zmontowany, już bez wagonu pocztowego.

- Dwadzieścia siedem minut opóźnienia - martwił się maszynista, szykując skład do odjazdu. - Nie zapomnijcie złożyć o tym meldunku nie tylko do Służby Ruchu, ale i do Mechanicznego, z jednym odpisem dla parowozowni Warszawa Czyste, bo inaczej premię za punktualność diabli wezmą.

- Gotowe? - Sam naczelnik stacji odprawiał opóźniony pociąg.

- Gotowe! - odkrzyknęli konduktorzy, stojąc przed swoimi wagonami i podnosząc w górę ponownie zapalone latarki.

- Odjazd!

Maszynista Pietrzak z niecierpliwością czekał na to słowo. Tak szybko włączył motory swojego „Bobo”, że pociąg ruszył gwałtowniej, niż to się zwykle zdarzało. Za chwilę dudnił p^o rozjazdach stacji towarowej. Sądząc po łoskocie, jaki dochodził jeszcze do grupki pozostałej na peronie, ekspres gnał już przeszło setką. Pietrzak usiłował nadrobić opóźnienie.

Wszyscy przeszli na sąsiedni tor i zatrzymali się przed wagonem pocztowym. Nadal płonęły w nim światła i nadal trzy postacie leżały nieruchomo, nie reagując na głosy z zewnątrz.

Do stojących podszedł sierżant MO, kierownik miejscowego kolejowego posterunku. Sierżant poinformował naczelnika stacji, że złożył meldunek o tajemniczym wypadku do Komendy Wojewódzkiej, a zaraz z Komendy Powiatowej MO powinien nadejść dyżurny oficer, porucznik Banaś, który chwilowo będzie kierował śledztwem.

Dyżurny ruchu również miał wiadomości dla swojego zwierzchnika: pogotowie ratunkowe jest w drodze, najpóźniej za kwadrans powinny przybyć dwie karetki. Także pocztowcy otrzymali instrukcje. Dyrekcja Poczty i Telekomunikacji poleciła, aby z wagonu wynieść jedynie ciała znajdujących się tam ludzi, a sam wagon natychmiast opieczętować. Przyjedzie specjalna komisja, która dokładnie sprawdzi zgodność zawartości ładunku pocztowego z wykazami. Bez komisji niczego w wagonie ruszać nie można.

Okręgowa dyrekcja PKP w Łodzi zdążyła nadać telefonogram. Akceptowała odłączenie wagonu pocztowego i wysłanie w dalszą drogę reszty składu pociągu pośpiesznego. Ponadto poleciła wystawienie przed wagonem posterunku SOK i zapowiedziała Koluszkom przybycie nazajutrz jednego z wicedyrektorów, który po zbadaniu sytuacji na miejscu wyda dalsze zarządzenia. Jednym słowem, tryby maszyny państwowej zaczęły się obracać.

A tymczasem zjawił się na stacji lekarz kolejowy. Jego, biedaka, również wyciągnięto z łóżka. Tylko że naczelnik mieszkał w jednym z budynków stacyjnych, a lekarz aż na końcu stacji, w małym domku stojącym przy torze. Na razie lekarz niewiele miał do roboty. Zajrzał przez okno i po dłuższym przyglądaniu się leżącym rzekł:

- Na odległość trudno stawiać diagnozę. Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że przynajmniej jeden z nich, ten, który leży na podłodze, żyje. Widać wyraźnie, jak oddycha.

Przypuszczam, że i pozostali nie są martwi. Czy oni po prostu nie popili się?

- Ależ panie doktorze! Co pan mówi? - Listonosz Wiśniewski uniósł się słusznym gniewem. - Poczowiec pijany w czasie pracy? To niemożliwe!

- Gdyby to była zima i gdyby wagon miał oświetlenie gazowe, to mógłbym przypuszczać zatrucie gazem świetlnym. Ale mamy lato, wszystkie okna w wagonie są otwarte, więc co? Najprawdopodobniej wódka. Zresztą zaraz się przekonamy. Nie ma jeszcze tego porucznika?

- Właśnie jestem - porucznik Banaś zaczął witać się kolejno z naczelnikiem stacji, z lekarzem, a potem z innymi kolejarzami. Koluszki nie tak wielkie miasto, żeby się wszyscy wzajemnie nie znali.

Sierżant MO złożył porucznikowi meldunek o zajściu. Banaś zajrzał przez okno i zapytał lekarza:

- Powiada pan, że oni żyją?

- Jestem pewien, że ten na ziemi żyje. Przypuszczam, że również pozostali oddychają i są tylko nieprzytomni.

- W takim razie musimy jak najszybciej otworzyć wagon, aby ich ratować.

- Panie poruczniku, najlepiej łomem. Ta kratka w oknie od razu odskoczy. Jeden wejdzie i otworzy drzwi zamknięte od wewnątrz na zasuwę - sokista był zwolennikiem radykalnych metod.

- Po co łomem - zaprotestował któryś z kolejarzy. - Na stacji w skrzynce z narzędziami mamy buchwel. Buchwelkiem przeciąć druciki to głupstwo. Łom może uszkodzić wagon.

- Trzeba przedtem sprawdzić, czy z przeciwnej strony drzwi są zamknięte na zasuwę - rzekł porucznik i wszyscy przeszli na drugą stronę toru.

Niestety te drzwi były również zamknięte od wewnątrz i klucze kolejarzy nie dały im rady.

- Czy są inne jeszcze wejścia do wagonu? - Porucznik niezbyt dobrze orientował się w konstrukcji wagonów kolejowych.

- Jeszcze dwa - wyjaśniał naczelnik stacji - z obu krótszych boków wagonu. Służą do komunikacji wzdłuż całego składu pociągu. Normalnie te wejścia spina się z wejściami do sąsiednich wagonów za pomocą żelaznych mostków i harmonijki. Z reguły wagonów bagażowych i pocztowych nie łączy się z nimi, ale wejścia są.

- Jeżeli i one zostały zamknięte, to użyjemy piłki i przetniemy kratę - porucznik zaczął już kierować akcją.

- Jak Boga kocham, otwarte! - zawołał jeden z kolejarzy. - Nawet klucz nie był przekręcony. Nacisnąłem klamkę i od razu puściły.

- Proszę nie wchodzić - krzyknął porucznik i pognął w tamtą stronę.

Rzeczywiście. Kolejarz stał na buforze, a drzwi były otwarte.

- Proszę się cofnąć - rozkazał porucznik. - Tylko ja wejść, przejdę przez wagon i otworzę

główne drzwi.

Gdy zostały otwarte, porucznik skinieniem ręki przywołał lekarza.

- Proszę, niech pan wejdzie do środka - powiedział - i zbada, czy oni jeszcze żyją. Poza ludźmi niczego nie wolno dotykać.

Lekarz wszedł do wagonu i razem z porucznikiem zbliżył się do nieruchomych postaci pocztowców. Najpierw pochylił się nad leżącym na podłodze. Wziął go za rękę, szukając pulsu.

- Tętno prawie normalne - zauważył - tylko nieco zwolnione.

Podniósł powiekę leżącego. Ten zrobił ruch głową. Na moment otworzył oczy i wymamrotał:

- Nie przeszkadzać, zaraz skończę - po czym odwrócił się całym ciałem na drugi bok.

- Śmierdzi alkoholem - zauważył doktor - jest kompletnie pijany. Zresztą leży przy nim butelka po piwie.

Wyciągnął rękę, chcąc podnieść butelkę.

- Proszę nie ruszać - powstrzymał go w porę oficer milicji.

Lekarz cofnął rękę. Zbliżył się do stołu. Dwaj mężczyźni w białych koszulach z zawiniętymi rękawami leżeli twarzą na stole. Stół był zupełnie czysty. Stały na nim jedynie trzy butelki z resztkami piwa na dnie. Doktor powtórzył poprzednie badania.

- Ci również są pijani - skonstatował.

- Przecież nie mogli upić się tym piwem - odpowiedział porucznik. - Nie widzę tu nigdzie wódki ani butelek po wódce.

- W każdym razie są nieprzytomni z oznakami zatrucia alkoholem albo jakimś innym środkiem oszalamiającym. Należy przenieść ich do najbliższego pomieszczenia stacyjnego, a pogotowie powinno natychmiast zabrać tych ludzi do szpitala. Dopiero tam będzie można dokładnie ustalić przyczynę utraty przytomności.

- Czy ich życiu grozi niebezpieczeństwo?

- Po tak pobieżnym badaniu trudno powiedzieć coś pewnego. Sądząc jednak z pulsu, nie przewiduję poważniejszych komplikacji. Dla pewności każdemu z nich dam zastrzyk podtrzymujący akcję serca. To wszystko, co mogę zrobić w tych warunkach. W szpitalu zastosują odpowiednią kurację.

- Jak długo mogą być nieprzytomni?

- Na to pytanie również nie umiem odpowiedzieć. To zależy zarówno od ilości środka

oszałamiającego, jak też od tego, co zażyli. Jeśli to jest zwykle zatrucie alkoholem, obudzą się i wytrzeźwieją za cztery, pięć godzin. W innym przypadku stan nieprzytomności może trwać znacznie dłużej.

Lekarz polecił przynieść nosze. Dwaj sokiści z całą ostrożnością kolejno wynosili nieprzytomnych z wagonu pocztowego. Przetransportowano ich do pustej o tej porze poczekalni i ułożono na ławkach wysłanych kocami. Porucznik Banaś wraz z sierżantem MO pilnowali, aby przy wynoszeniu chorych niczego w wagonie nie naruszyć. Potem wagon został zamknięty i opieczętowany, a naczelnik stacji sporządził protokół z tych wszystkich czynności.

Tymczasem lekarz dał chorym zastrzyki, a porucznik Banaś dokładnie ich zrewidował. Niewiele znalazł. Człowiek w mundurze miał przy sobie dowód osobisty na nazwisko Stanisław Mazurek i legitymację służbową wystawioną przez Okręgową Dyрекcję Poczty i Telekomunikacji na to samo nazwisko. Zresztą jeden rzut oka na fotografię wystarczał, aby zidentyfikować ofiarę z tymi dokumentami. Prócz tego Mazurek miał przy sobie portfel z pieniędzmi - ponad trzysta złotych w różnych banknotach, trochę bilonu oraz różne drobiazgi osobiste. Przy dwóch pozostałych żadnych dokumentów nie było.

Listonosz Wiśniewski twierdził, że dobrze zna jednego z tych mężczyzn. Nazywa się Zygmunt Bagiński i mieszka w Warszawie, od lat pracuje na poczcie przy konwojach wagonów pocztowych. Drugiego znał nieco mniej. Nie wiedział, jak się nazywa, ale widywał go w wagonie pocztowym na tej trasie od dwóch czy trzech miesięcy.

- Niedługo się dowiemy - zauważył sierżant. - W wagonie zostały ich mundury. Na pewno są w nich dokumenty.

- Nawet gdyby nie mieli przy sobie dowodów - wyjaśnił Wiśniewski - to ich nazwiska będą na dokumentach wozu i na specyfikacjach pocztowych.

Wkrótce przyjechały karetki pogotowia. Dwaj lekarze zbadali chorych. Stwierdzili, że na miejscu nie mogą udzielić im większej pomocy niż ta, z jaką pośpieszył już lekarz kolejowy. Trzeba przewieźć ich do szpitala.

- Czy to zatrucie alkoholem? Co panowie o tym myślą? - dopytywał się porucznik.

- Nie sędzę - odpowiedział jeden z nich - aby to było jedynie zatrucie alkoholem. Objawy są identyczne jak przy zatruciach niezamierzonych lub samobójstwach środkami nasennymi. Mamy z tym sporo do czynienia... A jakie jest pana zdanie, poruczniku?

- Nie wiem. Dopiero rozpoczęliśmy śledztwo. Ograniczyliśmy się jedynie do wyniesienia tych ludzi z wagonu. Jutro będziemy znali więcej szczegółów. Na razie widziałem w wagonie butelki z resztkami piwa. Zbada je Instytut Kryminologii. Poza tym nie wiemy jeszcze, czy z wagonu pocztowego coś nie zginęło... W każdym razie jeden z moich ludzi pojedzie z panami i będzie pilnował tych pocztowców. Gdy tylko odzyskają przytomność, przesłucha się ich od razu w szpitalu.

- Pan ich aresztuje?

- Nie, nie mam do tego najmniejszych podstaw. Po prostu nie wolno mi dopuścić do tego, aby porozumieli się ze sobą przed przesłuchaniem ich przez władze śledcze. Jak to się mówi - zabezpieczam dowód z przesłuchania świadków.

Karetki pogotowania zabrały chorych. Stacja Koluszki opustoszała. Tylko dyspozytor ruchu i dyżurny pozostali na swoich stanowiskach. Nie mieli zbyt wiele do roboty. O tej porze następowała dłuższa przerwa w ruchu osobowym, trzeba było jedynie pilnować pociągów towarowych, które przez Koluszki przechodziły tranzytem. Dopiero nad ranem wzmagало się natężenie ruchu.

A w Komendzie Powiatowej MO porucznik Banaś długo jeszcze pracował. Rezultatem tej pracy był szczegółowy raport o wydarzeniach na stacji kolejowej, przesłany Komendzie Wojewódzkiej. Jeszcze tej samej nocy raport dotarł również do Warszawy, do Komendy Głównej MO. Rankiem następnego dnia pułkownik Włochowicz, kierownik służby śledczej, znalazł go na swoim biurku. Dokładnie przestudiował raport i natychmiast wezwał do siebie jednego z najzdolniejszych oficerów śledczych, majora Feliksa Szpotańskiego.

III. Brak trzech przesyłek

- Siadajcie, majorze - powiedział pułkownik Włochowicz - i przeczytajcie ten pasztet. - To mówiąc podał swojemu podwładnemu arkusz gęsto zapisany maszynowym pismem, owoc nocnej pracy porucznika Banasia.

Major Szpotański zaczął swoją karierę milicyjną stosunkowo niedawno, bo dopiero przed siedmiu laty. Do milicji przyszedł z WOP-u. Długoletnia służba wojskowa pozostawiła trwałe ślady na tym czterdziestopięcioletnim mężczyźnie. Chociaż więc skronie zbierały mu nie tyle ze względu na wiek, ile wskutek codziennych kłopotów, i srebrne nitki gęsto przetykały jego ciemne włosy, Feliks Szpotański, chodzący obecnie przeważnie w cywilnym ubraniu, zachował postawę taką, jak gdyby jego figurę nadal opinał mundur. Również z zachowania tego człowieka na pierwszy rzut oka można było poznać zawodowego oficera, przyzwyczajonego do znacznie ostrzejszego „drylu” niż panujący w Komendzie Głównej MO. Więc i teraz, wchodząc do pokoju zwierzchnika, major stanął przy drzwiach w „postawie zasadniczej” i oficjalnie zameldował swoje przyjście. Na baczność stał dotąd, dopóki pułkownik Włochowicz nie poprosił go o zajęcie miejsca naprzeciwko siebie, po drugiej stronie biurka.

Szpotański trafił do milicji raczej przez przypadek. Był dowódcą placówki WOP-u w nadgranicznym, powiatowym mieście. Często brał udział we wspólnych naradach milicji i WOP-u na temat bezpieczeństwa w mieście i zlikwidowania band przemytniczych, złożonych przede wszystkim z miejscowej ludności. Rychło władze zwierzchnie, zarówno WOP-u, jak MO, spostrzegły, że kapitan wykazuje wielkie zdolności w dziedzinie wykrywania przestępstw. Zaproponowano mu przejście do milicji. Początkowo Szpotański odmawiał. W końcu argumentem, który przeważał, była perspektywa przeniesienia się do miasta wojewódzkiego, co rozwiązywało sprawę kształcenia dzieci.

Po zmianie koloru munduru kapitan Szpotański najpierw musiał uzupełnić swoją wiedzę w dziedzinie kryminalistyki, później zaś pracował w Komendzie Wojewódzkiej w Zielonej Górze. Tutaj dał się poznać jako jeden z najlepszych oficerów dochodzeniowych. Tak się to zawsze dzieje i

na to chyba nie ma rady, że wszystkie władze centralne „wyciągają z terenu” najzdolniejszych ludzi. Podobnie stało się ze Szpotański. Minęły już cztery lata, odkąd razem z awansem na majora został przeniesiony do Warszawy.

- Ciekawa historia - zauważył major uważnie przestudiowawszy raport. - Czyżby wszyscy trzej aż tak się spili?

- Mam tu jeszcze nadesłany przed chwilą telefonogram z Łodzi. Wszyscy trzej znajdują się w szpitalu i nadal są nieprzytomni, chociaż ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Diagnoza lekarska brzmi: nadużycie środków nasennych. Po południu chorzy powinni się obudzić i będzie można ich przesłuchać.

- Więc?

- Sprawa jest skomplikowana już przez sam fakt, że przestępstwo, jeśli było przestępstwo, zostało popełnione w Warszawie, to znaczy na terenie Komendy Stołecznej. Jednocześnie zdarzyło się w zasięgu działania Warszawskiej Dyrekcji PKP i Dyrekcji Poczty i Telekomunikacji w Warszawie. Miejsce wykrycia przestępstwa i rozpoczęcia śledztwa - Koluszki - podlegają łódzkiej Dyrekcji PKP, Dyrekcji Poczty w Łodzi i Komendzie Wojewódzkiej dla województwa łódzkiego. To samo tyczy się prokuratury i sądów. Byłyby z tego powodu ciągłe, niepotrzebne korowody. Aby więc uniknąć wszelkich sporów kompetencyjnych, postanowiłem, że dochodzenie poprowadzi bezpośrednio Komenda Główna, a osobiście zajmiecie się tym wy, majorze. Do pomocy weźmiecie któregoś z młodszych oficerów.

Major Szpotański zrobił ruch, jak gdyby chciał zerwać się z krzesła i zaraportować po wojskowemu: „Wedle rozkazu, obywatelu pułkowniku”, widząc jednak uśmiech na twarzy Włochowicza - a wszyscy w KG MO znali wojskowe maniere Szpotańskiego - tylko wyprostował się na krześle i odpowiedział:

- Tak jest, pułkowniku. Wezmę do pomocy, jeżeli pan pozwoli, podporucznika Władysława Adamczewskiego.

- Nie za „zielony” na taką poważną sprawę? Jest u nas zaledwie trzy miesiące. Prosto ze szkoły oficerskiej. Dotychczas nie miał do czynienia z żadną większą sprawą.

- Jeszcze nie wiemy, czy to będzie większa sprawa. Od dawna jednak obserwuję Adamczewskiego. Jest pracowity i zdolny. A że to jego pierwszy większy debiut, tym lepiej. Będzie się bardziej starał.

- No dobrze - zgodził się pułkownik - jeżeli chcecie Adamczewskiego, nie mam nic przeciwko temu. Bierzcie teraz samochód i natychmiast jedźcie do Koluszek. Poleciałem, aby bez was nie otwierano wagonu. Nadałem też telefonogram do Łodzi, że przejmujemy sprawę i że wy ją prowadzicie. Mieli zawiadomić Dyrekcję Poczty i władze kolejowe, że wagon zostanie otworzony komisyjnie o godzinie jedenastej. Teraz jest za pięć dziewiąta. Samochód czeka na dole. Proszę, oto rozkaz wyjazdu. Zdażycie bez trudu. Życzę powodzenia. Wracając wstąpcie do Łodzi i od razu przesłuchajcie tych pocztowców. Oczywiście, jeśli stan ich zdrowia na to pozwoli. Jutro poproszę o

szczególne sprawozdanie, czego zdołał się pan dowiedzieć. Wtedy naradzimy się nad dalszym ciągiem.

- Tak jest, pułkowniku - odpowiedział major - ale byłoby dobrze, gdyby Łódź przysłała do Kuluszek ekipę śledczą. Nie ma potrzeby zabierać stąd fotografa i daktyloskopisty. Z Łodzi mają bliżej. Wprawdzie niezbyt wierzę, żeby miało się to na coś przydać, ale...

- Słusznie - przytaknął pułkownik - zaraz dam takie polecenie, a wy tymczasem jedźcie.

Za dziesięć minut służbowa „Wołga” pędziła w stronę Kuluszek, gdzie czekali już przedstawiciele poczty, kolei, porucznik Banaś i przybyli z Łodzi milicjanci.

- Mam dla pana majora informację - powitał Szpotańskiego jeden z przedstawicieli Dyrekcji Poczty i Telekomunikacji - bo na własną rękę rozpoczęliśmy wstępne dochodzenie. Ustaliliśmy, że drugim urzędnikiem pocztowym znalezionym w wagonie jest Karol Olszak. Mam tu jego dane personalne i wykaz służbowy.

- Bardzo dziękuję. - Major schował podane mu dokumenty. - Mamy więc już całą trójkę: Stanisław Mazurek, Zygmunt Bagiński i Karol Olszak.

- Trójkę? - zdziwili się pocztowcy. - Chyba pan się myli, majorze. W wagonie pocztowym pracuje dwóch ludzi.

- W tym wagonie znalazłem trzech nieprzytomnych ludzi - potwierdził porucznik Banaś. - Zresztą trzech ich leży w łódzkim szpitalu.

- Dziwne! Co robił ten trzeci? Czy to na pewno pracownik poczty?

- Tylko przy jednym znaleźliśmy dokumenty. Przy Stanisławie Mazurku.

- Zupełnie nie rozumiem - przedstawiciel Dyrekcji Poczty był najwyraźniej zaskoczony. - Sam rozmawiałem przez telefon z naczelnikiem dworcowego urzędu pocztowego, bo właśnie im podlegają wszystkie ekipy wagonów pocztowych wyruszających codziennie z Warszawy. Podał mi wyraźnie dwa nazwiska: Bagiński i Olszak. Zresztą jest to zgodne z przepisami i z panującymi u nas zwyczajami. Przede wszystkim nie mamy tylu etatów, aby wagony pocztowe obsadzać aż trzema pracownikami. Po drugie nie jest to potrzebne, tym bardziej w pociągach pośpiesznych, które zatrzymują się tylko na większych stacjach. Mają znacznie mniej punktów ekspedycji poczty, a tym samym mniej pracy niż ich koledzy obsługujący ambulans pociągów zwykłych, stających na każdej najmniejszej stacyjce.

- Zresztą - wtrącił drugi przedstawiciel Dyrekcji Poczty - nawet jeden człowiek dałby sobie radę w wagonie pocztowym. Jedzie dwóch dla wzajemnej kontroli i uniknięcia wszelkich niedociągnięć w pracy. Absolutnie wykluczam możliwość obsadzenia wagonu aż trzema pocztowcami!

- Proszę - porucznik Banaś wyjął z teczki dużą, szarą kopertę - oto są wszystkie rzeczy znalezione przy Stanisławie Mazurku. Panowie obejrzą jego legitymację służbową.

Reprezentanci poczty z zainteresowaniem obejrżeli podane im dokumenty. Zwracając je oficerowi milicji jeden z nich zauważył:

- Nie ulega wątpliwości, że Mazurek jest pracownikiem warszawskiej dyrekcji poczty. Ale to nie znaczy, że był konwojentem wagonu pocztowego. Ponieważ jednak jest faktem, że tam go znaleziono, trzeba przyjąć, że nie miał żadnego prawa znajdować się w tym ambulansie. Chyba... chyba że panowie znaleźli jego delegację służbową, ewentualnie w papierach wagonu pocztowego jest adnotacja, że jedzie trzech konwojentów, a jednym z nich jest właśnie Mazurek.

- Nie ruszaliśmy dokumentów w wagonie pocztowym - odpowiedział porucznik Banaś. - W ogóle niczego w ambulansie nie usiłowaliśmy nawet dotknąć. Osobiście pilnowałem, aby wyniesiono nieprzytomnych ludzi i natychmiast ponownie zamknęliśmy wagon. Przez całą noc, aż do tej pory, stoi przy nim posterunek.

- No cóż - odezwał się major Szpotański - rolę Mazurka w wagonie zajmiemy się później. Na razie otworzymy ambulans i sprawdzimy, czy wewnątrz wszystko jest w porządku i czy nic nie zginęło. Panowie znają zawartość wozu?

- Tak jest, panie majorze - odpowiedział jeden z pocztowców. - Mamy dokładny wykaz worków z pocztą zarówno krajową, jak zagraniczną. Mamy też wykaz listów wartościowych i przesyłek pieniężnych. Niestety nie posiadamy natomiast spisu listów dworcowych, gdyż te nadawane są przez instytucje bezpośrednio do wagonu pocztowego. Ale w wozie powinna być książka listów dworcowych, więc i to bardzo łatwo będzie można sprawdzić.

- Będzie można sprawdzić - odpowiedział jak echo podporucznik Adamczewski, który już od jakiegoś czasu szukał okazji wtrącenia się do rozmowy i dania obecnym do zrozumienia, że on również prowadzi śledztwo - jeżeli w wagonie pozostała książka listów dworcowych. A jeśli ktoś ją zabrał razem z listami?

- Wtedy sprawa nieco się skomplikuje. Istnieją jednak spisy wszystkich instytucji i urzędów mających prawo nadawania listów dworcowych. Każda z tych instytucji obowiązana jest prowadzić własny wykaz wysyłanych listów. Doszlibyśmy - może tylko nieco określną drogą - do tego, jakie przesyłki dworcowe nadano tym ekspresem.

- Ludzie nadają nieraz listy polecane lub nawet zwykłe - zauważył poważnie Adamczewski - bezpośrednio w ambulansie pocztowym. W jaki sposób znajdziemy ślady tych przesyłek?

- Pan się myli, poruczniku - wyjaśnił przedstawiciel poczty. - Tak mogą pójść tylko listy zwykłe. List polecany musi być nadany w urzędzie pocztowym. Chciałbym też wyjaśnić, że możemy pominąć sprawdzanie zawartości tych worków z pocztą, które będą miały nie naruszone plomby. Zabrałoby to wiele czasu i było niepotrzebną robotą.

- Oczywiście - zgodził się major. - Proszę więc do wozu.

Wagon pocztowy stał w tym samym miejscu, gdzie go wczoraj odczepił od pociągu

pośpiesznego Warszawa-Rzym pomocnik maszynisty, Witecki. Dla formalności sprawdzono, że plomby, a właściwie paski papieru z pieczęcią, przyklejone w poprzek drzwi, były nie naruszone przy wszystkich wejściach. Następnie kolejarze otworzyli zamki, a porucznik Banaś rozerwał papier i otworzył główne wejście do ambulansu. Jeden z przedstawicieli Dyrekcji Poczty chciał wskoczyć na stopień, lecz porucznik Adamczewski powstrzymał go ruchem ręki.

- Chwileczkę, jeszcze poczekamy. Najpierw wejdzie fotograf i zrobi zdjęcia. Po nim wezmą się do pracy specjaliści od daktyloskopii. Dopiero gdy oni skończą, zacznie się nasza rola.

Milczący fotograf energicznie przystąpił do roboty. Trzaskał swoim aparatem na wszystkie strony i po kilku minutach wyszedł z wozu.

- Nic tam nie ma - zauważył - wszystko w porządku. Worki z pocztą leżą nie naruszone. Na stole jakieś księgi i wykazy porządnie ułożone. Prócz tego na stole stoją trzy butelki piwa, a czwarta na podłodze.

- Zajmijcie się przede wszystkim tymi butelkami - polecił major daktyloskopii. - Tylko, broń Boże, nie rozlać ani kropelki płynu, jeśli coś w nich zostało na dnie. Zwróćcie też specjalną uwagę na te drzwi, które nie były zamknięte na zasuwę. Może są tam jakieś ślady na wewnętrznej klamce? Bo z zewnątrz na pewno starto je przy otwieraniu i wchodzeniu do wozu.

- Niech się pan major nie obawia - zaśmiał się jeden z daktyloskopistów - będzie zrobione na cacy. Na wszelki wypadek przywieźliśmy tyle proszku, że wystarczy na zebranie odcisków z całych Kółuszek.

Zajęcia daktyloskopistów trwały prawie godzinę. Zdobyte odbitki śladów palców utworzyły spory plik.

- Gotowe, panie majorze - zameldowali opuszczając wagon.

- Świetnie - pochwalił ich major - nie macie panowie nic tu więcej do roboty. Wracajcie do Łodzi. Proszę przysłać jutro do Komendy Głównej wszystkie materiały. Odbitki palców i zdjęcia.

- Na jutro? Ciężko będzie. Tych odbitek mamy chyba z setkę albo więcej. Za trzy dni nie da rady?

- A ja, panie majorze, zdjęcia będę miał gotowe za trzy godziny - oświadczył fotograf. - Czy przysłać je jeszcze dzisiaj do KG?

- Nie. Dziękuję. Będę dzisiaj w Łodzi, to zabiorę je z Komendy Wojewódzkiej. A co do odbitek palców?... Umówmy się w takim razie za dwa dni, dobrze? Tylko muszą być absolutnie pewne.

- Zrobi się, panie majorze. Z samego rana będzie pan je miał na biurku.

- W takim razie teraz nasza kolej - major zaprosił delegatów do wnętrza wagonu. Pocztowcy wraz z Adamczewskim zajęli się najpierw leżącymi na stole dokumentami.

- Proszę - zauważył jeden z nich - oto książka listów dworcowych, a tutaj wykaz listów i przesyłek wartościowych. A to są dokumenty ambulansu.

Podporucznik, nie znający wewnętrznej organizacji poczty, oglądał podane mu papiery, przewracając strona za stroną i uważnie czytając.

- Nie ma potrzeby, panie poruczniku, tak dokładnie studiować całości - pouczył delegat Poczty.
- Nas interesują jedynie ostatnie zapisy z wczorajszego dnia.. Te poprzednie to z innych kursów ambulansu.

- Ale wszystkie dokumenty wystawione są na dwa nazwiska: Bagińskiego i Olszaka. O Stanisławie Mazurku nie ma ani słowa.

- Pan porucznik ma rację. Zauważyliśmy to od razu i nadal nie możemy sobie wytłumaczyć obecności trzeciego człowieka w tym wagonie.

- Może panowie wspólnie z porucznikiem - zaproponował major - przejrzą worki pocztowe. Na pozór wyglądają na nie naruszone. Zanim przejdziemy do szczegółowego sprawdzania innych przesyłek i dokładnej rewizji wagonu, musimy się o tym upewnić. To bardzo skróci czas naszej pracy. Nie będzie potrzeby powracania do tej kwestii.

- Jak pan major sobie życzy - członkowie komisji nie sprzeciwiali się tej propozycji i przystąpili do roboty.

Tymczasem Szpotański rozglądał się dokoła. Na stole stały teraz cztery butelki po piwie. Wszystkie jednakowe - z browaru w Żywcu. Każdą z nich daktyloskopiści oznaczyli kolejnym numerem na karteczce umocowanej przy szyjce. Na jednej z nich napisali „leżała na podłodze”. Major powąchał butelki. Pachniały sfermentowanym piwem. Zapach ten nie budził zdziwienia, ponieważ od momentu otwarcia przeleżały dwanaście godzin. W tym upale panującym w nagrzanym przez lipcowe słońce „lata stulecia” wagonie - piwo musiało się zepsuć. Żadnego innego zapachu major nie stwierdził.

W jednej z butelek było jeszcze około ćwierć szklanki płynu. W pozostałych jedynie ślady wilgoci na dnie. Major wyjął z kieszeni woreczek celofanowy, w którym miał różnej wielkości „aptekarskie” gumowe korki. Wybrał odpowiednie, starannie zakorkował wszystkie flaszki i potem schował je do teczki.

Na wieszakach wisały dwie marynarki - część umundurowania pocztowego. Szpotański obejrzał obie dokładnie, a następnie przeszukał kieszenie. W jednej znalazł dowód osobisty na nazwisko Zygmunta Bagińskiego. Dowód był wystawiony przez KM MO w Warszawie. Również legitymacja służbowa miała pieczęcie Dyrekcji Poczty i Telekomunikacji w stolicy. Poza tym w portfelu była legitymacja Polskiego Związku Wędkarskiego na to samo nazwisko. Ponadto jeden banknot stużłotowy, dwa po dwadzieścia złotych oraz około trzydzieści złotych w bilonie znajdującym się w portmonetce.

Druga mundurowa marynarka miała podobną zawartość. Dowód osobisty wystawiony przez KM

MO w Katowicach przedstawiał jego właściciela. Był to trzydziestoczteroletni Karol Olszak, mieszkaniec ulicy Kopernika w Katowicach. W rubryce „stan cywilny” napisano „kawaler”. Również legitymacja pocztowca była wystawiona przez odpowiednie władze w Katowicach.

- Ciekawe - mruknął do siebie major - dwaj są z Warszawy, a jeden z Katowic. Dlaczego taki dobór ludzi w ambulansie wysyłanym ze stolicy? - Szpotański zanotował ten szczegół w swoim notatniku.

Na półce nad siedzeniami koło stołu znajdowała się aluminiowa litrowa bańka zawierająca czarną, słodzoną kawę. Obok leżały dwie paczki żywnościowe: bułki, chleb, wędlina, ser. Typowe paczki, jakie zabierają ze sobą ludzie pracy jadący w dłuższą podróż. Te paczki major również ponumerował i starannie zanotował ich zawartość. Podzieliły one losy butelek i zniknęły w obszernej teczce.

Z kolei Szpotański sięgnął po leżącą na półce aktówkę. Znalazł w niej czystą koszulę, ręcznik, mydło i parę skarpetek. Nie znalazł natomiast żadnych wskazówek, do którego z trzech pocztowców mogła należeć.

Major nie zapomniał i o śmietniczce. Leżało w niej puste pudełko po papierosach, trochę niedopałków i duża, zgnieciona kula papieru. Po rozwinięciu kula okazała się papierową torbą z nadrukiem „Delikatesy”. Zarówno torebka, jak niedopałki papierosów wraz z pudełkiem powędrowały do dużej koperty i zniknęły w przepastnej teczce oficera milicji. Szpotański badał także szczegółowo podłogę wagonu. Nic tam jednak nie było godnego uwagi.

- Skończyliśmy - do majora podszedł przedstawiciel Dyrekcji Poczty. - Na razie wszystko w porządku. Worki z pocztą krajową i zagraniczną są nie naruszone, a plomby na swoich miejscach. Worki ułożone są prawidłowo, tak jak zwykle robią to pracownicy ambulansu pocztowego. Z tego wynika, że nikt ich nawet nie ruszał.

- Bardzo mnie to cieszy - odpowiedział major - ale przyznam się, że byłem tego pewien. Cóż bowiem ciekawego mogło być w tych workach dla ewentualnego złodzieja? Wiadomo - ani pieniędzy, ani kosztowności w nich nie ma. Gdyby to jeszcze była poczta ze Stanów Zjednoczonych lub z Kanady! Wówczas włamywacz mógłby się spodziewać, że w listach znajdzie dolary. Polacy z USA lubią dołożyć pięć lub dziesięć dolarów jako prezent dla rodziny.

- Doskonałe o tym wierny - roześmiał się pocztowiec mamy z tym masę kłopotów. Tutaj jednak takich listów w ogóle nie było.

- Bierzmy się wobec tego za dalszą robotę. Od czego proponujecie zacząć, panowie?

- Sądzę, że teraz kolej na książkę listów dworcowych. Najpierw policzymy ilość wpisanych pozycji, a potem listy. Gdyby te liczby się nie zgadzały, wówczas trzeba będzie sprawdzić każdy list z każdą pozycją wpisu.

- Doskonale - zgodził się major - panowie znają się przecież na tym znacznie lepiej od nas i lepiej wiedzą, jaka metoda pracy będzie szybsza.

- Nadano siedemdziesiąt dwa listy dworcowe - odpowiedział delegat poczty - i zaraz dowiemy się, czy jest ich tyle.

Liczyli trzy razy, lecz za każdym razem było jedynie siedemdziesiąt jeden listów.

- Obawiam się - zauważył porucznik Banaś - że czegoś brakuje.

- Musimy sprawdzić list po liście, dopiero wtedy, będzie można powiedzieć coś konkretnego - zauważył pocztowiec. - Ja będę odczytywał nadawcę i odbiorcę każdego listu, a pan kolega mech odfajkowiec tę pozycję w książce, dobrze?

- Zgoda - odpowiedział tamten.

- Nadawca: Polskie Zakłady Zbożowe do Polskich - Zakładów Zbożowych w Katowicach.

- Mam. Następny.

- Agencja Robotnicza do Trybuny Robotniczej w Katowicach.

- Jest. Następny.

W ten sposób odczytano adresatów i nadawców siedemdziesięciu jeden pozycji, mających pokrycie w spisie listów dworcowych.

- Co pozostało? - zapytał major Szpotański. Urzędnik poczty sprawdził uważnie.

- Mam - odpowiedział. - Nadawca: Politechnika Warszawska, Katedra Motorów Spalinowych do Zakładów Mechanicznych „Motor” w Bytomiu. Tylko ta pozycja w książce nie ma swojej adnotacji.

- Ciekawe, co taki list mógł zawierać? Chyba nie pieniądze? - zainteresował się milczący aż dotychczas przedstawiciel kolei.

- Na pewno nie. Listami dworcowymi nie wolno przekazywać pieniędzy.

- Zakłady Mechaniczne „Motor” w Bytomiu - mówił dalej kolejarz - produkują motory „diesla”. Znam debrze tę markę, bo sporo naszych drezyn i wózków motorowych zaopatrzonych jest w motory stamtąd.

- Jeżeli się nie mylę - dorzucił porucznik Banaś - to „Motor” w Bytomiu produkuje również motory specjalne do innych celów.

- Hm - zasepił się major - obawiam się, że sprawa wygląda poważniej, niż początkowo przypuszczałem.

- Musimy sprawdzić - zauważył porucznik Adamczewski - co zawierał ten list dworcowy.

- Łatwo odgadnąć. Nadawcą jest placówka naukowa: katedra specjalistyczna Politechniki Warszawskiej, a odbiorcą fabryka motorów. Treść zawiera spostrzeżenia lub analizy naukowe, jakie prawdopodobnie wykonywali pracownicy naukowcy na zlecenie fabryki.

- Może plany? - podsunął porucznik Banaś.

- Możliwe - zgodził się major. - Coraz mniej zaczyna mi się to wszystko podobać. Czyżby komuś specjalnie zależało na wykradzeniu tych właśnie materiałów? Nie widzę żadnego innego powodu, dla którego nieznany włamywacz oszałambiałby narkotykiem obsługę ambulansu pocztowego.

- Nie sprawdziliśmy jeszcze wszystkiego - panowie z Dyrekcji Poczty byli jak najbardziej rzeczowi. - Pozostały nam jeszcze przesyłki i listy wartościowe. Posiadamy ich wtórники; zresztą tu na stole znajdują się i odcinki „A” dokumentów nadania.

- Gdzie są przesyłki wartościowe? - zapytał major.

- Przypuszczam, że zgodnie z przepisami znajdują się w specjalnym pomieszczeniu - to mówiąc jeden z pocztowców wskazał właściwe drzwi. Były one zamknięte, lecz klucze znajdowały się w zamku.

- Czy to leż jest zgodne z przepisami, że klucza nie wyjmuje się z zamku?

- Przeciwnie - zaprzeczył jeden z członków komisji - zgodnie z regulaminem pomieszczenie to powiano być zawsze zamknięte, a kierownik ambulansu, czyli w tym przypadku Zygmunt Bagiński, ma nosić klucz przy sobie. Dopiero przed samym dojazdem do stacji kierownik ambulansu wyjmuje przesyłki wartościowe, aby wręczyć je czekającemu na peronie pracownikowi miejscowego urzędu pocztowego. Czyni to zresztą za odpowiednim pokwitowaniem odbioru. Muszę dodać, że obecnie listy wartościowe nie odgrywają już tej roli co dawniej. Zastąpiły je w dużej mierze przelewy bezgotówkowe z konta na konto dobrze rozbudowanej sieci oddziałów Narodowego Banku Polskiego, PKO i innych banków państwowych. Dlatego ilość tych przesyłek nie jest zbyt wielka. Zgodnie z ich wtórnkami w tym wozie powinno być sto czternaście paczek i listów wartościowych.

- To dlaczego klucz tkwi w zamku? - zastanawiał się porucznik Banaś i dodał: - Gdy rewidowałem chorych po wyniesieniu ich z wagonu, jeden z nich miał przy sobie klucze do mieszkania.

- W wiszących tutaj mundurach - uzupełnił major - i ja znalazłem klucze typowe dla zamków mieszkań prywatnych... Tajemnicę klucza w zamku ambulansu odkryjemy dopiero po przekonaniu się, czy wszystkie nadane przesyłki znajdują się w pomieszczeniu. Być może, że zanim Bagiński stracił przytomność, chciał wyjąć paczki przeznaczone do przeładowania w Koluszkach.

Znowu nastąpiło szczegółowe liczenie każdej paczki i każdego listu wartościowego. Okazało się, że w sumie jest sto dwanaście paczek i listów. Dwóch zatem brakowało.

Ustalono bez trudu, że brakuje przesyłki wartościowej: duża firma jubilerska nadawała z

Warszawy wyroby ze złota do swojej filii w Katowicach. Uwidoczniona na przekazie wartość towaru określona została przez nadawcę na 386 000 złotych. Nie było również listu pieniężnego nadesłanego przez Centralę Skupu Skórek Zwierząt Futerkowych do Banku Spółdzielczego w Wyrwiskach - niewielkiego miasteczka w Cieszyńskim. Według specyfikacji list zawierał 1 200 000 złotych w banknotach po 500 złotych.

- A więc wszystko jest już jasne - zauważył porucznik Banaś.

- Przeszło półtora miliona złotych - podliczył śmiejąc się jeden z kolejarzy - no i ten list dworcowy na dodatek. Komuś się opłaciło.

- To się jeszcze okaże, czy opłaciło - odpowiedział major Szpotański.

IV. „Nic nie pamiętam...”

Formalności trwały jeszcze dwie godziny, bo komisja musiała sporządzić protokoły. Postanowiono, że wagon zostanie cofnięty do Warszawy. Tam już rozładują go pracownicy miejscowego urzędu dworcowego i wyeksponują normalną drogą pozostałe w ambulansie listy i paczki wartościowe. Tym razem rolę konwojentów wagonu do Warszawy mieli odegrać przedstawiciele Dyrekcji Poczty i Telekomunikacji oraz podporucznik Adamczewski, aby w Warszawie przekazać protokolarnie zawartość wagonu naczelnikowi urzędu pocztowego. Sam wagon miał być ponownie zamknięty, zabezpieczony i pozostawiony do dyspozycji milicji dla przeprowadzenia dalszych, potrzebnych badań. Major polecił również, aby komisariat MO na warszawskim dworcu dawał baczenie na ten ambulans.

Decyzja majora Szpotańskiego wzbudziła gorącą opozycję przedstawicieli poczty.

- Tak mało mamy taboru - tłumaczyli - ambulanse kolejowe to wąskie gardło naszej łączności, a pan major chce zablokować nie wiadomo na jak długo jeden z najbardziej nowoczesnych wagonów, używanych specjalnie w komunikacji międzynarodowej?

- Nie na to nie poradzę - sucho stwierdził major. - Mam obowiązek odnaleźć sprawcę, sam nie wiem, czy złodzieja, czy szpiega. Nie mogę więc zaniedbać żadnych środków prowadzących do tego celu, a tym bardziej liczyć się z jakimiś ubocznymi względami.

Chcąc nie chcąc pocztowcy musieli zgodzić się z tym argumentem.

Po zakończeniu prac komisji major kazał zawieźć się do Łodzi, do szpitala wojewódzkiego. Trzej pocztowcy powoli odzyskiwali przytomność i lekarz zgodził się na krótką z nimi rozmowę przedstawiciela władz śledczych - taką informację zdobył porucznik Banaś.

Zgodnie z jego żądaniem chorych umieszczono w separatkach. Na korytarzu dyżurował milicjant, który złożył majorowi meldunek:

- Wszystko w porządku, nie stwierdziłem prób porozumiewania się z zatrzymanymi ani też ich wzajemnych kontaktów.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że po rozmowie z nimi będę mógł was zwolnić.

- Przydałoby się, panie majorze, bo widocznie o mnie zapomnieli. Siedzę tu prawie dwadzieścia cztery godziny, a porucznik Banaś nie przysłał żadnej zmiany.

- Nie zapomniał, nie zapomniał - uśmiechnął się major - tylko pewnie nie miał kogo przysłać. Ale nie martwcie się. Zatelefonuję do porucznika i poproszę, aby przy pierwszej okazji dał wam wolny dzień. Jedliście?

- Z głodu nie umarłem - tłumaczył kapral MO - bo jedna pielęgniarka zaopiekowała się mną i przyniosła coś do żarcia. Dobra dziewczyna... I ładna.

- No to widzę, że nie zginiecie. Pewnie zdążyliście się z nią umówić?

- Co miałem robić, panie majorze? Dziewczynie też się coś należy.

Szpotański wszedł do pierwszej separatki. Wśród białej pościeli leżał mężczyzna w wieku sześćdziesięciu lat, łysy, o twarzy zniszczonej i pooranej bruzdami. Mimo opalenizny widać było wyraźnie bladość tego człowieka. Ciemne oczy były podkrążone, a wargi bez krwi.

- Jestem major Feliks Szpotański z KG MO-przedstawił się oficer milicji - chciałbym z wami porozmawiać. Czy możecie mówić? Jak się czujecie?

- Mogę - odpowiedział chory - tylko mnie mdli i mam sucho w gardle. A w głowie tak szumi, jak gdyby motor pracował.

- Wasze imię i nazwisko?

- Zygmunt Bagiński. Lat pięćdziesiąt osiem. Mieszkam w Warszawie przy ulicy Cichej 17. Pracuję w Urzędzie Pocztowym na Dworcu Głównym w Warszawie. Jestem kierownikiem ambulansu pocztowego.

- Powiedźcie, jak to było wczoraj.

- W Warszawie normalnie. Przyjeliśmy pocztę. Nawet nie było dużo. Listów dworcowych i przesyłek wartościowych również nie za wiele. Zamknęliśmy drzwi i pociąg ruszył.

- To znaczy kto zamknął drzwi? Na zasuwę?

- Ja zamykałem drzwi. Oczywiście, że na zasuwę.

- Wszystkie drzwi zamykaliście?

Chory odpowiedział natychmiast „wszystkie”. A jednak doświadczone ucho milicjanta wyczuło w tej odpowiedzi jakiś inny ton.

Kłamie albo nie jest pewien - zanotował w pamięci major.

- Zamknęliście drzwi i pociąg ruszył. Co było dalej? Bagiński zastanowił się.

- Zaraz... Zaraz... - przypominał sobie. - Najpierw Olszak zapisał resztę listów dworcowych, tych, które przynieśli w ostatniej chwili przed odejściem pociągu. Potem sprawdziliśmy, czy worki ułożone są prawidłowo. Uporządkowałem też przekazy paczek wartościowych.

- Siedział pan przy stole?

- Tak.

- A kto był w wagonie prócz was?

- No, jak zwykle... Olszak i Mazurek. Załoga ambulansu.

- Nie kłamcie, Bagiński! Przynajmniej nie usiłujcie tego robić wówczas, gdy wasze słowa łatwo sprawdzić, co zresztą już zrobiliśmy. Mazurek nie należał do załogi ambulansu.

Chory zmieszał się i spuścił głowę.

- Więc jak to było z tym Mazurkiem?

- Powiem całą prawdę. Mazurek jest listonoszem w naszym urzędzie pocztowym. Jeździ samochodem i rozwozi paczki po mieście. Pracujemy razem chyba z piętnaście lat. Mazurek dostał urlop i chciał jechać do siostry, która mieszka w Gliwicach. Po co miał płacić za bilet? Zawsze to przecież kilkadziesiąt złotych, a w ambulansie miejsca dużo. Jeszcze jedna osoba zmieści się bez trudu. Pojechał więc z nami i pomagał ładować pocztę.

- Co potem się zdarzyło?

- Nic się nie zdarzyło. Pociąg jechał normalnie. Do Kuluszek mieliśmy dużo czasu. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Potem nic nie pamiętam. Obudziłem się dopiero tutaj, w szpitalu.

- Zasnęliście bez żadnego powodu? Nie piliście wódki?

- Przysięgam, panie majorze, że ani kropli! Gdzież by? Na służbie? Nigdy jeszcze na służbie, nawet gdy byłem młody, nie zajrzałem do kieliszka. Po pracy różnie bywało, ale i to nie za dużo. Na poczcie pracuję trzydzieści trzy lata. Znają mnie, pan major może sprawdzić.

- Ale piwo piliście?

- Piwo to co innego. Było bardzo gorąco, a w wagonie jak w łaźni. Pot łał się z człowieka niczym woda z kranu. Ale tylko buteleczkę! Taką niewielką. Dziecku by nawet nie zaszkodziła. Ile tam tego piwa w takiej buteleczce?

- Wypiliście tylko jedną?

- Tylko jedną.

- A inni pili?

- Każdy z nas wypił po butelce.

- I zaraz usnęliście? Bagiński zastanowił się.

- Nie od razu. Chyba za jakieś pół godziny, a może dwadzieścia minut? Jeszcze żałowałem, że zapomniałem wziąć ze sobą karty, a Mazurek i Olszak też nie mieli. Zwykle gramy w karty, gdy w ambulansie mało roboty. Żeby nie usnąć i żeby czas prędzej zleciał. Ale kart nie było, więc tylko rozmawialiśmy...

- O czym?

- Nie bardzo pamiętam. Nic ważnego. Mazurek opowiadał o siostrze w Gliwicach. Olszak, który jest ze Śląska, mówił coś o Katowicach.

- Nie czuliście jakiegoś innego, obcego smaku w piwie?

- Nie. Piwo jak piwo. Tyle, że było ciepłe, bo upał. Gorzkie jak zwykle.

- Który z was pierwszy zasnął?

- Nie wiem. Tak mi się w głowie nagle zakręciło, jak gdybym spadał w studnię bez dna. I to już wszystko.

- Niczego więcej nie pamiętacie? Przypomnijcie sobie te ostatnie chwile przed zaśnięciem!

Po twarzy chorego widać było, że natęża pamięć.

- Chyba... Chyba... Gdy zasypiałem, usłyszałem łoskot.

Otworzyłem oczy, lecz nie dostrzegłem Mazurka przy stole. Ale czy to prawda, nie wiem. Może mi się śniło? Nie przysięgnę.

- A widzieliście Olszaka?

- Nie pamiętam, ale chyba leżał głową na stole.

- Dajmy temu na razie spokój - zgodził się major - ale powiedzcie mi taką rzecz: co się działo z kluczami od pomieszczenia dla przesyłek wartościowych?

- Co się miało z nimi dziać? Jak zwykle umieściliśmy przesyłki na półkach w kolejności stacji, a pomieszczenie zamknąłem. Klucze schowałem do kieszeni.

- Spodni czy marynarki?

- Marynarki. Zawsze chowam do kieszeni marynarki. Przecież przed przybyciem pociągu na

stację wkładam mundur, otwieram schowek z paczkami wartościowymi i układam je na stole. Następnie przygotowuję listy dworcowe, które trzeba zostawić na najbliższej stacji. Worki układamy od razu w takiej kolejności, w jakiej wyrzuca się je na peron lub do wózków.

- Powiadacie, Bagiński, że klucze były w kieszeni waszej marynarki?

- Z całą pewnością, panie majorze.

- A nie w zamku, w drzwiach? - dopytywał się ciągle major.

- Nie. A dlaczego pan o to pyta? Czy w wagonie coś było nie w porządku? Jedna z pielęgniarek mówiła, że znaleziono nas nieprzytomnych i z Kuluszek przywieziono do Łodzi.

- Tak - przytaknął major. - W wagonie brakuje dwóch przesyłek wartościowych na półtora miliona złotych.

Błada wskutek choroby twarz Bagińskiego zbladła jeszcze bardziej.

- Pan mnie aresztuje? Ja nie winien. Ja nie wziąłem. Przysięgam... Półtora miliona złotych!

- Nie wiem, co z wami zrobię - szczerze przyznał major. - Być może, że będziecie pociągnięci do odpowiedzialności. W każdym razie jest waszym obowiązkiem pomagać milicji przy wykryciu sprawcy kradzieży. W ten sposób zmniejszycie swoją winę.

- Wszystko zrobię... Wszystko... Co pan major każe - jękał się Bagiński. - Całe życie przeżyłem uczciwie. Nie jestem winny. Trzydzieści trzy lata służby. Parę lat do emerytury i na końcu taka historia!

Major Szpotański, nie po raz pierwszy zresztą, skonstatował, że widok płaczącego mężczyzny jest o wiele bardziej przykry niż widok zapłakanej kobiety. Ten stary człowiek dopiero teraz uświadomił sobie, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł. Miał spokojną pracę. Za kilka lat emerytura. A teraz dyscyplinarka, sąd za niedopatrzenie obowiązków służbowych i perspektywa karnego usunięcia z pracy, z pozbawieniem wysługi lat. Cała spokojna przyszłość przekreślona. Chociaż więc Bagiński usiłował się opanować, łzy płynęły nadal po bladej, wychudłej twarzy.

- No, uspokójcie się - major uznał za stosowne pocieszyć przesłuchiwanego - może nie będzie najgorzej. Nie powiedziałem przecież, że to was posądzam o kradzież pieniędzy. Skoro znajdziemy sprawcę, wszystko się wyjaśni.

- Panie majorze! - błagalnie westchnął chory.

- Przypomnijcie sobie jeszcze kilka szczegółów. W którym miejscu siedzieliście przy stole?

- Ja siedziałem przy oknie. Z drugiej strony Olszak. Z boku Mazurek.

- Mówiliście, że byliście bez marynarki. Na pewno?

- Na pewno. Marynarkę powiesiłem na wieszaku za sobą.

- A inni?

- Oni również mieli tylko koszule. W wagonie było bardzo gorąco. Ambulans stał cały dzień na pełnym słońcu. Blacha i drzewo tak się nagrzały, że w środku było jak w piecu. Wczorajszy wieczór był duszny i gorący. Nie można było swobodnie oddychać. Kto by wytrzymał w grubej kurtce mundurowej?

- A skąd się wzięło piwo?

- Mazurek kupił je na dworcu. Żartowaliśmy, że przewieziemy go do Katowic pod warunkiem postawienia ćwiartki. On powiedział, że ćwiartki nie zafunduje, bo jesteśmy na służbie, ale po butelce piwa może zorganizować.

- Piliście wszyscy razem?

- Kiedy pociąg ruszył, Mazurek zaproponował, aby wypić piwo, bo im dłużej będzie stało, tym bardziej się ociepli. Poza tym każdemu z nas chciało się pić. Ja przezornie wziąłem z domu bańkę kawy. Mało słodzona kawa to w drodze najlepszy napój.

- Czy tę kawę też piliście?

- Nie. Stała na górnej półce koło mojego śniadania.

- Czy Olszak miał coś do picia?

- Nie. On kawaler. Stale mieszka w Katowicach i dotychczas jeździł na tamtych trasach. Od maja przydzielono go na jakiś czas do Warszawy, ponieważ paru konwojentów zachorowało, a niektórzy wzięli urlopy i brakowało ludzi do obsługi ambulansów. A że on samotny, to mu się kalkulowało wziąć taką delegację. To nowy pracownik. Nie ma jeszcze roku, gdy zahaczył się na poczcie.

- Czy na dworcu w Warszawie wchodził ktoś do wagonu pocztowego?

Bagiński przytaknął.

- Kilka osób. Wchodzili z urzędu pocztowego dwaj, którzy przywieźli na wózku ostatnie worki z pocztą. Potem ten, co przyniósł przesyłki wartościowe i listy dworcowe nadane nie bezpośrednio do wagonu.

- Kto nosi przesyłki wartościowe?

- Jeden z pracowników urzędu dworcowego wraz z ubezpieczeniem. Ludzie absolutnie pewni. Tylko on wszedł do wagonu, otworzył torbę i wydał mi przesyłki. Nikt inny nie wchodził do środka.

- Nikt więcej nie wchodził?

- Był jeszcze dyżurny ruchu.

- Po co?

- W jednej czy w dwóch lampach nie paliło się światło, więc Olszak zawołał dyżurnego, żeby on sam to zobaczył i przysłał kogoś do naprawy.

- Dyżurny naprawił światło?

- Nie, ale przysłał elektrotechnika. Ten obejrzał cały wagon, znalazł przepaloną czy też źle kontaktującą żarówkę, naprawił i powiedział, że teraz wszystko jest już w porządku.

- A kiedy przyszedł elektryk?

- Jakies piętnaście minut przed odejściem pociągu. Kręcił się po wagonie chyba z dziesięć minut. Nie zwracałem uwagi na jego wyjście, bo właśnie układałem przesyłki wartościowe.

- A co robił wtedy Olszak?

- Olszak przyjmował listy dworcowe. Zapisywał je w książce i znaczył, na jakiej stacji trzeba je oddać. Zabieramy listy dworcowe nie tylko do tych stacji, na których się zatrzymujemy, ale do różnych miejscowości położonych przy bocznych liniach. Trzeba więc odpowiednio posegregować listy, aby nie pojechały z nami dalej lub żeby wcześniej „nie wysiadły”. Postoje na stacjach trwają krótko i nie ma czasu na sprawdzanie. Mamy tylko kilka minut na wyładowanie worków z pocztą, przyjęcie tych, które czekają na peronie, i oddanie za pokwitowaniem przesyłek wartościowych. Roboty jest wtedy tyle, że musimy dobrze się zwiijać, aby nie przetrzymać pociągu ponad rozkład jazdy.

- Czy elektryk miał jakąś torbę?

- Teczke z narzędziami. Kiedy przyszedł, to położył ją na stole. Gdy czegoś potrzebował, to podchodził do stołu i wyjmował z teczki. Ale przyznam się, że niewiele zwracałem na niego uwagi.

- Czy już wtedy piwo było kupione?

- Tak. Stałe na stole przy samym oknie. Cały czas tam stało, dopóki go nie otworzyliśmy i nie wypiliśmy.

- Kto jeszcze wchodził?

- Konwojent z wagonu sypialnego Warszawa-Rzym.

- Czego chciał?

- Przyszedł przywitać się. Przecież wszyscy dobrze się znamy, bo od kilku lat razem jeździmy. Z Mazurkiem jest on nawet zaprzyjaźniony. Przyszedł, pogadał i zaraz wyszedł.

- A co mówił?

- Zwyczajnie. Opowiadał, kto jedzie w jego wagonie. Podobno jakiś minister czy wiceminister na konferencję do Włoch, trochę Polaków z delegacjami i na zaproszenia, jeden dyplomata z żoną i jakiś cudzoziemski pułkownik. Ta ambasadorowa dostała tyle kwiatów, że nie było gdzie stawiać w przedziale. Odprowadzających zeszło się sporo, jak zwykle gdy przyjaciele lub znajomi wyjeżdżają za granicę.

- Wagon sypialny był daleko od waszego?

- Nie. Z przodu mieliśmy lokomotywę i wagon bagażowy. Następny był nasz, a za nami sypialny do Rzymu.

- Czy konwojent przyszedł przejściem między wagonami?

- Nie. Przejście było połączone jedynie mostkiem; ale harmonijki nie były spięte. Do ambulansu i do wagonu bagażowego nie podłącza się harmonijek, bo tego przejścia używa się tylko w razie jakiejś nadzwyczajnej potrzeby lub katastrofy. Normalnie drzwi zawsze są zamknięte. On przyszedł zwyczajnie, peronem.

- Czy dużo czasu brakowało wtedy do odjazdu?

- Nie. Parę minut. Wcześniej nie mógłby przyjść, bo musiał stać przy wejściu i przyjmować podróżnych. Dopiero gdy wszyscy zajęli swoje przedziały, podskoczył do nas. Był bardzo krótko.

- Czy miał coś ze sobą?

- Tak. Trzymał paczkę. Mówił, że obiecał kolejarzom z bagażowego po butelce piwa i zajrzał do nas po drodze. Pamiętam, że na chwilę postawił butelki na stole, a wychodząc zabrał je ze sobą. Widziałem, jak podał te butelki w sąsiednim wagonie.

- O czym jeszcze mówił?

- Olszak chciał, żeby nam to piwo zostawił. On zaś śmiał się, że zrobi to, jeżeli damy mu jeden worek z pocztą. Na to Mazurek, że z worka pełnego listów nic by mu nie przyszło, bo nawet znaczki są skasowane. To znowu Olszak zażartował, że za dużo chce w zamian za piwo, bo w paczkach są bardzo cenne rzeczy i dużo pieniędzy. Tak zwyczajnie chlapani językiem, co im ślina do ust przyniosła.

- Więcej odwiedzin w wagonie nie było?

- Nie. Nikt więcej nie przychodził, nie licząc oczywiście kolejarzy z bagażowego.

Major Szpotański rozzłościł się.

- Słuchajcie, Bagiński, mówcie wszystko, co wiecie. A nie żebym z was musiał słówko po słówku wyciągać.

- To przecież nieważne, panie majorze - tłumaczył chory. - Wiadomo, kolejarze z bagażowego są koło nas. Mamy taką samą pracę. My pocztę, oni przesyłki ekspresowe i bagażowe. Ciągłe jesteśmy w kontakcie. My chodzimy do nich, oni zaglądają do nas. Zwyczajna rzecz. Przyjdzie, poczęstuje papierosem, opowie, co wiozą, czy mają dużo ładunku, na jakiej stacji będzie im najciężej wszystko na czas wyrzucić...

- No to jak? Wy idziecie do bagażowego, a ambulans zostaje bez nikogo?

- O nie! To jest wbrew regulaminowi. Obaj jednocześnie z wagonu nie wychodzimy. Zresztą wejście do bagażowego o parę kroków od naszego. Ma się i tak wszystko na oku. Przeważnie zresztą oni do nas przychodzą. Nieraz pomogą nawet w pracy, bo bagaże ładuje się zazwyczaj o wiele wcześniej niż nasze listy. Na kwadrans przed odjazdem oni są już wolni. My wtedy mamy najwięcej roboty z listami dworce wy mi.

- Byli u was wczoraj?

- Byli. Jeden był na pewno w środku wagonu. Częstował mnie papierosem. A drugi stał na peronie. Nie wchodził.

- Wiecie, jak się nazywają?

- Z nazwisk nie pamiętam, ale ten, który był u nas, ma na imię Marian.

Do separatki zajrzał lekarz.

- Prosiłbym, panie majorze, kończyć. Chory jeszcze bardzo osłabiony. Zbyt długie rozmowy nie są wskazane.

- Przepraszam, doktorze. Już kończymy - major wstał. Wychodząc z pokoiku uprzedził Bagińskiego, że po wyjściu ze szpitala ma się natychmiast zgłosić do Komendy Głównej MO na Ksawerowie i tam będzie oficjalnie przesłuchany. Do tego czasu powinien przypomnieć sobie możliwie najdokładniej wszystko to, co działo się w wagonie pocztowym, poczynając od podstawienia pociągu na stację Warszawa Główna, a kończąc na momencie utraty przytomności. To leży w jego własnym, Bagińskiego, interesie.

Major wyszedł na korytarz razem z lekarzem.

- Kiedy wróci całkowicie do zdrowia?

- Przypuszczam, że za jakieś cztery, pięć dni. On najbardziej odczuł skutki zatrucia. Nic dziwnego, bo jest najstarszy z całej trójki i z sercem też już nie najlepiej. Z dwóch pozostałych jednego, młodszego, można będzie jutro wypisać ze szpitala. Najlepiej to zniósł. Obudził się dużo wcześniej niż jego towarzysze. A trzeci, Mazurek, za dwa dni może wracać do domu. Poza skutkami wypicia nasennego płynu potłukł się nieco, spadając ze stołka.

- A co to w ogóle było?

- Klasyczne objawy zatrucia środkami nasennymi. Najprawdopodobniej zwykły luminal lub phanodormium. Łyknęli po trzy lub cztery pastylki. Ze względu na charakter sprawy robimy analizę krwi, moczu i treści żołądka. Będziemy więc mogli powiedzieć z całą dokładnością, jaki środek nasenny był użyty, a nawet w jakim stężeniu. Przypuszczam, że nie myłę się, mówiąc o co najmniej trzech pastylkach.

- Raczej dostali je w płynie. Czy to rozpuszcza się w piwie?

- Bez żadnych trudności. W każdym płynie. Wtedy działa nawet szybciej niż w pastylce.

- Czy gdyby piwo zatruc środkiem nasennym, a w naszym przypadku tak prawdopodobnie się stało, nastąpiłyby jakieś zmiany smaku tego płynu?

Lekarz zastanowił się.

- Trudno mi występować w roli eksperta. Przede wszystkim dlatego, że piwo nigdy nie było moim „hobby”. Używam tego płynu bardzo rzadko. Natomiast, niestety, stosunkowo często muszę uciekać się do pomocy środków nasennych. Przepracowanie, nerwy, różne kłopoty osobiste... Znam więc dobrze zarówno działanie, jak smak tych specyfików. Są one gorzkawe. Rozpuszczone w herbacie lub w zwykłej wodzie od razu zmieniają smak tych płynów. Ale w piwie? Bardzo wątpię. Piwo również jest gorzkie. Chyba jedynie wytrawny znawca-piwoosz mógłby poznać, że płyn, który pije, jest bardziej gorzki lub ma inną nieco gorycz niż zwykle.

- Czy przy takim stężeniu, jak pan doktor mówił, to znaczy przy trzech albo też czterech pastylkach na butelkę piwa, szybko działa ta mieszanina po wypiciu zawartości całej flaszki?

- To zależy zarówno od pory, kiedy płyn został wypity, jak i stopnia zmęczenia człowieka, który go pił. A także od tego, czy pijący przyzwyczajony jest do zażywania środków nasennych. Przy ciągłym używaniu jakiegoś narkotyku organizm coraz bardziej się uodparnia na jego działanie. Na przykład morfiniści lub kokainiści muszą nieustannie zwiększać dawki i dochodzą do ilości, która byłaby zdolna zabić kilku innych ludzi. Jedyne wyjątek stanowi alkohol. On działa odwrotnie. Im dłużej alkoholik pije, tym mniejszej ilości wódki mu potrzeba, aby dojść do stanu upojenia. W końcu samo wacchanie i smakowanie alkoholu wystarcza mu dla osiągnięcia podniecenia alkoholowego.

- Pocztovcy wypili piwo około godziny jedenastej wieczorem. Nie przypuszczam, aby któryś z nich stale używał środków nasennych. Przed wypiciem piwa ciężko pracowali, szykując swój ambulans do drogi.

- W tym przypadku, biorąc pod uwagę duże stężenie środka nasennego, mogli w ciągu dwudziestu minut stracić przytomność.

- Czy taka dawka mogła być śmiertelna?

- Zasadniczo nie. Ale ludzie umierają nieraz po wypiciu czegoś bardziej niewinnego. Choćby szklanki zwykłej wody. To również zależy od indywidualności organizmu i stanu zdrowia.

- A ci pacjenci?

- Nawet gdyby nie stosowano żadnych zabiegów, pocztowcy obudziliby się po mniej więcej dwudziestu czterech godzinach snu. Jedynie z Bagińskim mogłoby być trochę gorzej. Starszy już człowiek i z nieco nadwątłym sercem. Jednakże nawet w jego przypadku obawiałbym się określić tej dawki jako śmiertelnej. Najwyżej można użyć słowa „szkodliwa”. Bagińskiemu zresztą będziemy musieli dać zwolnienie z pracy na okres dwóch tygodni, aby całkowicie przyszedł do siebie. Reszta prosto stąd może wracać do swojej roboty.

- Czy nie była to symulacja? Może oni udawali, że są nieprzytomni?

- Wykluczone! Największy aktor nie odegrałby takiej roli. Przecież płukaliśmy im żołądki. Tego żaden symulant nie wytrzyma. Trzeba być naprawdę nieprzytomnym, aby nie zareagować na taki zabieg. Występowały u nich wszystkie klasyczne objawy zatrucia narkotykiem. Pod tym względem mamy wprawę. Nie ma prawie tygodnia, aby nie przywieziono nam przynajmniej jednego takiego pacjenta. Nadużywanie wszelkiego rodzaju środków uspokajających, poczynając od zwykłych proszków od bólu głowy, a kończąc na silnych barbituratach, to plaga naszej cywilizacji. Tymi problemami zajmują się dzisiaj najpoważniejsze kongresy naukowe.

- Muszę porozmawiać z pozostałymi dwoma. Czy pan doktor również ograniczy mnie w czasie przy prowadzeniu następnych przesłuchań?

- Nie. Oni są absolutnie zdrowi. Zwłaszcza młodszy. Obudził się już około ósmej rano. Ten drugi odzyskał przytomność o dwunastej. Tylko u Bagińskiego okres nieprzytomności trwał do czwartej po południu. Z tymi dwoma pocztowcami może pan rozmawiać choćby do nocy. Jutro rano wypiszemy ich ze szpitala.

V. Pasażer na gapę

Przesłuchiwany Karol Olszak zasadniczo potwierdził wszystko to, co przedtem zeznał, Zygmunt Bagiński. Z tą jednak różnicą, że stan zdrowia chorego był znacznie lepszy niż starego listonosza i poza tym Olszak zdawał sobie sprawę z wagi zeznań i swojego położenia. W rozmowie z majorem podkreślał z całym naciskiem, że w ambulansie pracuje krótko. Do Warszawy został przeniesiony tylko chwilowo i nie orientował się w miejscowych stosunkach. Zaznaczał też, że kierownikiem ambulansu był Bagiński, a on, Olszak, wypełniał jedynie jego polecenia.

Jednym słowem Olszak od razu zrozumiał, że grozi mu odpowiedzialność za niedopełnienie obowiązków służbowych. Z góry więc asekurował się, starając się pomniejszyć swoją rolę, a całą winę zwalić na Bagińskiego jako na swojego przełożonego i na dużo starszego pracownika poczty, który o wiele lepiej znał przepisy służbowe.

Taka postawa przesłuchiwanego nie zdziwiła majora Szpotańskiego. Przeciwnie, spodziewał się jej. Z próbami zwalania winy na zwierzchnika lub na kolegę spotykał się prawie codziennie w swojej pracy zawodowej. Doświadczony oficer wiedział nawet, że odpowiednio prowadząc przesłuchanie można uzyskać od rozmówcy sporo ciekawych faktów. Będą to wprawdzie bez wyjątku rzeczy obciążające osobę trzecią, a umniejszające winę przesłuchiwanego, ale w każdym razie fakty, których nie dałoby się ujawnić w inny sposób.

- Rozumiem - powiedział teraz major, wpadając w ton Olszaka - że Bagiński jako kierownik ambulansu nie pytał was, czy wziąć do wagonu Mazurka. Chciałbym jednak wiedzieć, jak to było z tym piwem.

- Słyszałem rozmowę Bagińskiego i Mazurka, że za przejazd trzeba coś postawić. Nie pamiętam, czy ćwiartkę, czy piwo. Dość że Mazurek poszedł kupić piwo, ale wrócił z pustymi rękoma. Mówił, że na wózku stojącym na peronie piwa nie ma. Nie było go też podobno i w bufecie stacyjnym. Ale Mazurek tłumaczył, że wózkarz obiecał wystarać się o parę butelek. Bufetowa zazwyczaj trzyma pod ladą piwo dla stałych gości i stamtąd miał je przynieść. Rzeczywiście jakieś dziesięć minut przed odjazdem pociągu przyszedł do nas wózkarz i przyniósł pod fartuchem dwie butelki piwa.

- Dwie butelki? - zdziwił się major. - Czy się nie mylicie?

- Nie myślę. Na pewno dwie butelki. Mazurek złościł się, że przecież prosił o więcej, ale wózkarz tłumaczył się odmową bufetowej. Ile dała, tyle przyniósł. I potem zaproponował Mazurkowi, żeby dokupił piwo u konwojenta z wagonu sypialnego. Oni zawsze dostają na drogę parę skrzynek.

- Co było dalej?

- Nie wiem. Nie zwracałem na to uwagi. Miałem dużo roboty z listami dworcowymi. Szło mi dość ciężko, bo nie znam jeszcze wszystkich szlaków i musiałem pytać o niektóre z nich Bagińskiego lub Mazurka. Ale wydaje mi się, że Mazurek poszedł po to piwo do wagonu sypialnego, bo później przyszedł stamtąd do nas konwojent i przyniósł je.

- Przyniósł dla was piwo?

- Tak. Pamiętam, że postawił na stole. Zresztą pierwsze dwie butelki już tam stały. Mazurek jeszcze wołował, aby konwojent dał wszystkie flaszki, jakie miał przy sobie, ale on podobno już przedtem obiecał podratować piwem kolejarzy z bagażowego. Tłumaczył się, że tym razem mało mu wstawiono piwa i nie wystarczy do Rzymu i z powrotem.

- Czy konwojent jawnie niósł butelki? Po prostu w ręku? Olszak zastanowił się.

- Nie. Chyba miał je w coś zawinięte. Albo w papier, albo w dużą torbę. Pamiętam jak przez mgłę, że rozpakował paczkę na stole. Ale nie przyglądałem się, bo razem z Bagińskim układaliśmy listy na półkach.

- A co robił wtedy Mazurek?

- Mazurek stał w drzwiach i rozmawiał z kolejarzami, którzy przywieźli do brankardu bagaż. Konwojent był bardzo krótko. Tylko przepakował paczkę, wyjął butelki, postawił obok tamtych i wyszedł, pewnie do bagażowego. Musiał się spieszyć, bo zaraz po konwojencie zajrzał dyżurny ruchu, pytając, czy u nas wszystko gotowe, bo czas odprawić pociąg.

- Którędy przyszedł konwojent? Czy przejściem między wagonami?

- Nie. Peronem. Dopiero później, gdy pociąg ruszył, Bagiński otworzył drzwi między wagonami i wypukał konwojenta, bo potrzebował papierosów.

- Przecież harmonijka nie była zapięta?

- No to co? Prócz harmonijki są metalowe poręcze, a mostek zawsze jest założony. Kobieta czy jakiś podróżny miałby stracha, ale nie my i nie kolejarze. Jak się chodzi stale, to człowiek się przyzwyczaja i wprawy nabiera.

- Przychodzili do was jacyś kolejarze?

- Tylko ci z bagażowego. Tuż przed odjazdem wpadli na chwilę przywitać się z nami. A prawda... Przedtem był elektryk, który naprawiał światło, i dyżurny ruchu.

- Kiedy wypiliście piwo?

- Kiedy pociąg ruszył, Bagiński powiedział: „Wypijmy piwo, bo Mazurek jeszcze się rozmyśli i gotów nam nie dać” i zaczął otwierać butelki.

- Siedzieliście przy stole?

- Nie. Przy stole był tylko Zygmunt. Ja jeszcze sprawdzałem worki, a Mazurek dopiero wracał z bagażowego.

- To Mazurek wychodził z ambulansu w czasie jazdy?

- Poszedł na krótko do kolejarzy w brankardzie.

- Po co?

- Nie wiem. Chyba również po papierosy. Ja nie palę, więc mnie to nie interesowało, ale przypominam sobie, że Bagiński nie dostał papierosów w sypialnym. Wtedy Mazurek poszedł do wagonu bagażowego prosić kolejarzy, aby odstąpili coś do palenia. Zaraz jednak wrócił. Kiedy Bagiński zobaczył, że Mazurek wraca, zawołał o tym piwie...

- Boczne drzwi wagonu były zamykane na dodatkowe zasuwy?

- Nie wiem. Może zasuwa była założona, a może tylko zwykły rygiel, podobnie jak inne wagony kolejowe.

- Czy taki rygiel można z zewnątrz otworzyć kluczem kolejowym?

- Tak. Tym kwadratowym. Trójkątnym otwierają się schowki z instalacją elektryczną, a okrągłym ze szparą hamulce i gazowe. Dlatego każdy kolejarz z obsługi pociągu musi mieć albo uniwersalny klucz, albo wszystkie trzy oddzielnie. My także mamy takie klucze.

- A konwojent z sypialnego i kolejarze z wagonu bagażowego?

- Na pewno mają!

- To dlaczego nikt nie spróbował otworzyć wagonu tym sposobem wtedy, kiedy wyście leżeli już nieprzytomni, na stacji w Koluszkach?

- Nie wiem. Może stracili głowę. Może...

- Może?

- Może nie chcieli wplątywać się w sprawę. Kto ich tam wie?

- Ale wracajmy do piwa. Jak to wtedy było?

- Usiedliśmy przy stole i popijaliśmy z butelek. Bagiński żałował, że zapomniał zabrać kart, bo można by zagrać w trójkę w tysiąca licytowanego albo w macao. Mazurek opowiadał o swojej siostrze z Bytomia czy z Gliwic. Ja mówiłem o Katowicach. Ot, tak się plotło, aby czas szybciej leciał.

- Jak siedzieliście?

- Kierownik pod oknem. Obok niego Mazurek, a ja naprzeciwko Bagińskiego.

- A marynarki?

- Cóż marynarki? Zwyczajnie wisiały na wieszakach. Po tej stronie, gdzie siedział Bagiński. Gorąco było przecież, kto by dał radę w mundurze...

- Co było dalej?

- Tak mnie to piwo zaczęło jakoś rozbierać, że głowa sama poleciała na stół. Raz jeszcze chciałem się przewyciężyć, podnieść łeb i otworzyć oczy, ale już nic nie widziałem. Zdawało mi się, że naprzeciwko mnie nikogo nie ma, że ktoś coś do mnie mówi...

- Co mówił?

- Chyba powiedział „nie śpij”, a potem „on już jest gotów”. Ale czy to było na jawie, czy we śnie, tego nie wiem. Takie jakieś majaki kotłowały mi się po głowie, jak gdyby ktoś chodził po wagonie i mówił o jakichś kluczach. Ktoś mnie chyba ruszał.

- Czyj to był głos? Mazurka czy Bagińskiego?

- Nie wiem. Pewnie żadnego z nich. Zaraz potem zupełnie straciłem przytomność i nic już więcej nie pamiętam.

- Czy klucz od pomieszczenia do listów poleconych znajdował się w zamku?

- Nie mógł się tam znajdować. Paczkami wartościowymi opiekował się kierownik, czyli Bagiński. On zawsze ma klucz przy sobie. Otwiera i zamyka drzwi od tego pomieszczenia. Ja pilnuję listów dworcowych i worków z pocztą. Taki jest podział, odkąd tylko zaczęliśmy razem pracować.

- Na półce nad stołem leżały wasze rzeczy. Co tam było pańskiego?

- Miałem trochę jedzenia. Dwie bułki i dwadzieścia deka kielbasy. Poza tym chleb z serem i masłem.

- Nic do picia?

- Nic. Jestem kawalerem, a w Warszawie mieszkam w hotelu pocztowym. Mam własne mieszkanie, a właściwie pokój w Katowicach. Teraz jestem przeniesiony na okres urlopów do stolicy. A że jeżdżę na tej trasie, to ze dwa razy w tygodniu wstępuję do domu. Trochę się człowiek namęczy, ale za to jest dodatek. Przed pójściem do pracy zjadłem kolację. Paczkę wziąłem, żeby mieć śniadanie. W Zebrzydowicach, na granicy polsko-czechosłowackiej stoimy parę godzin. Tam można napić się herbaty w bufecie kolejowym.

- A po drodze?

- W drodze najlepiej gasi pragnienie zwykła woda. W razie czego można dostać coś do picia w wagonach sypialnych. Nigdy więc nie zabieram ze sobą butelek ani termosów.

Stanisław Mazurek, chociaż niewiele młodszy od Zygmunta Bagińskiego, był jego całkowitym przeciwieństwem. Zbudowany masywnie, twarz miał rumianą i okrągłą. Na ustach gościł mu pogodny uśmiech. Nie wydawał się specjalnie zmartwiony swoim położeniem, a fakt okradzenia ambulansu na tak poważną kwotę przyjął zupełnie spokojnie. Nawet zagwizdał.

- Ko, ho - powiedział do majora, który po przesłuchaniu Olszaka zajrzał z kolei do trzeciego chorego. - To facet dobrze się obłowił. Ciekawe, czy milicja potrafi go złapać.

- Prędzej, niż wam się to zdaje.

- No to dobrze. Wtedy cała nasza sprawa rozejdzie się po kościach. Wszyscy będą zadowoleni, a milicjantom pewnie ładna nagroda kapnie.

- Widzę, że nie bardzo przejmujecie się swoją sytuacją - majora nieco drażnił beztroski ton chorego, który spoglądał pogodnymi, niebieskimi oczyma i zdawał się być zadowolony z całego świata.

- Co mam się przejmować, panie majorze. Paskudnie wdepnąłem, jak śliwka w kompot, pchając się do tego wagonu. Takie już moje pieskie szczęście. Ale co ostatecznie mogą mi zrobić? Że jechałem bez biletu? No to zapłacę karę. Że wlałem do ambulansu pocztowego, którym nie wolno nikomu jeździć? Przecież głowy mi nie urwą. Tyle lat człowiek na poczcie przepracował, że z pracy nie wyrzucą. Jestem starym związkowcem. Łącznościowcy nie dadzą mi krzywdy zrobić. Na całą Polskę krzyk by się podniósł. A gdyby, już w najgorszym wypadku, wyrzucili mnie z roboty, no to co? Z głodu umrę? Znajdę sobie pracę gdzie indziej. Zarobię nie mniej. Znam się trochę na ciesielce,

bo jestem spod Ostrołęki, a tam każdy chłop to urodzony cieśla. Krzepę jeszcze w sobie mam i mogę pójść na budowę. Źle mi tam nie będzie. Więc po co z góry się martwić? Lepiej niech pan major poczęstuje mnie papierosem, bo już drugi dzień nie pałę.

Major musiał przyznać w duchu, że w tym, co mówił Mazurek, jest sporo racji. Ostatecznie jego położenie było dużo lepsze niż pozostałych dwóch pocztowców. To oni popełnili wykroczenie służbowe, przyjmując trzeciego do ambulansu i zgadzając się na przeszmuglowanie go do Katowic. Gdyby Bagiński lub Olszak zaprotestowali, Mazurek chcąc nie chcąc musiałby wykupić bilet i jechać w normalnym wagonie. Cała odpowiedzialność spada na nich dwóch, przede wszystkim zaś na Bagińskiego jako kierownika ambulansu. Mimo to Szpotański, częstując chorego papierosem, postanowił nieco go nastraszyć. Może zmięknie i „zacnie puszczać farbę”.

- No... Nie wiem, czy tylko na tym się skończy. Może was spotkać przecież coś znacznie gorszego.

- A co? - Mazurek zdziwił się albo udawał zdziwienie. Spojrzenie jego jasnych oczu było symbolem niewinności i nieświadomości.

- Na przykład - major wycedził to przez zęby - prokurator zamknie was do więzienia i wytoczy akt oskarżenia o kradzież półtora miliona złotych.

Stary listonosz uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A to byłaby heca - powiedział - nie chciałbym jednak być w skórze tego prokuratora. Musiałby się, biedak, tłumaczyć z przetrzymania w więzieniu niewinnego człowieka. Przecież jest w Polsce sprawiedliwość i każdy sąd by mnie uniewinnił. Przesiedziałbym parę miesięcy do sprawy, ale co w tym złego? Więzienia też są dla ludzi. A poza tym, panie majorze, jeżeli ukradłem te pieniądze, to gdzie one są?

Oficer milicji postanowił zmienić system przesłuchiwania.

- My tu sobie, panie Mazurek, tak żartujemy - powiedział - ale przecież zarówno panu zależy na tym, aby koledzy nie mieli kłopotów, jak i mnie chodzi o złapanie złodzieja i odzyskanie państwowych pieniędzy. Nie mówiłem, że pan jest winien, ale obowiązkiem dobrego obywatela jest pomóc władzom w wytropieniu przestępców. Toteż bardzo liczę na to, że pan nam w tym pomoże.

- Dlaczego nie - zgodził się Mazurek - jestem dobrym obywatelem i chętnie pomogę. Tym bardziej że jeszcze nikt tak mnie nie przerobił jak ten drań. Żeby mnie, starszego człowieka, wyciągali z wagonu jak niemowlę i jak pień drzewa wieźli do szpitala? Cały urząd będzie się ze mnie śmiał. A jeszcze na dodatek żołądek mi przepłukali jak jakiemuś alkoholikowi. Wstyd!

- No widzi pan. Nareszcie się dogadaliśmy - rzekł uradowany major.

- Ale co ja mogę powiedzieć? Dziura w pamięci. Jak zakręciło mi się w głowie, to obudziłem się dopiero w Łodzi.

- A jak to było z tym piwem, panie Mazurek.

- Wiadomo. Koledzy wzięli do wagonu, to poczęstunek im się należy. Nawet gdyby się nie przymawiali, to również bym postawił. Na służbie nie wolno pić wódki, ale piwo? W taki upał najlepszy środek na pragnienie. Gdy już położyłem swoją teczkę na półce...

- Aktówkę? W środku koszula, ręcznik i mydło?

- Skarpetki też i chustki do nosa. Jechałem na kilka dni do siostry, wziąłem więc ze sobą zmianę bielizny. Położyłem teczkę, pomogłem ustawić worki z pocztą jak należy, a kiedy oni wzięli się za listy dworcowe i przesyłki wartościowe, poszedłem do wózkarza. Znam go jeszcze z okresu, gdy był pikolakiem. Powiedziałem do niego: „Jędreku, daj parę flaszek piwa”. A ten mówi, że nie ma. To ja do niego, żeby swojej babci takie historyjki opowiadał, ale nie mnie. On się tłumaczy, że w taki upał na całej stacji w ogóle niczego nie znajdę do picia. Ale kiedy go przycisnąłem, to zreflektował się i obiecał skoczyć do bufetowej. Wie pan, do tej grubej pani Heli. Ona zawsze coś tam pod bufetem schowa dla lepszych gości. Dałem mu dychacza, a może nawet dwa? I wróciłem do ambulansu.

- To było tuż przed samym odjazdem pociągu?

- Nie. Skład podstawiają zwykle bardzo wcześnie. Do odjazdu brakowało jeszcze z pół godziny.

- Co było dalej?

- Za jakieś dziesięć minut chłopak przyniósł, ale tylko dwie butelki. Mówił, że Helenka nie chciała dać mu więcej. Tłumaczył, że i te dwie niósł pod kitem, boby mu po drodze chyba siłą zabrali. Upał od rana, naród spragniony, a tu nic do picia. Wiadomo - lato stulecia.

- Co zrobiliście z piwem?

- Ano Jędreku postawił na stole i poszedł. Nawet się nie zająknął, że jakaś reszta się należy. Niech go tam...

- Mówcie, mówcie.

- Myślę sobie, przejdę się po wagonach sypialnych. Jeżeli trafi się znajomy konwojent, od niego będzie można trochę piwa wycyganić. Oni zazwyczaj dostają na drogę parę skrzynek. A zna się prawie wszystkich. Tym bardziej tych starych, którzy od lat pracują w „Warsie”. Niedaleko poszedłem, bo zaraz w wagonie obok trafiłem na znajomka. Powiedział, że chwilowo nie może, bo przyjmuje podróżnych, ale przed odjazdem do nas podskoczy, a w najgorszym razie przyniesie nam do wagonu w czasie drogi.

- Znać tego konwojenta?

- Znać to znam. Ale jak on się nazywa, nie wiem. Nie było mi to nigdy potrzebne. Łatwo go pan major znajdzie. Pamiętam, że jechał sypialnym do Rzymu. W dyrekcji „Warsa” będą wiedzieli, który z nich tego dnia miał służbę.

- Dobrze. Dowiem się.

- Na parę minut przed odjazdem przyszedł ten konwojent i przyniósł piwo. Miał je zawinięte, aby ludziom w oczy nie podpadło, iż wynosi coś z wagonu sypialnego. Rozpakował na stole, postawił przy stojących już flaszkach, a resztę zaniósł do bagażowego. Tamci także prosili go o piwo.

- Przy was rozpakowywał?

- Byłem w wagonie, ale przy nim nie stałem, rozmawiałem przy drzwiach.

- A dlaczego nie podał z peronu, tylko wszedł do środka?

- Niedaleko stał dyżurny ruchu i akurat patrzył w naszą stronę. Przy sypialnym było dużo odprowadzających. Konwojent trochę się bał. Po cichu zapytałem: „Masz piwo?”, a on kiwnął głową i powiedział: „Sam wejdę i postawię na stole”. Tak zrobił. Widziałem, że również wszedł do bagażowego. Nie chciał, żeby ktoś zobaczył, co niesie.

- A jak to było z wchodzeniem do wagonu sypialnego i do brankardu, kiedy pociąg ruszył?

- Z tym piwem zeszło mi do samego odjazdu i zupełnie zapomniałem o papierosach. Kiedy pociąg ruszył, patrzę, a tu nic do palenia. Bagiński poszedł do sypialnego, aby kupić papierosów, otworzył drzwi między wagonami i wystukał konwojenta. Ale dalej nie wchodził, bo tamten miał tylko „Caro”, „Wawele” i „Belwedery”. Nie na naszą kieszeń i nie na nasz gust. Poszedłem wtedy do bagażowego, żeby kolejarze odstąpili mi paczkę „Sportów”. U nich jednak z paleniem również było krucho i pożyczyci parę sztuk. Obiecałem, że w Częstochowie, gdzie pociąg stoi dłużej, kupię w bufecie i oddam dług.

- Kiedy zaczęliście pić piwo?

- Jak wróciłem z papierosami z bagażówki, zapaliliśmy z Bagińskim po papierosie, bo Olszak nie pali, i popiliśmy piwem.

- Kto otwierał butelki?

- Nie pamiętam. Chyba Olszak.

- Chyba czy na pewno?

- Olszak otwierał, ale Bagiński też. Nie przypominam sobie dokładnie. Nie zwracałem na to uwagi.

- Co było potem?

- Piliśmy piwo i rozmawialiśmy. Mówiłem o siostrze, jak żyje w Gliwicach, a głowa robiła mi się coraz cięższa, jak gdyby do niej ktoś ołowiu nalał. Sama leciała na stół. Zasnąłem.

- Niczego nie pamiętacie? Żadnych odgłosów czy rozmów?

- Nie pamiętam.

- Nikt nie mówił o jakichś kluczach? Mazurek wyęczał pamięć.

- W pewnej chwili poczułem, że się przewracam. Wtedy na moment jakbym się ocknął. Słyszałem jakieś kroki i trzask otwieranych lub zamykanych drzwi.

- Bocznych czy głównych? Z której strony?

- Tego nie wiem. Ale hałas słyszałem na pewno. Później zdawało mi się, że ktoś mnie dusi. Obudziłem się w Łodzi.

- Powiedźcie mi, Mazurek, dlaczego byliście w mundurze?

- W mundurze? - zdziwił się stary listonosz. - Na taki upał? Wszyscy byliśmy bez mundurów. Wisiały na haczykach pod półką.

- Dobrze sobie przypominacie, że spadliście, ale kiedy otworzono wagon, znaleziono was na podłodze... w mundurze.

Mazurek wzruszył ramionami.

- Chodziłem we śnie czy jak? Może miałem resztki przytomności i wtedy włożyłem mundur, bo chciałem przejść do drugiego wagonu i narobić alarmu? Nic z tego nie pamiętam.

- Postarajcie się przypomnieć sobie jak najwięcej. Przemyślcie dokładnie każdy szczegół. Zarówno to, co działo się w Warszawie przed odjazdem pociągu, jak później, już w drodze. Po wyjściu ze szpitala wróćcie do Warszawy. Nie wolno wam nigdzie się wydalać. Za parę dni dostaniecie wezwanie do stawienia się na przesłuchanie w Komendzie Głównej MO na Ksawerowie. Wiecie, gdzie to jest?

- Co nie mam wiedzieć? Stary listonosz jestem. Trafię. Przyjdę, ile razy tylko pan major będzie chciał.

Zaraz po tych przesłuchaniach major Szpotański wrócił do Warszawy.

VI. Tylko hipotezy

Siedząc nazajutrz rano w swoim pokoju major Feliks Szpotański przeglądał notatki i układał dalszy plan działania. Zebrane materiały nie dawały śledztwu jeszcze żadnego punktu zaczepienia. Na ich podstawie trudno byłoby nawet postawić hipotezę na temat ewentualnego sprawcy włamania. Za to arkusz papieru, na którym oficer milicji zapisywał, co należy zrobić dla uzupełnienia dochodzenia, szybko pokrywał się kolejno numerowanymi uwagami.

1. Porozumieć się z Politechniką Warszawską (Katedra Motorów Spalinowych) w sprawie

treści listu dworcowego.

2. Wyjaśnić przesyłkę biżuterii do Katowic. Zdobyć jej spis.

3. Nawiązać kontakt z Centralą Skupu Skórek Zwierząt Futerkowych. Dlaczego wysłano list wartościowy do Wyrwisk, do tamtejszego Banku Spółdzielczego.

4. Wezwać na oficjalne przesłuchanie Bagińskiego, Olszaka i Mazurka.

5. Odszukać i przesłuchać elektryka, który reperował światło w wagonie pocztowym. Co robił później? 6. Ustalić w dyrekcji „Warsa”, który konwojent jechał w wagonie sypialnym do Rzymu. Przesłuchać. Wziąć odciski palców.

7. Kto jechał wówczas w wagonie bagażowym? Przesłuchanie i odciski.

8. Wziąć listę podróżnych jadących do Rzymu. Sprawdzić, co to za dyplomata wyjeżdżał i jaki generał czy też cudzoziemski pułkownik - jak zeznał Bagiński - opuszczał wtedy Polskę.

9. Dyżurny ruchu wchodził do ambulansu. Przesłuchać.

10. Sprzedawca-wózkarz na dworcu. Skąd wziął piwo, które przyniósł do wagonu. Przesłuchać wszystkich, którzy mieli do czynienia z tym piwem.

11. Oddać do zbadania Instytutowi Kryminalistyki następujące przedmioty: butelki po piwie, dwie paczki żywnościowe, bańkę z kawą, niedopałki papierosów, teczkę z rzeczami.

W czasie tej pracy do pokoju wszedł podporucznik Adamczewski. Obejrzał plan zajęć na najbliższą przyszłość i aż złapał się za głowę.

- Oj, będzie dużo roboty!

- A większość jej w rezultacie okaże się zupełnie niepotrzebna. Jednakże w tej chwili nie wiemy, co jest potrzebne, a co nie ma żadnego znaczenia dla rozwiązania tej zagadki. Dlatego musimy metodycznie zbierać wszystkie materiały, które mogą rzucić na tę sprawę choć najmniejszy promyk światła.

- Co mam robić, panie majorze?

- Przede wszystkim jedźcie na Politechnikę. Pogadajcie tam z profesorami nie tylko na temat, co zawierała koperta, ale i jakie to ma znaczenie dla przemysłu i ewentualnie dla wywiadu. Oni najlepiej przecież w tym się orientują. Wezwijcie też któregoś z dyrektorów Centrali Skupu Skórek Zwierząt Futerkowych. Trzeba wyjaśnić, dlaczego tak dużą sumę wysłali listem wartościowym. Może ta robota była „nadana” właśnie stamtąd?

- Tak jest, panie majorze, już idę.

- Chwileczkę. Porozumcie się także z firmą jubilerską. Ustalić dokładny spis kosztowności i

wziąć ich opis. Prawdopodobnie będziemy musieli dać ostrzeżenie do wszystkich sklepów i placówek skupujących biżuterię i złom złoty, aby zwrócili specjalną uwagę na najbliższe transakcje. No... To byłoby na razie wszystko. Bierzcie wóz i wracajcie jak najszybciej.

Po wyjściu porucznika major zaczął przeglądać zawartość grubej koperty. Były to zdjęcia fotograficzne. Łódzki fotograf nie przechwalał się. Dostarczył odbitki na czas i major odebrał je w łódzkiej KM MO przed powrotem do Warszawy. Fotografii było przeszło dwadzieścia. Oto drzwi pomieszczenia dla paczek wartościowych. Tu znowu stół ze stojącymi na nim trzema butelkami piwa. Jedna butelka w zbliżeniu. Kilka ujęć leżących na podłodze worków z pocztą. Przegródki z listami dworcowymi. Podłoga pod stołem: na zdjęciu widać kilka niedopałków i leżącą butelkę po piwie. Mundury pocztowców wiszą na wieszaku. Półka zę stojącą na niej bańką z kawą, dwoma zawiniątkami-paczkami żywnościowymi pocztowców - oraz teczka: aktówka Mazurka.

Major przeglądał jeszcze fotografie, gdy zadzwonił telefon. Sekretarka, panna Irka, zawiadamiła Szpotańskiego, że pułkownik Włochowicz prosi o niezwłoczne przyście. Zebrał więc pośpiesznie wszystkie notatki i zdjęcia i udał się do pokoju zwierzchnika.

Pułkownik uważnie wysłuchał sprawozdania. Zaakceptował też rozkład zajęć na najbliższą przyszłość i obejrzał fotografie.

- Sprawa jest dziwna - odezwał się na koniec - i trudno na razie ustalić jej charakter: afera szpiegowska czy zwykła kradzież? W każdym razie nie zawadzi nawiązać współpracy z wojskiem. Oni mają sporo doświadczenia i tylko sobie znane metody wykrywania takich afer. Major kiwnął głową, że całkowicie zgadza się ze swoim zwierzchnikiem, i dodał:

- Właśnie dziwi mnie najbardziej to połączenie: zabranie koperty, o której złodziej powinien wiedzieć, że nie zawiera ani pieniędzy, ani niczego wartościowego, oraz zagarnięcie dwóch paczek - jednej z biżuterią, drugiej z pięćsetkami. Jedno nie pasuje do drugiego. Jeżeli to szpieg, interesowałby się jedynie listami. O ile sobie przypominam, w wagonie wieziono również inne listy z ważnymi planami. Coś tu nie gra.

- Innych nie ruszał, bo polował na tę przesyłkę.

- To nie brałby ani biżuterii, ani pieniędzy.

- Szpieg, działający jedynie z pobudek ideowych, na pewno nie ruszałby kosztowności - zgodził się pułkownik - ale takich spotyka się raczej rzadko. Ogromna większość robi to dla pieniędzy, ewentualnie zneconą zręcznie roztoczonymi przed nimi mirażami słodkiego życia za granicą. Jeżeli taki facet dostał się już do wagonu i zdobył to, czego szukał, mógł z kolei zainteresować się zawartością pomieszczenia z paczkami wartościowymi. Widocznie pewien był swej bezkarności i nie musiał się specjalnie spieszyć. Przy okazji wsunął więc do kieszeni dwie cenne paczuszki. Jak to się mówi: połączył przyjemne z pożytecznym.

Obydwaj panowie uśmiechnęli się.

- Ale skoro brał paczki wartościowe, to dlaczego ograniczył się tylko do dwóch - major nie

dawał za wygraną i ciągle występował z nowymi wątpliwościami. - Sam sprawdzałem te pakuneczki. Te, które nie wzbudziły zainteresowania przestępcy, przedstawiały wartość kilkunastu milionów złotych. Tymczasem żadna z nich nie była w ogóle ruszona! Nie nosiła nawet śladów otwierania! Wygląda na to, że złodziej działał na pewniaka. Wziął tylko to, co zamierzał.

- Zapewne najpierw przejrzał książkę listów dworcowych i wykaz paczek wartościowych. Tam miał przecież podaną wartość każdej przesyłki. Wziął te dwie, które mu najbardziej odpowiadały, i list, na który polował.

- Trzeba koniecznie przesłuchać konwojenta, z sypialnego. Był przecież jednym z dwóch ludzi, którzy przynieśli zatrute piwo. Przypuszczam, że analiza potwierdzi obecność środka nasennego w piwie.

- Środek nasenny mógł być podany również w papierosach. To ulubiona metoda złodziei kolejowych. Właśnie przed paru dniami ujęto we Francji szajkę usypiającą współpodróżnych zatrutymi papierosami. Takie afery dobrze są znane policjom całego świata.

- Również papierosy oddałem do analizy, ale jestem pewien, że to nie papierosy, bo jeden z pocztowców, Olszak, nie pali. Pozostaje więc piwo.

- No tak - zgodził się pułkownik. - W takim razie należy przyjąć koncepcję, że konwojent i wózkarz działali w ścisłym porozumieniu.

- To możliwe. Wózkarz dostarczył zatrutego piwa, lecz nie jechał pociągiem. Musiał pozostać na peronie. Natomiast konwojent znajdował się w sąsiednim wagonie i w nocy miał idealną sposobność wejścia do ambulansu.

- Ale przecież konwojent również pocziarzom dostarczył piwa. Wózkarz, jak to wynika z zeznań wszystkich trzech pocztowców, przyniósł jedynie dwie butelki. Dlaczego nie wszystkie od razu?

- To bardzo proste, panie pułkowniku - wyjaśnił major - wózkarz doskonale wiedział, że ambulans obsługiwany jest przez dwie osoby. Przyniósł więc dwie butelki odpowiednio spreparowanego płynu. Dopiero po wejściu do wagonu zorientował się, że tym razem jedzie tam aż trzech ludzi. To dla wózkarza musiało być wielkim zaskoczeniem. Dodatkowym pasażerem na gapę musiał być Mazurek.

- Ależ to właśnie Mazurek starał się o piwo!

- Zgoda! To nie przeczy mojej hipotezie. Wózkarz znał Mazurka, ale nie wiedział, że nie on jest konwojentem ambulansu. Po prostu sądził, że w wagonie pocztowym pojedzie Mazurek z kimś drugim. Dlatego przyniósł dwie butelki. Dopiero gdy się przekonał, że obsługa ambulansu składa się z trzech osób, poradził Mazurkowi, aby on sam zdobył dodatkową butelkę w wagonie sypialnym. Tymczasem uprzedził swojego współnika-konwojenta o komplikacjach i polecił mu przygotować jeszcze jedną porcję usypiającego płynu.

- Dlaczego jednak wózkarz wyręczał się konwojentem?

- Może nie miał już piwa? W czasie upałów naprawdę bardzo ciężko dostać w Warszawie coś do picia. Mógł również nie mieć możliwości lub okazji albo nawet czasu na przyrządzenie z piwa mieszaniny usypiającej. Obsługiwał przecież wózek. Gdyby zniknął z peronu na dłużej, mogłoby to zwrócić czyjąś uwagę. Co innego konwojent. Miał piwo w wagonie i miał również sporo okazji, aby niepostrzeżenie otworzyć flaszkę i wrzucić do niej pigułki usypiające, a potem odczekać, aż się te pastylki rozpuszczą. To by nawet tłumaczyło, dlaczego dostarczył piwo dopiero przed samym odjazdem pociągu.

- Ale on dostarczył piwo również kolejarzom z bagażowego.

- Było to z jego strony bardzo mądrym pociągnięciem. Teraz będzie twierdził, że przyniesione przez niego do ambulansu piwo było zwykłym, nie zatrutym płynem. Taki sam oili kolejarze z bagażówki i żadnemu z nich nic się nie stało. A przy okazji wizyty w wagonie pocztowym konwojent rozejrzał się w sytuacji, aby później działać szybko i na pewniaka.

- Hm... - mruknął pułkownik. - Ciekawa hipoteza. Szkoda, że pan major nie ma żadnego dowodu na jej poparcie.

- Dowody dopiero zbieram. Śledztwo ich dostarczy.

- Życzę powodzenia. Proszę jednak pamiętać, że hipotezy nie można naginać do śledztwa, lecz na materiałach śledztwa buduje się hipotezy. Jakże łatwo jest popełnić zasadniczy błąd - naginać fakty i czynności dochodzenia do przyjętej przez siebie teorii. Przypomnę majorowi słynną sprawę kradzieży obrazów w muzeum wrocławskim. Tam też stworzono bardzo prawdopodobną hipotezę i bodaj przez dwa lata prowadzono śledztwo pod kątem nieomyślności przyjętego założenia. Nie doprowadziło to do niczego prócz przewlekania sprawy. Rozwiązanie było zupełnie inne. Żebyśmy nie powtórzyli tego błędu.

Tak jest, panie pułkowniku - major odruchowo wyprostował się, jak gdyby zamierzał stanąć na baczność przed swoim zwierzchnikiem - pamiętam o tym.

- Tym bardziej że na poczekaniu mogę stworzyć kilka takich hipotez.

- Na przykład? - zdziwił się major.

- Na przykład wózkarz i konwojent dostarczyli najzwyklejsze piwo. Po wagonie kręci się elektromonter. Położył teczkę na stole tuż obok przyniesionych uprzednio butelek. Rozgląda się wokoło i widząc, że pocziarze nie zwracają na niego najmniejszej uwagi, szybko chowa butelki do swojej teczki, a na ich miejsce stawia inne... Wszystko gra przy tej teorii, prawda?

- Ale jak się dostanie do wagonu później, w czasie jazdy pociągu?

- Nie będzie miał z tym żadnych trudności. Po prostu wsiądzie do pociągu, odczeka tyle czasu, aby usypiający płyn zaczął działać, wyjmie ze swojej teczki jakiegokolwiek narzędzia, dajmy na to klucz francuski czy płaskoszczypy, i przemaszeruje spokojnie przez cały pociąg, rzekomo

sprawdzając instalacje elektryczne. Jako kolejarz ma na pewno komplet kluczy do wagonów. Zapewniam, że nikt nie zwróci na niego najmniejszej uwagi i bez przeszkód dotrze do wagonu pocztowego, bez przeszkód go opuści, aby wysiąść niepostrzeżenie w Koluszkach lub na następnej stacji i najbliższym pociągami wróci z cennym łupem do Warszawy. I co powiecie na to, majorze? Moja hipoteza także jest bez zarzutu.

- Tak - zgodził się major - trzeba brać pod uwagę zamianę butelek. Kilka osób miało okazję to zrobić.

Odezwał się telefon na biurku pułkownika. Okazało się, że przyszedł „obywatel Stanisław Kowalski z Centrali Skupu Skórek Zwierząt Futerkowych i chce widzieć się z majorem Szpotańskim”.

W kilka minut potem pan Kowalski rozmawiał już z majorem w jego pokoju.

- Dyrekcja Poczty zawiadomiła nas, że są komplikacje z doręczeniem listu wartościowego - zaczął. - Uprzedzono nas, że ewentualny zwrot pieniędzy nastąpi dopiero po zakończeniu dochodzenia milicyjnego. Bardzo nas to zmartwiło, gdyż w ten sposób mamy zablokowaną dość poważną sumę. Rozmawiałem z jakimś oficerem milicji i on polecił mi jak najszybciej zgłosić się do pana majora. Czy mógłbym się dowiedzieć, co się właściwie stało?

- Tak jest, panie dyrektorze. Zaraz panu wyjaśnimy - odpowiedział Szpotański. - Nie wdając się w szczegóły, powiem krótko: wagon pocztowy został okradziony i między innymi zabrano z niego wasz list pieniężny, nadany do Banku Spółdzielczego w Wyrwiskach. Prowadzę w tej sprawie śledztwo, rozumie więc pan, dyrektorze, że chciałbym wiedzieć wszystko o tych pieniądzach. Przez czyje ręce przechodziły, zanim trafiły do ambulansu pocztowego?

- Domyślaliśmy się kradzieży, chociaż poczta nie powiedziała nam nic konkretnego, jedynie wspomniała o pewnych przeszkodach w doręczeniu listu. Oczywiście chętnie służę panu majorowi wszystkimi informacjami. Nie mamy nic do ukrywania.

- Może więc wyjaśnimy, dlaczego wysyłaliście pieniądze listem wartościowym. Przecież mogliście to zrobić przelewem bankowym. Dla kogo była przeznaczona ta kwota i na co?

- Muszę panu majorowi zdradzić naszą tajemnicę zawodową - uśmiechnął się dyrektor. - Na skutek błędnej polityki cen drobni hodowcy, zwłaszcza hodowcy nutrii, znaleźli się w ciężkiej sytuacji. Ponieśli duże straty. Obecnie naprawiamy stare błędy. Dlatego wysyłamy w teren agentów, którzy wyszukują byłych hodowców nutrii i namawiają ich do wznowienia hodowli. Ale namawianie jest wtedy skuteczne, jeśli poprze się je rzeczowymi argumentami - pieniędzmi. Toteż agenci upoważnieni są do zawierania umów kontraktacyjnych na skórki. Hodowca podpisujący umowę z miejsca otrzymuje poważną zaliczkę. Dostarczamy mu też zwierząt zarodowych. Dlatego każdy z naszych agentów musi posiadać otwarte konto czekowe. Agent przerzuca się często z powiatu do powiatu, z miasteczka do miasteczka i zawsze musi mieć pieniądze. Właśnie milion dwieście tysięcy złotych przeznaczone było dla jednego z naszych agentów, działających na Śląsku Cieszyńskim, gdzie spodziewam się szczególnie dodatnich rezultatów, zwłaszcza w hodowli królików futerkowych. Bazą wypadową tego agenta jest obecnie miasteczko Wyrwiska. Tam posłaliśmy pieniądze.

- No dobrze - zauważył major - ale dlaczego nie zostały one przekazane przelewem bankowym? Przecież mogliście je przesłać w ten sposób.

- Mogliśmy, panie majorze. Ale zna pan powiedzenie „czas to pieniądź” Dzisiaj wysyłamy list wartościowy i na drugi dzień nasz człowiek ma pieniądze. Może od razu przystąpić do pracy na danym terenie. Przekazywanie pieniędzy przelewem trwa o wiele dłużej. Nawet w Warszawie przelanie pieniędzy z konta na konto w tym samym oddziale banku zajmuje dwa do trzech dni. A tu sprawa byłaby jeszcze bardziej skomplikowana. Najpierw do Narodowego Banku Polskiego w Warszawie, później z tego banku do jego oddziału w powiatowym mieście, stamtąd do PKO, a dopiero z PKO do Banku Spółdzielczego w Wyrwiskach. Nawet bez żadnego zacięcia się maszyny bankowej taki przelew wędrowałby przeszło tydzień. A niech gdzieś coś nawali, to może i miesiąc potrwać. Niech mi pan major wierzy. Mamy w tym zakresie sporo wprawy i doświadczenia. Listów wartościowych nadajemy zresztą dużo, ale po raz pierwszy wynikły tego rodzaju trudności.

- Proszę mi powiedzieć, czy nie podejrzewa pan kogoś z waszych współpracowników, że wiedząc o wysłaniu przez Centralę tak dużej kwoty, mógł zorganizować do spółki z kimś lub sam włamanie do wagonu pocztowego? Albo „nadał” komuś tę robotę? Dyrektor zastanowił się.

- Nie sędzę - odpowiedział. - Wprawdzie nie zatrudniamy aniołów, tylko zwykłych ludzi z ich słabościami, ale nie przypuszczam, żeby sprawcą był któryś z naszych pracowników. Nadużycia trafiają się i u nas. Polegają one jednak najczęściej na zмовie nieuczciwego agenta z hodowcą i na pobraniu na fikcyjny kontrakt, na nie istniejącą hodowlę wcale nie fikcyjnej zaliczki. Zdarzało się również, że taksatorzy niekiedy umyślnie wyżej oceniali standard dostarczonych futer. Albo odwrotnie - wymuszali od hodowców łapówki, grożąc zaliczeniem ich towaru do niższej klasy. Wiemy o tym wszystkim bardzo dobrze i mamy własne, mam nadzieję skuteczne, sposoby walki z takimi nadużyciami. Ale Włamywanie do wagonu pocztowego? Powtarzam, że nie Widzę nikogo spośród pracowników Centrali, kto byłby zdolny do takiego czynu i umiałby to zorganizować. Zresztą dlaczego właśnie wtedy, gdy nadawaliśmy tylko jeden list? Nieraz wysyłamy w ten sposób znacznie większe sumy. Pan major pytał o drogę tych pieniędzy. Otóż podnosi je z banku nasz główny kasjer w towarzystwie strażnika. List przygotowuje pomocnik kasjera i razem z tym samym konwojentem nadaje na poczcie. Zawsze na poczcie dworcowej. A więc z pieniędzmi mają do czynienia tylko trzej ludzie. Pracują u nas od wielu lat. Za ich uczciwość gwarantuję.

- My z milicji, panie dyrektorze, jesteśmy sceptyczni. Wierny z doświadczenia, że nierzadko uczciwość ludzka sięga tylko pewnej kwoty. U jednych kończy się na stu złotych, u drugich dopiero przy dziesiątkach milionów. A poza tym na tę granicę uczciwości ludzkiej niemały wpływ mają ambicje, miłość, chęć użycia życia, a nieraz szantaż. Niech pan nigdy za nikogo nie gwarantuje.

- Nawet za siebie? - roześmiał się dyrektor.

- Nawet za siebie samego - odparł poważnie oficer milicji. - Poprosimy pana o nazwiska tych ludzi, którzy pakowali i nadawali ten list. Prawdopodobnie są to ludzie nieposzlakowani, my jednak musimy to sprawdzić.

- Bardzo proszę - w głosie dyrektora Kowalskiego wyczuło się leciutkie rozdrażnienie. - Oto dane.

To mówiąc przedstawiciel Centrali wręczył majorowi karteczkę z trzema nazwiskami. Major spojrział na otrzymany papierek i schował go do teczki z aktami noszącymi już kryptonim „Ambulans Nr Gm 38552”. Taki był bowiem numer wagonu, wymalowany białą farbą na jego ciemnozielonych ścianach.

- To już chyba wszystko, panie majorze? - zapytał Kowalski. - Czy mogę odejść?

- Bardzo dziękuję, panie dyrektorze, za cenne informacje - major rozplątywał się w uprzejmościach. Dobrze wiedział z doświadczenia, że grzeczność jest monetą, która niewiele kosztuje, a za którą można bardzo dużo kupić. Nie żałował jej nigdy. - Pan pozwoli, że podpiszę przepustkę. Jeśli będziemy jeszcze czegoś potrzebowali od waszej Centrali w tej sprawie, zgodzi się pan, że zwrócimy się bezpośrednio do niego? Może odesłać pana autem?

- Dziękuję - wersal oficera milicji sprawił wrażenie na dyrektorze - nasz wóz czeka na mnie na ulicy. Oczywiście zawsze służę panom wszelkimi informacjami. Do widzenia.

Około południa jak bomba wpadł do pokoju majora podporucznik Adamczewski.

- Byłem w centrali jubilerskiej - meldowałem. - Wysyłali do Katowic, do tamtejszych swoich sklepów towar wyprodukowany w warszawskiej fabryce. Sama masówka. Złote obrączki, bransoletki, łańcuszki. Mam tu dokładny spis tych przedmiotów. Obawiają się, że żadne ostrzeżenie nie pomoże. Wystarczy wziąć młotek i uderzyć parę razy w to wszystko, żeby potem bezkarnie sprzedać cały majdan na złom. Zresztą są to przedmioty wyrabiane masowo, o ile można mówić o masowości przy wyrobie złotych przedmiotów.

- Jednakże wydamy ostrzeżenie do wszystkich sklepów. Niech notują, kto będzie sprzedawał większe partie złomu złotego lub tego rodzaju przedmiotów. To nie zaszkodzi, a może być nitką prowadzącą do celu. Ale przyznam się, poruczniku, że w tej kradzieży sprawa złota stosunkowo najmniej mnie obchodzi. Byliście na Politechnice?

- Tak jest. Aż dwa razy. Najpierw nie zastałem profesora, kierownika katedry, a pod jego nieobecność nikt nie chciał w ogóle ze mną gadać. Właśnie wracam bezpośrednio stamtąd.

- Czegoście się dowiedzieli?

- Bardzo ciekawych rzeczy, panie majorze. Katedra dokonuje analiz i opracowań teoretyczno-naukowych na zlecenie różnych instytucji. W tym również dla przemysłu motoryzacyjnego. Profesor twierdzi, że w Bytomiu, w tamtejszym „Motorze”, dokonano rewelacyjnego wprost wynalazku: nowy model ulepszony motoru wysokoprężnego. Podobno dużo lżejszy, a jednocześnie znacznie mocniejszy i zużywający mniej paliwa. Słowem, cudo, a nie motor. Ze względu na swoje specjalne właściwości nadaje się do wszelkiego rodzaju wozów. Przed zrobieniem próbnej serii fabryka prosiła katedrę o dokonanie pewnych obliczeń i poprawek w planach. Dlatego też wysłano do Warszawy wszystkie plany i szczegółowe opisy techniczne, a także wyniki obserwacji uzyskane podczas pracy prototypu. Wszystko oczywiście „bardzo specjalne i ściśle tajne”. Badania na Politechnice wypadły zachęcająco. Profesor wyrażał się o tym wynalazku z prawdziwym zachwytem. Umówili się z fabryką, że wieczorem nadeślą plany i swoje opinie listem dworcowym bezpośrednio

do wagonu pocztowego, a rano na peronie w Katowicach będzie czekał na tę przesyłkę przedstawiciel „Motoru” i zabierze ją do Bytomia.

- No to doskonale się umówili - powiedział z sarkazmem major. - Znakomity sposób przewożenia ściśle tajnych dokumentów, mających znaczenie dla obronności kraju. Mogą sobie powinszować znakomitego pomysłu.

- Profesor tłumaczył, że współpracują z „Motorem” od wielu lat i zawsze w ten sposób otrzymują i wysyłają całą dokumentację. Te plany otrzymali z Bytomia również listem dworcowym i nic nie zginęło.

- Prawdopodobnie, jeśli sprawa tak się ma, jak przypuszczamy, szpieg wolał poczekać na gotowe opinie i obliczenia teoretyczne. I tak musieliby je przeprowadzać, a w ten sposób mają wszystko bez zbędnego trudu. Idę do pułkownika.

VII. Znowu fałszywy ślad

Nad drzwiami gabinetu pułkownika paliła się czerwona lampka. Znak, że pod żadnym pozorem nikomu nie wolno tam wchodzić. Sekretarka, panna Irka, miała bronić wejścia przed inwazją interesantów pragnących tego ranka dostać się do szefa służby śledczej KG MO. Telefonistka z centrali na wszystkie pytania o pułkownika odpowiadała, że pułkownika nie ma i wróci najwcześniej za dwie godziny.

A w gabinecie, przy kwadratowym stole, w wygodnych klubowych fotelach siedziało kilka osób. Tej naradzie, jako gospodarz, przewodniczył sam pułkownik. Po prawej” ręce miał majora Feliksa Szpotańskiego. Naprzeciwko pułkownika siedział mężczyzna o siwych włosach, opalonej na brąz twarzy i dziwnie młodych w stosunku do wieku oczach. Na stole przed sobą położył śliczną teczkę z jasnozielonej skóry, zamykaną na zamek błyskawiczny. Rozliczne jej przedziałki kryły jakieś dokumenty.

Po obu stronach siwowłosego mężczyzny siedzieli dwaj inni. Jeden z nich w eleganckim, doskonale skrojonym garniturze coraz to poprawiał mankiety swojej białej, nylonowej koszuli, mającej nieco za krótkie rękawy. Dlatego wytwornemu panu mankiety nieustannie uciekały w głąb marynarki zamiast błyskać gustownymi spinkami w kształcie podkowy.

Przy stole siedział jeszcze jeden mężczyzna z charakterystyczną dużą blizną, biegnącą przez całą długość czoła. On również trzymał przed sobą teczkę. Była to jednak zwykła plastikowa aktówka. W spojrzeniu, jakim obrzucał swojego eleganckiego partnera, przebijało trochę drwiny i trochę wesołości.

Panna Irka bezszelestnie postawiła przed każdym z obecnych filiżankę z kawą.

- Ależ mocna - zauważył człowiek z blizną. - Trzeba będzie chyba częściej przychodzić do Komendy Głównej. U nas w ministerstwie nawet na odprawach u ministra takiej kawy nie podają.

- Panowie pozwolą, że rozpoczniemy nasze obrady. Zdarzyła się rzecz, która zmusiła nas, ludzi

ze służby śledczej MO, do zapoznania panów ze sprawą i wysłuchania ich opinii. Dlatego też pozwoliłem sobie poprosić prócz majora Feliksa Szpotańskiego, który prowadzi śledztwo, również panów z kontrwywiadu zainteresowanych tą dziwną aferą. Może kolega Szpotański zreferuje tok zdarzeń.

Major zwięźle, lecz nie pomijając żadnego szczegółu, opowiedział przebieg wypadków na stacji w Koluszkach i wszystko to, co zdołał ustalić, przesłuchując trzech pocztowców, a później zbierając informacje w Warszawie.

- My sprawdzimy - zaproponował młody, elegancki mężczyzna - kto jechał tym pociągiem. Bez naszej zgody proszę nie czynić żadnych kroków w tym kierunku. Mam nadzieję, że ustalimy również, czy wymienione przez pana majora dokumenty dostały się w obce ręce.

Pan z blizną zasłonił sobie usta ręką. Czyżby obawiał się, że parsknie śmiechem?

- Moi panowie - odezwał się pułkownik Dalbor - na tematy szpiegowskie napisano, zresztą nie tylko w Polsce, masę bzdurnych powieści. Na kartkach książek najrozmaitsi dyplomaci i *attachés militaires* wspinają się po drabinach, strzelają z rewolwerów, wykradają z kas pancernych tajne dokumenty. Kontrwywiad goni ich po dachach, górach i dolinach, dokonując przy tym niesłychanie bohaterских czynów. W końcu następuje *happy end*. Nieustraszony oficer kontrwywiadu w ostatnim momencie, z narażeniem własnego życia, wyrywa z ręki ambasadora teczkę z tajnymi dokumentami czy też planami mobilizacyjnymi i dzięki temu zażegnuje wiszącą na włosku wojnę. Tak. Ale żarty na bok. Swoista „psychoza szpiegowska” bywała nieraz doprowadzana do groteski.

*

Gdy po dwóch godzinach major Szpotański powrócił do swojego pokoju, podporucznik z miejsca zaczął wypytywać go o wyniki posiedzenia. Nawiasem mówiąc młody człowiek miał spory żal do swoich zwierzchników, że nie zaproszono go również na tę konferencję.

- Jeszcze jedna nasza hipoteza rozsypała się w proch i pył - smętnie stwierdził major. - Spece z kontrwywiadu ustalili z całą pewnością, że kradzież w ambulansie nie ma nic wspólnego z aferą szpiegowską. Wprawdzie i oni nie umieli wytłumaczyć, dlaczego ze schowków wagonu pocztowego zginęły dwie paczki wartościowe i ta nieszczęsna koperta z planami, ale uznają, że hipotezę o szpiegostwie należy kategorycznie odrzucić.

- Dlaczego? - zdziwił się porucznik.

- Przedstawiciel kontrwywiadu zrobił nam nawet mały wykład o metodach pracy wywiadów i o tym, jakie wiadomości interesują szpiega. Zdaniem pułkownika plany motoru wysokoprężnego nie są dziś w technice taką rewelacją, żeby jakikolwiek szpieg usiłował je wykraść. Na dodatek jeszcze w tak niezręczny sposób, robiąc tyle szumu koło całej sprawy. W takim wypadku wywiad raczej dokonałby zdjęć fotograficznych tych planów i zostawił kopertę na pozór nienaruszoną między innymi listami dworcowymi.

- Profesor z Politechniki podkreślał - podporucznik bronił swojej koncepcji - że wynalazek ma

bardzo duże znaczenie dla naszej motoryzacji i jest ważnym krokiem naprzód na drodze postępu technicznego.

- Tak, ale dla nas, a nie dla innych. Czy spojrzymy na Wschód, czy na Zachód, nasza motoryzacja ma co najmniej dziesięć lat opóźnienia w stosunku do innych. A ten wynalazek tylko to opóźnienie zmniejsza. Dziś w dobie motorów odrzutowych czy choćby turbin inny typ starego, pocziwego diesla nie jest dla nikogo żadnym cudem.

- Dlaczego więc spośród przeszło stu listów dworcowych zginął właśnie ten? Z planami?

- Na to pytanie nikt nie umie odpowiedzieć. Natomiast specje od kontrwywiadu jednogłośnie wyrażali opinie, że właśnie w tych innych listach, sądząc tylko po adresatach i nadawcach, mogło być znacznie więcej rzeczy, które w większym stopniu zainteresowałyby ewentualnego szpiega niż rezultaty doświadczeń Politechniki dokonywanych przy nowym typie maszyny.

- Nie jestem w stu procentach przekonany - mruknął młody człowiek.

- A ja jestem, bo prócz twierdzeń ci panowie przedstawili również i wyniki swojego dochodzenia, jakie prowadzili w tej sprawie. Musiałem przyjąć do wiadomości, że nikt z podróżnych wagonu sypialnego w czasie odpowiadającym terminowi kradzieży nie tylko nie zbliżał się do drzwi prowadzących na galeryjkę łączącą ten wagon z ambulansem, ale nawet nie opuszczał swojego przedziału. Fakt nie podlega dyskusji i jest w tej sprawie decydujący. Wracając do zaginionego listu dworcowego, jestem pewny, że dalsze śledztwo wyjaśni tę sprawę bez uciekania się do łączenia włamania z jakąś akcją szpiegowską.

- Jeszcze jedna nasza teoria wzięła w łeb.

- To tylko dowodzi, że ciągle szukamy po omacku. Nie zgromadziliśmy dostatecznej ilości przesłanek, co sprawia, że budowane na nich hipotezy załamują się w zetknięciu z rzeczywistością. Stąd prosty wniosek...

- Jaki?

- Prowadzić możliwie najbardziej drobiazgowe śledztwo. Zbierać fakty i... budować następne teorie. Wreszcie jedna z nich ostoi się wszelkim zarzutom i da nam rozwiązanie zagadki.

- Pan major mówi to z taką pewnością, jak gdyby już widział to rozwiązanie.

- Niestety nie. Natomiast widzę, co trzeba jeszcze zrobić. Nasze dochodzenie ma w dalszym ciągu masę luk. Bardzo wiele spraw pozostało nie zbadanych i nie wyjaśnionych. Dlatego też zostawmy na razie budowanie efektownych teorii i bierzmy się do znacznie mniej ciekawej, ale bardziej pożytecznej roboty.

To mówiąc major zagłębił się w rozpatrywaniu dotychczas zebranego materiału. Uważnie czytał notatki i protokoły przesłuchań. Czasem notował coś w swoim notesie i układał plan zadań na najbliższe dni.

Tego dnia miał jeszcze przesłuchać wózkarza ze stacji Warszawa Główna, Andrzeja Marciniaka.

- Znam dobrze pana Mazurka - zeznawał w kilka godzin później Marciniak. - Spotykałem go często jeszcze wtedy, kiedy byłem pikolakiem. Cały czas pracujemy na Dworcu Głównym. On na poczcie, ja w bufecie. Wiadomo, że pracownicy bufetu muszą dobrze żyć z kolejarzami i z pocztowcami. Jeden drugiemu nieraz może pomóc. To jest szczególnie dla ranie ważne. Od wózka trudno odejść, bo mogą mnie okraść, nieraz więc korzystam z różnych grzeczności kolejarzy i pocztowców. Czasem zostawiam wózek na ich opiece. Oni także zawiadamiają mnie, że trzeba przejechać na inny peron, bo tam goście pytają o jedzenie i napoje. Nawzajem i my musimy się im odwdzięczać. Dostanę lepszy towar, to mówię im, że trafia się okazja. Tak już jest na świecie, panie majorze.

- Taki świat spod lady? - uśmiechnął się major.

- Pan major sam rozumie. Żyć trzeba. Więc stałem tego wieczoru na peronie przy pociągu międzynarodowym. Przychodzi pan Mazurek i prosi o piwo. Gdybym tego dnia miał browar, to też bym wszystko sprzedał. Tłumaczę mu, że na całym dworcu nie dostanie ani buteleczki. A on mówi: „Jędrus, musisz mi wykombinować parę butelek. Nie „pożałujesz tego. Bardzo mi zależy, żeby mieć piwo. Nie masz nawet pojęcia, jakie to ważne”. Myślę sobie, trzeba człowiekowi pomóc, więc poprosiłem, żeby popilnował wózka, a sam pobiegłem do bufetu. Wiem, że pani Helena, nasza bufetowa, zawsze coś schowa dla kelnerów i kuchni, no i dla swoich stałych klientów. Niewielką miała ochotę odpalić mi te dwie butelki, ale w końcu je wywojowałem i przyniosłem do wózka.

- Oddaliście tam piwo Mazurkowi?

- Tak. Oddałem. Pan Mazurek schował do kieszeni i odszedł. Ale nie w stronę wagonu pocztowego, lecz wszedł do wagonu stojącego w pobliżu mojego wózka.

- To był sypialny do Rzymu?

- Nie. Krajowy. Do Katowic. Druga klasa. Zwykły wagon.

- Mazurek zapłacił wam za piwo?

- Tak. Dał mi dwadzieścia złotych i nie chciał wziąć reszty. Mówił, że zrobiłem mu przysługę wartą znacznie więcej.

- To znaczy, że nie zanosiliście tego piwa do ambulansu?

- Znosiłem, panie majorze. Bo po paru minutach pan Mazurek wysiadł z wagonu i znowu podszedł do mojego wózka. Oddał mi butelki i prosił, abym podrzucił je do wagonu pocztowego, ponieważ on musi jeszcze pobiec na stację i coś pilnego tam załatwić. Nie robiło mi to żadnej różnicy, podjechałem wózkiem trochę dalej i zaniósłem butelki do ambulansu. Postawiłem je na stole.

- Zaraz zanieśliście te butelki?

- Nie Miałem trochę ruchu przy wózku i zeszło kilka minut. Kiedy jechałem, też kilka razy zatrzymali mnie pasażerowie.

- A kiedy przyjechaliście do ambulansu, czy był tam ktoś w środku?

- Był pan Mazurek. Razem z tym nowym. Nie wiem, jak on się nazywa, bo niedawno u nas pracuje. Segregowali listy na półce przy ścianie. Pan Mazurek mu pomagał. Był też w wagonie pan Bagiński, ale w innym miejscu. Na mój widok pan Mazurek powiedział: „Bałem się, Jędrzek - zawsze nazywa mnie po imieniu - że zapomniałeś albo przehandlowałeś moje piwo”. Postawiłem butelki na stole i wyszedłem. To już chyba wszystko, panie majorze.

- Przecież mówiliście przed chwilą, że kiedy Mazurek wysiadł z wagonu drugiej klasy, to poszedł w stronę dworca. Jakim więc cudem znalazł się w ambulansie, kiedy przynieśliście piwo?

- Już mówiłem panu majorowi, że nie od razu zaniósłem butelki do wagonu pocztowego. Miałem klientów. Mogłem nie zauważyć po prostu pana Mazurka. Mógł równie dobrze przejść wagonami lub po drugiej stronie pociągu.

- Czy Mazurek prosił o dwie butelki?

- Nie mówił ile. Prosił o kilka butelek. Mnie udało się dostać od bufetowej tylko dwie, a zwykle w wagonie pocztowym jedzie dwóch ludzi.

- Czy Mazurek nie miał pretensji, że przynieśliście za mało?

- Wtedy przy wózku nic nie wspominał. Ale w ambulansie powiedział: „Jędrzek, jak będziemy pili dwie butelki w trzy osoby? Nie możesz skombinować przynajmniej jeszcze jednej?” Powiedziałem, że nawet za żadne pieniądze nie uda mi się tego zrobić. Poradziłem panu Mazurkowi, żeby poszedł po piwo do konwojentów wagonów sypialnych.

- Jeszcze jedno, panie Marciniak. Jakiej marki było to piwo?

- Nasze warszawskie „Jubileuszowe” - Browar Warszawski.

- Proszę Oto pańska przepustka. Dziękuję panu.

Gdy wózkarz opuścił pokój, podporucznik Adamczewski, który protokołował jego zeznania, zapytał:

- Czy nie należy wziąć tego człowieka pod obserwację?

- Nie. Przypuszczam, że powiedział nam całą prawdę. On na pewno nie zamienił piwa. Nie był nawet współnikiem złodzieja.

- Przecież pan major przypuszczał, że wózkarz działał w zмовie z konwojentem z wagonu sypialnego. Jeden przyniósł zatrute piwo, drugi okradł wagon, gdy pocztowcy stracili przytomność.

- Tak - zgodził się major - ułożyłem tego rodzaju hipotezę, ale teraz wiem, że byłem w błędzie. Piwo dostarczone przez wózkarza na pewno było dobre.

- Dlaczego?

- Bo przyniósł do wagonu dwie flaszki piwa „Jubileuszowego”. Natomiast to piwo, które znaleźliśmy w ambulansie, miało naklejki z browaru w Żywcu. Ktoś zamienił butelki „Jubileuszowego” na „Żywieckie”. To uwalnia od podejrzeń młodego człowieka.

- Pod warunkiem, że mówił prawdę.

- Łatwo się o tym przekonamy. Pojedzie pan na dworzec i sprawdzi u kierownika restauracji i bufetowej, jakie piwo dostarczono im tego dnia. Muszą mieć specyfikacje i z ustaleniem nie będzie żadnych kłopotów.

- W takim razie konwojent zamienił butelki?

- Konwojent mógł tego dokonać. Miał okazje i miał u siebie piwo. Na razie nie możemy go jeszcze przesłuchać, bo dopiero jutro rano wraca do Warszawy.

- A może zatrzymać go na dworcu, zrewidować i przetrząsnąć cały wagon sypialny?

- Pomysł nie jest zły. Trzeba jednak znaleźć jakiś powód usprawiedliwiający taką rewizję.. Na razie nie możemy zdradzić się przed konwojentem, że posądzamy go o kradzież w ambulansie. Bo jeżeli jest niewinny, to będzie miał do nas żal i wiele istotnych spraw może pominąć w swoich zeznaniach.

- W takim razie poprosimy celników, aby zrewidowali wagon pod pozorem szukania przemytu.

- To jest dobry pomysł - pochwalił major. - Widzę, że miałem nosa zapraszając pana do współpracy w tej sprawie.

Podporucznik Władysław Adamczewski był bardzo dumny i zadowolony z siebie. Uważał, że jego kariera zaczyna rozwijać się niesłychanie pomyślnie. Major Szpotański, osoba wysoko notowana w KG MO, pochwalił go za pomysłowość. W doskonałym więc humorze szykował się do jazdy na Dworzec Główny, aby sprawdzić, czy wózkarz mówił prawdę. Tymczasem na biurku majora zadzwonił telefon. Szpotański podniósł słuchawkę, chwilę słuchał uważnie i zakończył słowami:

- Postawić wartownika. Niczego nie ruszać. Zaraz tam przyjeżdżamy.

Położył słuchawkę na widełki i zwrócił się do porucznika:

- Natychmiast samochód. Jedziemy obaj na dworzec. Przed chwilą ktoś usiłował włamać się do ambulansu pocztowego. Miałem nosa, że kazałem im go obserwować.

- Włamanie do drugiego ambulansu? Epidemia czy co?

- Ależ nie do drugiego, tylko do tego samego!

- Przecież nic w nim nie ma. Sam byłem świadkiem, jak poczta wszystko z niego zabrała. Stoi pusty i zaplombowany na bocznym torze.

- Właśnie to jest najciekawsze. Dlatego musimy zaraz tam jechać.

W komisariacie kolejowym na Dworcu Głównym major rozmawiał z kapralem Janem Ruszczycem. Ten tak oto zreferował sprawę:

- Poszedłem na obchód po torach kolejowych. Ciągle trzeba pilnować, bo dużo tu się kręci takich, których interesują wagony z różnym dobytkiem. Ambulans stoi z boku, zaraz za dworcem, na końcu ślepego toru. Zdawało mi się, że ktoś się przy nim kręci, ale nie byłem tego pewien. Schowałem się za jeden z wagonów, aby popatrzeć z daleka. Facet stoi przy wagonie i rozgląda się wokoło. Ja nic, tylko spokojnie czekam, co będzie dalej. Ten człowiek postąpił trochę przy wagonie, a potem upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, zaczął otwierać drzwi. Zerwał plombę, a że pewnie miał klucz kolejarski, to zabrał się do otwierania wejścia. Rzuciłem się biegiem w jego stronę. Na mój widok zaczął uciekać. Przebiegł pod kilkoma wagonami i znikł mi z oczu. Wołałem „stój”, ale gdzie tam! Nie zatrzymał się. Nie mogłem użyć broni, bo wszędzie pełno ludzi i o wypadek nietrudno.

- Nie trzeba było się śpieszyć - pouczał kaprała zdenerwowany podporucznik Adamczewski - tylko zająć po cichu wtedy, gdy facet byłby już w wagonie. Złapalibyście go na gorącym uczynku.

- Ba! Kiedy myślałem, że i tak go złapię.

- Może to lepiej, żeście go nie złapali - zauważył major. - Jak ten człowiek wyglądał?

- Był bez marynarki, w ciemnej koszuli. Twarzy nie widziałem. Na głowie miał czapkę. Wzrost średni. Nie poznałbym go.

- Chodźmy obejrzyć wagon.

Ambulans stał tuż za budynkiem stacyjnym. Plomba była zerwana, a drzwi otwarte. Oficerowie dokładnie obejrzelili cały wagon. Nic w nim nie było. Wszystkie schowki stały otworem.

- Widocznie facet myślał - tłumaczył kapral milicji - że wagon jest załadowany jakimiś bagażami i idzie za granicę. Dlatego chciał się do niego dostać.

- Jestem przekonany, że ten człowiek wiedział, czego chce - odpowiedział major.

- Nikt by się przecież nie włamywał do pustego wagonu - obstawał przy swoim kapral.

- Czasami taki pusty wagon może kogoś bardzo interesować.

- Pan sądzi, majorze, że włamywacz i sprawca kradzieży to jedna i ta sama osoba? - dopytywał się porucznik.

- Może ta sama, może być ktoś inny. Po cóż snuć przypuszczenia, jeżeli uciekł - bardzo tajemniczo odpowiedział major.

- Ale w jakim celu włamywałby się do ambulansu? Przecież doskonale wiedział, że tu nic nie ma. Może chciał zatrzeć ślady?

- Nie będziemy teraz zajmowali się tym włamaniem. Może istotnie ktoś spodziewał się, że ambulans z plombami zawiera cenny ładunek przeznaczony za granicę. Nieraz wysyła się w ten sposób przesyłki pocztowe do innych państw. Na wszelki jednak wypadek wydam polecenie, aby od dziś milicja nie tylko zwracała uwagę na ten wagon, ale po prostu postawiła przy nim posterunek.

- Kierownik komisariatu będzie się krzywił. Z ludźmi u nich ciężko.

- Trudno - rzekł major - nie możemy tym się przejmować. Ostatecznie posterunek nie musi stać przy samym wagonie, wystarczy, gdy ciągle będzie patrolował te tory.

W komisariacie kolejowym major wydał odpowiednie dyspozycje, a potem rozmówił się z naczelnikiem miejscowej placówki celnej w sprawie rewizji wagonu sypialnego.

- Dobrze znam tego konwojenta - oświadczył naczelnik - to bardzo uczciwy i porządny chłop. Nigdy nie miał żadnych zatargów z władzami, chociaż jeździ już od kilku lat na liniach zagranicznych.

- Mimo to proszę zrobić rewizję całego wagonu. Wymyślcie jaką chcecie historyjkę, aby to wyglądało prawdopodobnie i żeby konwojent nie spostrzegł się, że to milicja wpadła na ten pomysł.

- Na przykład jakiś przemyt złota?

- Dobrze - zgodził się naczelnik. - Zrobimy, jak pan major chce. Jutro rano przewrócimy cały wagon do góry nogami. Będziemy szukali złota przemycanego z Wiednia.

VIII. „Żywieckie” czy „Jubileuszowe”?

Podstęp udał się doskonale. Celnicy zrewidowali jak najdokładniej cały wagon, szukając rzekomego przemytu złota. Z wprawą ludzi, którzy doskonale orientują się, co i gdzie można schować w wagonie sypialnym, przetrząsnęli go od góry do dołu. Konwojenta, Kazimierza Jakubowskiego, rozebrano do ostatniej części garderoby i zrewidowano później wszystkie jego rzeczy, sztuka po sztuce. Nie znaleziono niczego. Jakubowski, człowiek pod pięćdziesiątkę, jeżdżący wagonami od piętnastu lat, a na liniach zagranicznych od siedmiu, nie posiadał się z oburzenia.

- Taki despekt zrobić mnie - skarżył się potem naczelnikowi straży celnej - mnie, który nie miał najmniejszego nawet zatargu z celnikami! Tego wam długo nie zapomnę.

- Panie Jakubowski - tłumaczył się naczelnik - a co mieliśmy zrobić? Wpłynął donos, że w tym wagonie ukryto dwanaście kilogramów złota. Mógł pan o tym nawet nie wiedzieć. Przypuśćmy, że któryś z pasażerów zamelinował, a później by wyjął przemyt z wagonu po odstawieniu go na bocznice. Byłem pewien, że pan nie ma z tym nic wspólnego, ale skoro wpłynęło doniesienie, musieliśmy rewidować i pana przy okazji. Takie są przepisy. Bardzo pana przepraszam, znamy się

przecież nie od dziś.

Wobec takiego rezultatu rewizji nie od razu zabrano Jakubowskiego na przesłuchanie do KG MO, lecz posłano mu do domu zawiadomienie, żeby stawił się tam nazajutrz. Tymczasem major ponownie przesłuchiwał Bagińskiego, Olszaka i Mazurka. Żaden z nich nie zmienił swoich pierwotnych zeznań. Bagiński podkreślał, że wziął Mazurka jako pasażera na gapę z „dobrego serca”, bo jak tu koledze nie pomóc? Znowu o mało co się nie popłakał i błagał majora, aby go „nie gubił”.

- Panie Bagiński - zapytał major - pamięta pan, jak wózkarz, Andrzej Marciniak, przyniósł piwo?

- Pamiętam dobrze. Wyjął je spod białego kitla i postawił na stole pod oknem. Dwie butelki. Mazurek narzekał, że tak mało.

- Jakie to były butelki? Bagiński zastanowił się.

- Zwyczajne. Jak to od piwa. Małe, pękate. - A etykietę pan pamięta?

- No pewnie. Zwykła etykieta. Z lwem. Jak przed wojną u Haberbusza.

- Zgadza się. Właśnie taka sama jak przedwojenna. Może pan pamięta nazwę tego piwa?

Bagiński spojrzał na majora Szpotańskiego jak na człowieka, który ma źle w głowie, bo pyta o rzeczy bardzo proste i każdemu znane.

- To było piwo „Jubileuszowe” - odpowiedział.

- A teraz niech pan sobie przypomni, jakie piwo piliście w ambulansie.

Przez twarz Bagińskiego przebiegł lekki skurcz. Odmalowało się na niej ogromne zdumienie.

- Jak to się stało? Przecież piliśmy „Żywieckie”.

- Na pewno „Żywieckie”?

- Mogę przysiąc. „Żywieckie”. Dobrze pamiętam. Na etykietce tańczą dwie dziewczyny. Że też tego nie zauważyłem!

- A przypominacie sobie, co robiliście, gdy pociąg ruszał?

- Siedziałem przy stole, przeglądałem zapisy w książkach. Olszak krótko pracuje na tej linii i czasem się myli, więc zawsze po nim sprawdzam.

- To było wtedy, gdy Mazurek poszedł po papierosy do wagonu bagażowego, a Olszak rozkładał listy dworcowe na półkach, tak?

- Chyba tak.

- Zaraz potem zaproponowaliście im, żeby wypić piwo?

- Zgadza się, panie majorze.

- Wtedy stały już butelki z „Żywcem”?

- Na pewno. Przecież piliśmy właśnie „Żywieckie”. Że ja tego nie zauważyłem!

- Cofniemy się trochę w czasie. A kiedy przedtem wychodziliście do wagonu sypialnego, żeby zdobyć papierosy, jakie piwo stało na stole?

- Pamiętam dobrze, „Żywiec”.

- A jeszcze przedtem?

- Panie majorze, teraz sobie dokładnie przypominam! Jeszcze przed ruszeniem pociągu podszedłem do stołu. Już wtedy stał tam „Żywiec”. To pewnie ten konwojent z sypialnego zamienił. Oni dostają piwo eksportowe. W Warszawie na stacji „Żywieckiego” prawie nigdy nie mają. Czasem trafia się w Supersamie, ale i to rzadko. Od czasu do czasu lubię wypić buteleczkę piwa i znam się na nim. „Żywiec” jest najlepszy. A po browarze żywieckim najlepszy jest „Okocim” i szczecińskie eksportowe. To ostatnie wcale do Warszawy nie dociera. Jak tylko gdzieś zobaczę „Żywieckie”, zawsze kupuję. Najłatwiej o nie na Śląsku. W Katowicach jak nie w bufecie kolejowym, to w „Delikatesach” prawie zawsze można dostać. Nic tylko, panie majorze, ten konwojent podmienił.

- Znać go bliżej?

- Znać to znam od lat. Ale żebym się z nim przyjaźnił czy kolegował, to nie powiem. Ot tak: dzień dobry - dzień dobry.

Za to Karol Olszak nie był piwoszem. W pracy wagonu pocztowego robił wszystko, co mu kazał kierownik ambulansu - Bagiński. Przy stole siedział i wpisywał listy dworcowe do książki. Potem wstał i umieszczał je w przedziałkach. Właśnie był tym zajęty, kiedy pociąg ruszył. Owszem, parę razy przerywał tę pracę i wracał do stołu, aż do samego odejścia przynoszono nowe listy. Tak jak zwykle. Widział też elektryka kręcącego się po wagonie. Elektryk nieraz podchodził do stołu wówczas, kiedy przy nim nikogo nie było. Na stole leżała gruba teczka elektryka. Również i konwojent z sąsiedniego wagonu podchodził do stołu, przy którym nikogo nie było. Olszak nie zwracał uwagi na to, co który z nich tam robił. Miał dużo swojej roboty.

- Pamiętacie, jakie piwo piliście?

- Pamiętam. Zwykle jasne.

- Az jakiej flaszki?

- Bo ja wiem? Zwykła flaszka.

- A jakiej marki było to piwo?

- Nie wiem. Nie zwracałem uwagi. Ja piwa specjalnie nie lubię. Rzadko je piję.

- A może pamiętacie, jaki kształt miały te dwie butelki, które przyniósł wózkarz.

- Nie pamiętam. Wiem, że postawił je pod oknem. Konwojent też swoje tam chyba postawił, bo potem Bagiński stamtąd nam je podawał.

- A co robili kolejarze z bagażowego w ambulansie?

- Tylko jeden wchodził do wagonu. Nic nie robił. Tak zajrzał, żeby zobaczyć, czy mamy dużo poczty. Śmiał się, że nam jest lepiej niż im, bo lżej wynosić worki z pocztą i nie trzeba uważać, aby się coś nie wylało lub nie stłukło.

- Czy podchodził do stołu?

- Chyba podchodził, ale mnie wtedy tam nie było. Właśnie segregowałem listy. To wszystko było już na parę minut przed odjazdem pociągu, po załadowaniu brankardu. Wtedy kolejarze mają już wolny czas. W ambulansie pracujemy do ostatniej chwili. Nieraz pociąg rusza, a klienci w biegu podają listy dworcowe.

- A kiedy wyszedł elektrotechnik?

- Też w tym czasie. Mówił, że w drodze jeszcze raz nas odwiedzi i sprawdzi, czy oświetlenie dobrze działa.

- On miał jechać pociągiem?

- Coś wspominał, że w paru wagonach światło nie w porządku i że musi jechać, i naprawiać w drodze, bo w Warszawie nie zdążył. Przedtem nikt nie zgłaszał uszkodzeń, a teraz wszystkiego od razu nie da się naprawić.

Stanisław Mazurek również nie zmienił swoich zeznań. W dalszym ciągu oświadczał majorowi, że nie boi się konsekwencji, jakie może ponieść za jazdę ambulansiem bez żadnych ku temu uprawnień. Podkreślał, że jest niewinny i ani sąd, ani prokurator nic mu nie mogą zrobić.

- Panie Mazurek, dlaczego zapłaciliście za dwie butelki piwa aż dwadzieścia złotych?

- Jak piwa nie ma i człowiek się fatygował, żeby je wytrzasnąć, to trzeba płacić - wyjaśniał filozoficznie poczciarz. - Dałem dwie dychy, a Marciniak potem nie kwapił się z wydaniem reszty, to miałem mu przypominać? Przecież zrobił mi grzeczność.

- Ale Marciniak nie żądał od was dwudziestu złotych?

- On by nawet słowa nie powiedział, gdybym mu grosza nie dał. Znam go od takiego pętaka. On też mnie zna i wie, że swój honor mam.

- Powiedzieliście Marciniakowi, że wam strasznie zależy na zdobyciu piwa. Tak było?

- Powiedziałem. Gdybym tego nie mówił, nie dostałbym piwa. Po prostu Marciniakowi nie chciałoby się biegać z peronu na stację do bufetu i wyklócać z panią Heleną. Trzeba było wziąć go „na bajer”.

- Tylko dlatego mówiliście, że wam tak zależy na piwie?

- Nie tylko. Znam Bagińskiego od lat i wiem, że chłop ma jedną słabość. Lubi sobie pociągnąć z kufelka. Skoro zrobił mi grzeczność i obiecał zabrać do Katowic, chciałem mu się odwdziaczyć. Gdybym mu dał z pięć dych, toby się tak nie ucieszył, jak tą butelką w taki upał.

- Wzięliście od Marciniaka butelki, ale nie poszliście z nimi do ambulansu?

Mazurek roześmiał się.

- Nie wiedziałem, panie majorze, że Mazurek taki ważny i milicja tak się interesuje każdym jego krokiem. To prawda. Nie poszedłem do ambulansu. Wszedłem do wagonu drugiej klasy. Zobaczyłem przez okno znajomą. Do odjazdu pociągu było dużo czasu, więc chciałem się z nią przywitać i pogadać.

- Co było dalej?

- Znajoma bardzo źle się czuła. Mówiła, że ma dreszcze, że głowa ją boli i w kościach łamie. W taki upał najłatwiej się przeziębic albo nawet na grypę zachorować. Zaofiarowałem się więc, że przyniosę lekarstwo. Na dworcu jest punkt apteczny. Wszedłem z wagonu, oddałem butelki Marciniakowi, bo akurat Stał naprzeciwko ze swoim wózkiem, i poszedłem szukać aspiryny. Prosiłem Jędrka, żeby przyniósł piwo do ambulansu i postawił na stole.

- A dalej?

- Czy to takie ważne? Dostałem aspirynę. Przyniosłem aspirynę, oddałem pani Korzeniowskiej. Pogadałem z nią chwilę i wróciłem do ambulansu. Marciniaka jeszcze tam nie było. Przyniósł piwo dopiero później.

- Jakie to było piwo?

- „Żywieckie”.

- Na pewno?

- Doskonale wiem, co piłem. Łatwo zapamiętać po ładnej etykiecie.

- Ale mnie chodzi o to, czy Marciniak dał panu od razu „Żywieckie”?

- Jeżeli piłem piwo „Żywieckie”, to musiał „Żywieckie” dać. Nie przyglądałem się. Chodziło mi tylko o piwo. Wszystko jedno jakie. Podawał mi spod kitla, ukradkiem. A ja od razu włożyłem

flaszki do kieszeni munduru. Potem mu je oddałem, a gdy przyniósł butelki do wagonu, zajęty byłem układaniem worków. Poprosiłem jedynie, żeby postawił na stole.

- Przecież pan z nim wtedy rozmawiał?

- Tak. Słusznie. Kiedy przechodził przez wagon, przerwałem robotę i poszedłem za nim do stołu. Wtedy jeszcze raz poprosiłem go o zdobycie dodatkowo przynajmniej jeszcze jednej butelki, bo trzech jechało nas w wagonie. On mi poradził popróbować szczęścia u konwojenta. Ale jakie to było piwo, które Jędrzek przyniósł, nie pamiętam. Piłem „Żywieckie”.

- A jakie piwo przyniósł konwojent?

- Chyba takie samo. Kiedy piliśmy, wszystkie flaszki były jednakowe. To dobrze pamiętam.

- Czy zna pan konwojenta?

- Jakubowskiego? Znam od lat. Porządny chłop. Najlepszy dowód, że tak długo utrzymał się na liniach zagranicznych. Całą Europę już zna. Inni przez ten czas zdążyli wylecieć z pracy i nawet wyrok odsiedzieć, a on nigdy nie miał historii ani nawet żadnej reklamacji od klientów. Dobrze mu się powodzi. Na wyjazd za granicę dostaje trochę obcej waluty. W państwach socjalistycznych może również i parę groszy wymienić. Podróżni też coś niecoś w rękę wsuną za różne grzeczności. Z każdej podróży coś przywiezie. Dla dzieci, dla żony, dla siebie. Może i na sprzedaż, kto go tam wie? Nie zwierzał mi się, ale wiem, że to dobra posada. Lepsza niż moja. Nie dziwię się, że chłop trzyma się jej rękoma i nogami i nie chce ryzykować niczego, chociaż nieraz mógłby dobrze zarobić. Po prostu to mu się nie opłaca.

- No dobrze, panie Mazurek, a teraz niech pan zastanowi się i powie, kto się kręcił przy stole, kiedy stało na nim piwo?

- Dużo ludzi podchodziło. Bagiński parę razy podszedł. Olszak pisał przy tym stole, a później układał listy na półkach, ale potem jeszcze parę razy podchodził. Elektryk miał teczkę z narzędziami i coraz to z niej coś wyjmował i chował. Kiedy bagażowy wszedł do wagonu i rozmawiał z nami, to też kręcił się w pobliżu stołu. Ja sam stołu specjalnie nie omijałem. Przecież wisiały koło niego nasze mundury. Jeżeli ktoś z nas chciał sięgnąć do kieszeni, musiał podejść do stołu.

- A elektryka pan zna?

- Nie. Tego nie znam. Widziałem go nieraz na stacji i to wszystko. Kiedy reperował światło, to nie tak jak inni, aby zbyć, ale przy okazji sprawdził cały wagon. Wszystkie lampy. Mówił, że w instalacji nie jest tak, jak potrzeba. Obiecał, że w drodze wstąpi do ambulansu i zobaczy, jak działa oświetlenie w czasie ruchu.

- Teczka z narzędziami miał dużą?

- Dużą i wypchaną. To właściwie nie teczka, ale taka pakowna torba do noszenia na pasku.

- Parę butelek zmieściłoby się tam?

- Chyba nawet cały antałek - roześmiał się Mazurek.

- A nie widział pan butelek?

- Nie zaglądałem. Nie mam tego zwyczaju.

- Nie mówię, żeście zagląдали, ale może przypadkiem coś zauważyliście?

- Nie, nic. Elektryk, tyle pamiętam, miał bardzo przyzwoicie ułożone narzędzia. Wyjmował je z osobnych, celofanowych woreczków. A zapasowe części i żarówki trzymał w dużej papierowej torbie.

- Zwykłej czy z jakimś napisem?

- Z napisami. MHD albo WSS? Taka torba na żywność.

- A nie „Delikatesy”?

- Może i „Delikatesy”. Nie powiem, bo nie pamiętam. Przesłuchano również i dyżurnego ruchu, który tego dnia odprawiał pociąg pośpieszny do Rzymu. Przypomniał on sobie doskonale fakt, że któryś z pocztowców meldował uszkodzenie światła elektrycznego w ambulansie. Dyżurny wszedł do wagonu, stwierdził, że niektóre lampy rzeczywiście się nie palą. Zadzwoił więc do Wydziału Mechanicznego, aby przysłali kogoś do naprawy. W Mechanicznym odpowiedzieli mu, że elektryk jest na miejscu, po były już meldunki konduktorów w podobnych sprawach. Wtedy dyżurny polecił skierować elektryka do wagonu pocztowego, żeby to uszkodzenie naprawił w pierwszej kolejności.

- Czy zauważył pan w ambulansie butelki z piwem?

- Nie widziałem.

- Przypomnę panu. Stały na stole, pod oknem.

- Do stołu podchodziłem, bo nad nim też wisi lampa, ale nie zwracałem uwagi, co na nim stoi.

Dwaj kolejarze obsługujący wagon bagażowy: Tadeusz Leszczyk i Edward Cubryś potwierdzili znane już z innych przesłuchań fakty. Tadeusz Leszczyk przyznał, że wchodził do wnętrza wagonu pocztowego.

- Po co? - zapytał major.

- No tak, po prostu wszedłem - Leszczyk nie umiał wytłumaczyć swojego postępowania.

- Dawno pracujecie na kolei?

- Przeszło piętnaście lat.

- To wiecie, że do ambulansu nikomu obcemu nie wolno wchodzić?

- Wiem. Ale tego nikt nie przestrzega. Nasze wagony - bagażowy i pocztowy - idą zawsze obok siebie.

- No to co z tego?

- Oni nieraz do nas przychodzą, a my do nich. Tak po sąsiedzku. Gdy potrzeba, to jeden drugiemu pomaga.

- Ale wtedy oni nie potrzebowali waszej pomocy.

- Tak zajrzałem. Przez ciekawość, czy mają dużo poczty.

- Chodziliście po całym wagonie?

- Tylko się raz przeszedłem.

- Byliście przy stole?

- Byłem.

- Co tam zauważyliście? Przecież, jak sami mówicie, byliście ciekawi.

- Widziałem, że leżała tam otwarta książka z zapisami. Olszak wtedy układał listy na półkach.

- Piwo widzieliście?

- Chyba stało przy samym oknie.

- A jakiej było marki?

- Nie wiem. Specjalnie się nie przyglądałem.

- Wyście w swoim wagonie też mieli piwo?

- Mieliśmy - ucieszył się Leszczyk. - To pocztowcy musieli mieć „Okocim”. Takie samo jak my. Kiedy konwojent przyniósł nam do bagażowego dwie butelki piwa, mówił, że dał także pocztowcom z ambulansu. Narzekał, że mało butelek mu przywieziono i nawet do Rzymu nie starczy, nie mówiąc już o drodze powrotnej. Dlatego dał tylko po jednej butelce na łeppek.

- A może to było piwo „Żywieckie”?

- Ależ! Co pan mówi, majorze! Znam się na piwie. Na „Żywcu” tańczą dwie osoby. Chyba dwie dziewczyny? A może chłopiec i dziewczyna? Nalepka jest bardziej czerwona. A na „Okocimskim” jest tylko jedna dziewczyna i nalepka jest biało-złota. Pamiętam doskonale, że to był „Okocim”. W wagonach sypialnych teraz najczęściej mają „Okocim”. Zdarza się i „Żywieckie”, ale ostatnio dość rzadko. Podobno wszystko, co wyprodukują, idzie na eksport. Do Ameryki, za dolary. Tylko mniej udane partie trafiają do naszych gardeł.

- Czy ktoś wchodził do waszego wagonu, gdy pociąg ruszył?

- Przyszedł od pocziarzy Mazurek. Chciał papierosów.

- Drzwi między wagonami były otwarte?

- Drzwi były zamknięte, ale Mazurek ma własny klucz kolejowy. Taki kwadratowy. Więc sobie otworzył. Chciał od nas całą paczkę, ale i u nas z paleniem było krucho. Daliśmy mu cztery albo sześć papierosów.

- Nie zauważyliście, Mazurek był pijany albo czymś podniecony?

- Nie. Wyglądał normalnie. Rozmawialiśmy chwilę. Mówił, że jedzie na urlop, na Śląsk, do rodziny.

- A wy w czasie jazdy pociągu nie zaglądaliście do ambulansu?

- Nie. Mieliśmy dużo roboty z bagażem i przesyłkami ekspresowymi. Cały prawie wagon zawalony był skrzynkami pełnymi truskawek. Szło to wszystko do Wiednia i trzeba było ustawić owoce, aby nie przeszkadzały we wcześniejszym wyładunku innych paczek. Przesuwaliśmy to wszystko do tyłu, na sam koniec wagonu. Do samych Kuluszek żaden z nas nawet nie usiadł.

- Jakie papierosy daliście Mazurkowi?

- „Sporty” Sześć papierosów.

Drugi z kolejarzy, Edmund Cupryś, zeznał, że nie wchodził do ambulansu. Stał tylko koło niego i rozmawiał z dwoma pocztowcami. Mazurkiem i Bagińskim. Trzeci z obsługi ambulansu pracował gdzieś w głębi. Cupryś pamiętał, że Mazurek przyszedł do ich wagonu, wtedy kiedy pociąg był w ruchu. Dali rnu parę „Sportów”, bo narzekał, że nie mają nic do palenia. Obiecał oddać w Częstochowie.

- Piliście w drodze wódkę?

- Panie majorze, co pan takie rzeczy! Wódka w wagonie! A jakby nas kto złapał albo choćby poczuł, że golnęliśmy? Za to wyrzucają z pracy bez pardonu. Za duże ryzyko. Wypiliśmy po butelce piwa i to wszystko.

- Tylko po butelce?

- Po jednej. Jak Boga kocham! Więcej nam ten z sypialnego nie chciał dać. Jeden „Okocim” to przecież nie pijaństwo. - Kolejarz obawiał się, że całe przesłuchanie idzie w kierunku udowodnienia im pijaństwa w czasie pracy. - U nas w wagonie było wszystko w najlepszym porządku. Na całej trasie bagaże wyładowane na czas i zgodnie z przeznaczeniem. Owoce przeładowaliśmy do czeskiego wagonu bez najmniejszego uszkodzenia. Później w Zebrzydowicach, a mieliśmy tam cały dzień postoju, wypiliśmy ćwiarteczkę, a ten pies - zawiadowca stacji, musiał nas obserwować. Co to za pijaństwo - ćwiartka wódki na dwóch? A potem przespaliśmy się sześć godzin. W powrotnej

drodze znowu wszystko było w porządku. A to łobuz, to dlatego, panie majorze, tak narozrabiał, że go nie poczęstowaliśmy. Już i ja go upilnuję. My pijani na służbie? Jeszcze nas nikt nie widział i nie zobaczy.

- W każdym razie pilnujcie się, bo już macie kreskę - major nie wyprowadzał z błędu bagażowego. Lepiej będzie, jeżeli kolejarze nabiorą przekonania, że muszą się pilnować na przyszłość.

Tego samego dnia Instytut Kryminalistyki nadesłał wyniki przeprowadzonych analiz. W trzech butelkach po piwie znaleziono ślady środka usypiającego. Czwarta nie zawierała narkotyku. Paczki z żywnością były wolne od trucizny. Leżące pod stołem i w popielniczce niedopałki papierosów to resztki „Sportów” - wolne od jakichkolwiek zanieczyszczeń. Na wpół wypalony papieros, leżący tuż koło drzwi prowadzących do sąsiedniego wagonu sypialnego, to „Silesia”. Nie znaleziono w nim niczego podejrzanego. Teczka i odzież normalne. To samo dotyczy mydła i ręcznika.

IX. Są jeszcze dobre posady

- Jak tam dochodzenie w sprawie tej kradzieży w ambulansie? - zapytał pułkownik na odprawie oficerów śledczych.

- Pozostały nam, panie pułkowniku, jeszcze dwa ważne przesłuchania - informował major Szpotański. - Konwojenta i elektryka. Obaj są mocno podejrzani. Obaj mieli okazję zamienić piwo na zatrute i wejść do wagonu w czasie biegu pociągu. Dostałem analizy - potwierdzają nasze przypuszczenia. Środek usypiający podany był w piwie. Łódź nadesłała odciski palców. Najgorzej wyszły na butelkach. Wiele rozmazów. Te, które udało się zidentyfikować, to odciski palców pocztowców. W całym wagonie dużo odcisków. Przeważnie pocztowców, ale są i elektryka, a nawet konwojenta i bagażowego. Znaleziono także jeden odcisk wózkarza.

- To tyle co nic. I tak wiemy o tym, że ci ludzie byli w wagonie. Szkoda, że butelki nie mają żadnego obcego siadu

- Ostatni mieli je w rękach pocztowcy. Pili prosto z butelek, to i zatarli poprzednie ślady.

- To wszystko?

- Szpital wojewódzki w Łodzi nadesłał opis choroby. Świadcstwo stwierdza zatrucie środkiem nasennym phanodormium. Najgorzej zatrucie zniósł kierownik ambulansu, Bagiński. Nic dziwnego. Był najstarszy, ma poza tym rozwiniętą nerwicę serca. Najlepiej wyszedł z tego Karol Olszak, zresztą najmłodszy z pocztowców. Bagińskiemu udzielono dwóch tygodni zwolnienia z pracy. Olszakowi trzech dni. Mazurek również po czterech dniach powrócił do pracy.

Ambulans stoi opieczętowany na torach kolejowych tuż za stacją Warszawa Główna. Usiłowano do niego dokonać włamania Pełniący na dworcu służbę kapral MO spłoszył włamywacza, jednak pomimo natychmiastowego pościgu nie zdołał go ująć.

- Ambulans jeszcze nie wyładowany? Dlaczego?

- Ambulans został komisyjnie rozładowany natychmiast po przybyciu wagonu do Warszawy. Był przy tym obecny podporucznik Adamczewski.
- Włamano się do pustego ambulansu? Widocznie włamywacz pomylił się.
- Przypuszczam, że nie, panie pułkowniku, ale na razie nie mogę przedstawić żadnych dowodów na to przypuszczenie.
- Znowu macie jakąś teorię?
- Tak jakby zaczynała kiełkować.
- A jak poprzednia?
- Wzięła w łeb, panie pułkowniku. Obecnie Jestem już całkowicie pewien, że wózek jest niewinny. Wykreśliłem go z listy podejrzanych, a także i parę innych osób.
- Widzę, majorze, że jesteście optymistą.
- Mam nadzieję, że dochodzenie skończy się jeszcze przed upływem tygodnia.
- Niezmiernie raduje mnie ta wiadomość, lecz pamiętajcie, nie zróbcie znowu głupstwa. Wszelkie teorie i hipotezy nie mogą przesłaniać rzeczywistości.
- Tak jest, panie pułkowniku - major wyprężył się służbiście.

U siebie w pokoju Szpotański zastał porucznika Adamczewskiego oraz jakiegoś nie znanego sobie mężczyznę. Może pięćdziesięcioletni, wysokiego wzrostu, o pociągłej twarzy, ubrany był dobrze, a nawet elegancko, w jasny garnitur i białą nylonową koszulę. Ładne buty i gustownie dobrane skarpetki dopełniały całości ubioru.

- Panie majorze - pośpieszył z wyjaśnieniem podporucznik Adamczewski - zgłosił się Kazimierz Jakubowski, pracownik „Warsa”, zatrudniony jako konwojent w wagonach sypialnych.

Jakubowski wstał i uklonił się majorowi.

- Otrzymałem wezwanie, aby stawić się na przesłuchanie.
- Proszę, niech pan siada. Nazwisko Jakubowski, imię Kazimierz. Zamieszkały?
- W Aninie. Ulica Równoległa 8.
- Macie tam własną wille?
- Domek jednorodzinny.
- Wykształcenie?

- Średnie i ukończone kursy hotelarstwa oraz studium języków obcych: niemieckiego i angielskiego Władam też rosyjskim i nieco gorzej mówię po czesku oraz po węgiersku.

- Stan cywilny?

- Żonaty, dwoje dzieci.

- Domyśla się pan, dlaczego wezwaliśmy go tutaj?

- Tak jest, panie majorze. Posądzacie mnie, że to ja okradłem wagon pocztowy w nocy z wtorku na środę ubiegłego tygodnia, na trasie Warszawa - Rzym.

- Tego zarzutu panu nie postawiliśmy. Ma pan przecież na wezwaniu wyraźnie zaznaczone, że przesłuchany pan będzie „w charakterze świadka”.

- Ale ja wiem. Od razu domyśliłem się tego po rewizji, którą przeprowadzono w moim wagonie po powrocie z Rzymu

- Myśmy żadnej rewizji nie robili.

- Ale celnicy. To na jedno wychodzi. Piętnaście lat jeżdżę w wagonach sypialnych i jeszcze ani razu mnie to nie spotkało. Do rosołu mnie rozbierano.

Major milczał.

- Wiem, że mnie posądzacie. Jechałem obok i mogłem w każdej chwili wejść do ambulansu, wziąć paczkę i wrócić do siebie. Na to wystarcza pięć minut. W sypialnym wszyscy spali, nikt by nie zauważył. Nosilem im piwo, nie było więc trudności z uspieniem tych pocztowców. Wszystko się zgadza?

- Rzeczywiście, zgadza się - powtórzył zimnym tonem major Szpotański

- Ja wiem, panie majorze. Orientuję się w moim położeniu. Nawet uprzedziłem rodzinę wychodząc z domu, że mogę nie wrócić.

- Przyznaje się pan do winy?

- Nie! Jestem niewinny, chociaż pozory przemawiają przeciwko mnie.

- A co pan ma na swoją obronę?

- Prócz poszlak nie macie panowie żadnego dowodu przeciwko mnie.

- Skąd pan o tym wie? Może mamy? - major zaczął nagle czegoś szukać po kieszeniach, wyjął pudełko zapalek. - Psiakrew - zaklął - znowu zgubiłem papierosy. Pewnie zostawiłem u pułkownika.

- Niestety, nie palę - zmartwił się podporucznik - ale może podskoczę do kiosku po paczkę.

- Ja też nie palę - dodał Jakubowski.

- Co pan ma na swoje usprawiedliwienie, panie Jakubowski? Powtarza pan stale „jestem niewinny”, ale to dla nas nie jest żadnym argumentem.

- Przede wszystkim, panie majorze - odpowiedział konwojent - brakuje najważniejszego: motywu. Po co miałbym kraść?

- Z wagonu zginęło półtora miliona złotych. W gotówce i w biżuterii. Dla każdego z nas to łakomy kąsek.

- Zgoda. Ale każdy z nas zastanowiłby się czy warto ryzykować. W mojej sytuacji nie warto.

- Może pan to dokładniej wyjaśni.

- To proste. Od piętnastu lat pracuję w „Warsie”. W tym osiem na liniach zagranicznych. Jeżdżę raz albo dwa razy w tygodniu za granicę. Zarówno do państw socjalistycznych, jak i do krajów kapitalistycznych. Diety otrzymuję w dewizach. W każdym z krajów socjalistycznych mogę ponadto wymienić po sto pięćdziesiąt złotych. Nie oszukuję ani państwa, ani nikogo. Nie bawię się w żadne szmugle. Niemniej każdy wyjazd daje mi ponad tysiąc złotych na czysto.

- Dlaczego?

- Diet nie wydaję na życie. Biorę z kraju jedzenie, a ponieważ w wagonie mam maszynkę, to robię sobie herbatę lub nawet upitraszę coś na postoj. Za diety i za wymienione pieniądze mogę kupić coś, co u nas w Polsce jest o wiele więcej warte. Nie kryję, panie majorze. Teraz z Rzymu przywiozłem płaszcz ortalionowy. W kraju kosztuje około tysiąca złotych. Mnie kosztował około trzech dolarów. Tam już niemodne i z wyprzedaży można kupić za bezcen. Zmieniła się również moda na kołnierzyki przy męskich koszulach. Te szerokie wycięte już nie są noszone. W Holandii i w NRF takie koszule, za które płaciło się po pięć dolarów, sprzedają na straganach po sześć marek, czyli po półtora dolara. A u nas ponad siedemset pięćdziesiąt złotych bez względu na fason kołnierzyka. Nie handluję, do komisju niczego nie wstawiam. Za granicę niczego nie wywożę - ani kart do Rumunii, ani płótna na Węgry. Ale na ubranie dla siebie i dla całej rodziny ani grosza nie wydam. Niekiedy coś odstąpię znajomym taniej, niżby za to zapłacili w pawilonach na Marszałkowskiej lub w sklepach na Chmielnej. Dorobiłem się własnego, ładnego domu w Aninie. Pięć lat budowałem nie żałując własnej pracy i własnego potu, ale mam i mieszkanie, i ogródek, i ani grosza długu. Za rok, za dwa skombinuje się może jakieś własne cztery kółka. Na wszelki wypadek mam garaż pod mieszkaniem. I ja miałbym to wszystko ryzykować za półtora miliona złotych?

- No tak - major nie potakiwał, ale i nie zaprzeczał.

- To się nie opłaca. Przy wsypie, a nie wierzę, żeby taki skok prędzej czy później nie wyszedł na jaw, zabraliby mi nie tylko to, co ukradłem, ale i to, czego dorobiłem się własną pracą. Nie licząc oczywiście tych przynajmniej ośmiu lat odsiadki. Niewarta skórka za wyprawkę. Sami panowie wiedzą, jak to jest z dobrymi posadami. Jest ich mniej niż chętnych. Na moje miejsce od razu znajdzie się kilkunastu kandydatów, niechby mi się tylko noga powinęła! Nie wiem, czy w całym

„Warsie” jest dziesięciu ludzi, którzy tak długo jak ja utrzymali się na liniach zagranicznych. Za najmniejsze przewinienie zdejmują z wagonu. Dlatego też pilnuję tej posady. Mógłbym przecież bardzo łatwo trzy razy tyle zarobić, co zarabiam, ale wolę nie ryzykować i nie nadstawiać głowy. Na takich, którzy przy okazji zajmują się handelkiem, w dyrekcji bardzo krzywo patrzą. Uczę się obcych języków, zwiększam swoje kwalifikacje. Ta sprawa z rewizją rzuciła już na mnie cień podejrzania. Na pewno personalny wie, że Jakubowskiemu zrobili rewizję, kiedy ostatni raz wrócił do kraju.

- Przejdźmy jednak do konkretnych faktów - przerwał oficer milicji. - Czy pan był w wagonie pocztowym?

- Byłem. Mazurek prosił mnie o piwo, to je przyniosłem.

- A dlaczego nie dał mu go pan od razu, kiedy przyszedł do sypialnego?

- Stałem wtedy przy wejściu i przyjmowałem pasażerów. Trzeba sprawdzić bilety, wziąć je od podróżnych, a następnie pokazać przedział, zanieść bagaże i ulokować je na półce, zapytać, co będą pili, herbatę czy kawę. Gość musi być dobrze obsłużony. To się opłaca i mojemu przedsiębiorstwu, i mnie samemu. W takim wagonie zawsze jedzie wielu cudzoziemców. Wtedy jechał pewien dyplomata z całą rodziną i jeszcze jeden konsul. Do Rzymu wracali jacyś architekci. Wyjeżdżało kilku naszych rodaków. Akurat gdy Mazurek przyszedł, miałem pełne ręce roboty. Powiedziałem mu jedynie, że podrzucę piwo do ambulansu. O to sarno prosili kolejarze z bagażowego. Dopiero parę minut przed odjazdem, kiedy sprawdziłem w grafiku, że mam komplet pasażerów, złapałem ręcznik, okręciłem nim butelki i poszedłem do nich. Mazurek zajęty był workami, postawiłem piwo na stole i zaraz wyszedłem. Do bagażowego wstąpiłem również tylko na krótko.

- Mógł pan przecież podać piwo przez drzwi.

- Zasadniczo nie mamy zakazu sprzedawania piwa poza wagonem, ale to jest źle widziane. Przede wszystkim należy obsłużyć pasażerów z sypialnego. A tego dnia z napojami było krucho. Dostałem zaledwie trzy skrzynki na całą drogę do Rzymu i z powrotem. Do granicy nawet nie starczyło.

- To dlaczego sprzedawał pan piwo pocztowcom i kolejarzom?

- Panie majorze, na takiej posiadzie trzeba ze wszystkimi żyć w zgodzie, a przede wszystkim z najbliższymi sąsiadami. Ja tego piwa im nawet nie sprzedałem. Po prostu dałem w prezencie te butelki.

- Kiedy stawiał pan piwo w ambulansie, to ktoś tam siedział?

- Tak, ten młody siedział i coś pisał. Nie znam jego nazwiska. Zaraz jednak wstał i odszedł w głąb wagonu.

- Pan postawił piwo tuż przy oknie?

- Tak. Obok innych butelek.

- Pamięta pan te butelki?

- Pamiętam. „Jubileuszowe” z Browaru Warszawskiego. Pękate. Ja postawiłem smuklejszą butelkę „Okocimia”.

- A Eagiński mówił, że przyniósł pan „Żywieckie”.

- Coś mu się pomieszało. „Żywca” nie dostajemy już od przeszło trzech miesięcy. Dostarczają „Okocim”, gdańskiego „Szopena” albo „Browary Poznańskie”. To łatwo sprawdzić w dziale zaopatrzenia dyrekcji „Warsa”. Teraz „Żywiec” do Warszawy w ogóle nie trafia.

- Co pan robił, gdy pociąg ruszał?

- Układałem bilety według przedziałów, żeby wszystko było gotowe przed przyjściem konduktora. Do paru przedziałów zaniósłem kawę i herbatę. Kilku panów piło piwo i kawę stojąc w pobliżu mojej służbówki.

- Aż do Koruszek nie wychodził pan z przedziału?

- Wychodziłem, bo nosiłem kawę i herbatę. Przecież mówiłem.

- A poza tym? Jakubowski zamyślił się.

- To tak trudno sobie przypomnieć. Nie zwracałem specjalnej uwagi ani na swoje kroki, ani na ruchy innych ludzi. Żebym wiedział, że będzie potrzebne, tobym pamiętnik pisał... Aa, już wiem. Wychodziłem, bo usłyszałem pukanie w szybę w drzwiach prowadzących do ambulansu. Poszedłem tam i otworzyłem te drzwi.

- Przecież otwierają się zwyczajnie kluczem kolejowym.

- Otwierają się, ale są tam jeszcze małe łańcuszki. Kiedy założy się łańcuch, wtedy nie można ruszyć klamką. W czasie biegu pociągu zwykle w ten sposób zabezpieczamy drzwi i jeżeli ktoś chce wejść, musi pukać.

- Co było dalej?

- Za drzwiami stał Bagiński. Wszedł do środka i chciał kupić papierosów. Miałem tylko droższe gatunki: „Wawele”, „Caro”, „Belwedery”, „Syreny”. Więc podziękował i wrócił do ambulansu.

- Czy potem do wagonu nikt więcej nie wchodził?

- Nikt. Tylko elektryk przyszedł sprawdzać światło.

- Kiedy przyszedł? Trzeba z pana wyciągać słówko po słówku.

- W jakieś piętnaście minut po ruszeniu pociągu. Chyba jeszcze do Grodziska nie dojechalśmy. Już wiem: kiedy otwierałem drzwi, mijaliśmy Pruszków albo Milanówek.

- Reperował coś?

- Pokręcił się po wagonie, wymienił parę żarówek, sprawdził, czy instalacja działa. Jakiś sumienny chłop. Wszystko obejrzał bardzo dokładnie.

- Byliście przy nim cały czas?

- Nie. Zamieniłem tylko parę słów. Położył swoją torbę w moim służbowym przedziale i kręcił się po wagonie. Ja siedziałem u siebie.

- Długo się kręcił po waszym wagonie?

- Nie sprawdzałem na zegarku. Myślę, że robota zajęła mu z kwadrans.

- Skąd przyszedł?

- Z wagonu obok. Też do Rzymu, ale nie sypialny.

- Czy wysiadł w Koluszkach?

- Nie. Dużo wcześniej.

- Kiedy?

- Nie uważałem dokładnie. Przypuszczam, że wyszedł z przedziału gdzieś za Żyrardowem. Wrócił, skąd przyszedł. Wiem dobrze, bo zamknąłem za nim drzwi.

- Czy wasza służbówka znajdowała się bliżej wagonu pocztowego, czy tego drugiego idącego również do Rzymu?

- Tego drugiego.

- Widzieliście, jak elektryk wchodził do ambulansu?

- Nie widziałem. Poszedł w tamten kąt wagonu, ale czy otwierał drzwi do sąsiedniego wozu pocztowego ani widziałem, ani słyszałem.

- A mógł to zrobić?

- Oczywiście. Wystarczyło zdjąć łańcuszek zabezpieczający i nacisnąć klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Pod koniec przesłuchania podporucznik Adamczewski opuścił pokój. Wyszedł z niego, kiedy była mowa o gatunkach piwa dostarczanych do wagonów „Warsa”. Od razu zrozumiał dyskretny ruch dany mu przez majora. Teraz powrócił i nieznacznie dał znak zwierzchnikowi, że wszystko w porządku.

- Na tym skończymy, panie Jakubowski - oświadczył major. - Przepustkę odda pan dyżurnemu milicjantowi przy wyjściu. Możliwe, że wezwiemy pana jeszcze raz. Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę telefonować zaraz i porozumieć się ze mną lub z porucznikiem Adamczewskim.

Po wyjściu konwojenta podporucznik powiedział:

- Dodzwoniłem się do ich zaopatrzenia. Sprawdzili dokładnie. „Żywca” nie mieli od początku maja. Wtedy ich wagony dostawały wyłącznie piwo okocimskie. Ten człowiek mówił prawdę.

- A zatem - zakonkludował major - możemy skreślić z naszej listy jeszcze jednego niewinnego. Teoretycznie możliwe jest, że Jakubowski dostał piwo „Żywieckie” znacznie wcześniej i trzymał je na taką okazję. To jednak mało prawdopodobne. Poza tym jego argumenty, że takiej dobrej posady nie opłaciłoby mu się ryzykować dla zdobycia półtora miliona złotych, są przekonywujące, chociaż w absolutną czystość i abominację do handlu naszego konwojenta nie bardzo wierzę. Ten domek za prędko jakoś mu wyrósł. Nawiasem mówiąc wiem, że to jedna z najładniejszych will, zbudowanych w Aninie w ostatnich latach. Nie nasza sprawa, nie tym się zajmujemy. Jeżeli zarabia więcej, niż się przyznaje, tym bardziej nie poszedłby na taką robotę.

- Pozostał nam jeszcze elektrotechnik - zauważył smętnie podporucznik. - Ciekaw jestem, co ten nam z kolei powie.

- Kazałem mu się zjawić jutro rano. No cóż, wysłuchamy i jego wersji.

X. 5 km za Skierniewicami

Jednakże nazajutrz do przesłuchania elektryka nie doszło. Pomimo że pan Piotr Gałęcki, pracownik ZNTK Warszawa-Bródno, okresowo przydzielony do brygady naprawczej Warszawa Główna, stawiał się punktualnie w gmachu KG MO na Ksawerowie, odprawiono go z kwitkiem i kazano mu przyjść następnego dnia o tej samej porze. Po prostu majora Feliksa Szpotańskiego i podporucznika Władysława Adamczewskiego nie było w Warszawie. Z samego rana wyjechali do Skierniewic.

Oto zawiadowca Odcinka Drogowego w Skierniewicach powiadomił Dyрекcję Okręgową PKP w Warszawie, że jeden z torowych odebrał swoim dzieciom jakieś kolorowe rysunki i plany. Dzieci bawiły się nimi i tłumaczyły, że znalazły je w małym lasku rosnącym przy torze kolejowym. Torowy oddał rysunki zawiadowcy, ten zaś, pracownik bardzo sumienny, przekazał wiadomość do Warszawy.

W Warszawie pismo trafiło na czyjeś biurko i spokojnie leżało kilka dni. Prawdopodobnie leżałoby tam znacznie dłużej, a później powędrowałoby „drogą urzędową” do kosza, gdyby właśnie do tego pokoju nie zajrzał jeden z pracowników służby ruchu na Dworcu Głównym w Warszawie. Jako o wielkiej sensacji opowiedział on kolegom z dyrekcji o kradzieży w wagonie pocztowym. W tym opowiadaniu zaginione pieniądze urosły do kilkunastu milionów, a biżuteria nabrała imponującej wagi kilkudziesięciu kilogramów złota i platyny. Poza tym złodziej według narratora skradł również plany najnowszej rakiety transkontynentalnej.

Wtedy dopiero pewien pan - mniejsza o nazwisko - przypomniał sobie o papierku leżącym na jego biurku. Zaczęły się narady, co zrobić z tym fantem, aż wreszcie ktoś zadzwonił do milicji.

W Komendzie Dzielnicowej, a telefonowano właśnie tam, nic nie wiedzano o kradzieży planów rakiety wojskowej. Niemniej jednak nie zlekceważono tego meldunku, lecz dano znać dalej: do Komendy Stołecznej MO i do Komendy Wojewódzkiej MO w Warszawie. Tam dziwny telefon o odnalezionych planach pocisku międzykontynentalnego szczęśliwie skojarzono z kradzieżą w ambulansie i zawiadomiono o wszystkim KG MO. Tu już prostą drogą wiadomość trafiła do majora Szpotańskiego. Oficer milicji niewiele się namyślając zabrał swojego pomocnika i natychmiast pojechał do Skierniewic. Tyle że polecił zatelefonować do zawiadowcy Odcinka Drogowego w Skierniewicach, aby ten oczekiwał ich przyjazdu.

Zawiadowca miał rysunki przygotowane. Leżały na honorowym miejscu na biurku. Gdy tylko oficerowie weszli do gabinetu, wręczył im z dumą plik znalezionych papierów. Nie ulegało wątpliwości, że były to te same plany, które przed paru dniami narobiły takiego zamieszania. Świadczyły o tym wyraźnie stemple Zakładów Mechanicznych „Motor” w Bytomiu, jak i nagłówek firmy Politechniki Warszawskiej, zachowany na jednym ze skrawków papieru.

Dokumenty nie były kompletne. Major trzymał w ręku tylko ich resztki. Były to przedarte na kilka części arkusze papieru i nieco większe kawałki kalki technicznej, na której kolorowym tuszem ktoś nakreślił niezrozumiałe dla laika detale skomplikowanej maszyny.

Major obejrzał dokładnie odzyskany skarb.

- Gdzie to znaleziono?

- To wszystko, co panowie widzą - tłumaczył zawiadowca stacji - przyniósł mi torowy Wąsik. Jego odcinek toru leży stąd o pięć kilometrów. Sam Wąsik mieszka w domu przy torze osiem kilometrów od Skierniewic. Papiery odebrał dzieciom, a widząc na nich rysunki i pieczęcie przyniósł do mnie. Nie mam pojęcia, skąd dzieciaki to wzięły.

- Musimy zaraz jechać do tego Wąsika. Czy zastaniemy go w domu?

- Jeżeli nie w domu, to gdzieś w pobliżu na torze. Znajdziemy go bez trudu.

- Pojedzie pan z nami, panie zawiadowco?

- Z miłą chęcią.

- Prosimy więc do samochodu, nasza „Warszawa” czeka przed domem.

- Lepiej jechać drezyną. I to nawet nie motorową, tylko ręczną. Nie będzie trudności z postojem. Taką zwykłą po prostu zdejmie się z toru i po kramie. Od szosy do Wąsika daleko. Nawet nie wiem, którą do niego samochodem dojechać. A drezyną po torach będziemy na miejscu za kwadrans.

Torowy Wąsik, uprzedzony telefonicznie, czekał przed swoim domem. Był bardzo poruszony przybyciem tak ważnych gości. Tłumaczył majorowi:

- Patrzę, a Maryśka z Heńkiem bawią się czymś kolorowym. Przyglądam się, coś ważnego. Rysunki techniczne. Znam się na tym, bo kiedy reperujemy tory i podbijamy podkłady, to nieraz widzi się podobne rysunki u pana zawiadowcy. Odebrałem smarkaczom wszystko do ostatniego papierka i na drugi dzień rano zaniósłem do Skierniewic, do pana zawiadowcy.

- A nie wiecie, dlaczego to takie podarte?

- To te paskudne dzieciaki tak podarły. Ale ja im lanie spuszczę! Odechce im się na drugi raz.

- Nie, nie - interweniował porucznik widząc, że Wąsik rozgląda się i ręką sięga do paska. - Nie trzeba, nie o to chodzi. To nic, że podarte. Chcemy tylko dowiedzieć się od dzieci, gdzie znalazły te plany.

- Zaraz je przyprowadzę, a na wszelki wypadek przeciągnąć raz paskiem po tyłku nie zaszkodzi.

- Broń Boże! - zastrzegł się major. - Przyprowadźcie tylko dzieci. I nie straszcie ich. Niech się nas nie boją.

- Jak panowie chcą. - Wąsik wszedł do domu.

Dwoje delikwentów widocznie zamknięto tam pod opieką matki, która na wszelki wypadek wyszorowała je „do glansu” i ubrała w świąteczne, czyste ubranka. Z min rodzeństwa można było poznać, że na konto podartych planów ojciec musiał już im obiecać bliższy kontakt ze swoim paskiem od spodni. Szły teraz za swoim rodzicielem w stronę grupki mężczyzn tak, jak się zapewne idzie na ścieście. Dziewczynka była starsza i miała około dziesięciu lat. Chłopczyk nie przekroczył sześciu.

- Jak się macie, dzieciaki? - przywitał je major, wyciągając rękę.

Dziewczynka grzecznie dygnęła witając się z nieznanym panem, ale chłopiec zakrył twarz rączkami i był bliski płaczu.

- Jak ci na imię, panienko?

- Marysia - bąknęła dziewczynka.

- A tobie? Żadnej odpowiedzi.

- No, odpowiedz panu majorowi! - rozzłościł się tata.

- He... Henio - wyszeptało dziecko.

- Chyba lubicie czekoladę? - major wyjął z kieszeni tabliczkę „Mlecznej” Wedla i rozerwawszy opakowanie podsunął dzieciom.

- Dziękuję - zapłoniła się dziewczynka.

- Poczęstuj się, bardzo proszę.

Dziewczynka ostrożnie odłamała małą kawałek czekolady i włożyła do ust. Major, widząc jej onieśmienie, ułamał dwa duże kawałki słodkiej masy i podał jeden Marysi, drugi chłopcu.

- Nie bójcie się nas - tłumaczył. -. Nic wam złego nie zrobimy. Przeciwnie, bardzo się cieszymy, że znaleźliście te kolorowe papierki. To bardzo dobrze, że oddaliście je tatusiowi. Bardzo dobrze. Od razu widać, że z was grzeczne dzieciaczki. Smakuje czekolada?

- Dobra czekolada. Ja już jadłem czekoladę. Tatuś mi kupił. - Pod wpływem poczęstunku i łagodnych słów oficera Henio nabrał większego rezonu. Zaczynał mieć nadzieję, że obiecwane od rana lanie może go jednak ominąć.

- Weź, Marysiu, resztę czekolady - major podsunął jej tabliczkę - i podziel się z braciszkiem.

- Zaniosę też mamusi - dziewczynka całkowicie odzyskała odwagę i przestała się bać tak miłego pana w mundurze.

- Doskonale. Idź do mamusi, poczęstuj ją czekoladą, ale zaraz wróć do nas. Chcemy z tobą porozmawiać.

Kiedy przybiegła, major zapytał:

- Powiedz mi, kochanie, gdzie znaleźliście te papierki?

- Myśmy ich nie podarli, one były takie podarte. Leżały w krzakach. Tam je znaleźliśmy, jak poszliśmy popatrzeć, czy grzyby już rosną.

- No i co? Były grzyby?

- Nie było, bo nie ma deszczu. Tu przy torze można znaleźć maślaki, czasem prawdziwki. Ale teraz jest susza i grzyby nie rosną. Tylko betki i psińce. Innych nie ma.

- Więc poszliście na grzyby i znaleźliście w krzakach te papierki. Tak?

- Ja znalazłem - wtrącił się Henio.

- Cicho bądź, ty jesteś mała - strofowała go siostra.

- Kiedy znalazłem. Ja znalazłem. Ty nie znalazłaś nic. Właśnie ja znalazłem - upierał się mały mężczyzna.

- Dobrze - zgodził się major - więc Henio znalazł. Dużo było tych papierków?

- Dużo. Zebraliśmy wszystkie i przynieśliśmy do domu. Chcieliśmy się nimi bawić. Były takie ładne, kolorowe.

- A powiedz, Marysiu, daleko stąd te krzaki? Dziewczynka pokazała ręką przed siebie wzdłuż toru.

- O tam!

- Wskażesz nam to miejsce? Pojedziemy drezyną. Dobrze? Dwa kilometry za domkiem torowego biegiła niewielkim nasypem linia kolejowa. Po prawej stronie nasypu znajdował się mały lasek sosnowy. Bliżej toru rosły młode brzoźki, trochę jałowców i karłowatych sosenek. Właśnie tutaj, wśród krzaków, jak twierdziła Marysia, dzieci znalazły podarte plany.

Dreżynę zatrzymano. Przybyli ruszyli tyralierą przez lasek ciągnący się równoległe do toru, bacznie się rozglądając. Ponieważ od dość dawna w tej okolicy nie spadła nawet kropla deszczu, była szansa odnalezienia dalszych strzępków papieru. Rzeczywiście po przejściu może dwunastu metrów podporucznik Adamczewski pierwszy spostrzegł kawałek kalki technicznej. Nieco dalej znaleziono rozwleczone wśród krzaków rysunki i przedarte na czworo arkusze papieru, pokryte pismem maszynowym.

Jeden z kolejarzy przyniósł spory kawałek rozerwanej koperty. Miała ona czerwoną obwódkę, charakterystyczną dla kopert listów dworcowych. Kilkadziesiąt metrów dalej znaleziono podarte części koperty. Można już było nawet odczytać adres: Zakłady Mechaniczne „Mot... a pod spodem dobrze znane słowo: Bytom.

- Możemy więcej nie szukać - zdecydował major. - I tak wszystkich kawałków nie odnajdziemy. Wiatr zdążył je z pewnością rozwiać. Zresztą nie mamy potrzeby odtwarzać zaginionych planów, bo przecież są ich kopie. Zdobyliśmy już wystarczający dowód, że złodziej płądrował w ambulansie wtedy, kiedy pociąg znajdował się koło Skierniewic. Wtedy też podarł list dworcowy z planami i wszystko wyrzucił przez okno. Wracamy.

Marysię i Henia odwieziono do domu. Major podziękował Wąsikowi i jeszcze raz pochwalił mądre i grzeczne dzieci. Następnie drezyna, poruszana siłą czterech ludzi, szybko wróciła do Skierniewic. Tutaj znowu oficerowie milicji pożegnali uczynnego zawiadowcę i przesiadłszy się do służbowej „Warszawy” pognali do stolicy.

- Nie rozumiem, po co ten facet zabierał list, skoro go później podarł i wyrzucił.

- To jest dość proste - odpowiedział major. - Mam nadzieję, że będzie nawet jednym z dowodów winy tego człowieka. Wziął list, bo był to duży i gruby pakiet. Przypuszczał, że znajdzie w nim jakieś kosztowności albo papiery wartościowe czy pieniądze. Może liczył na dolary albo inne waluty zagraniczne. Po rozdarciu koperty zobaczył tylko kolorowe plany i kartki zapisanego papieru. Wpadł we wściekłość i podarł na kawałki tak marną zdobycz. Wszystko cisnął przez otwarte okno.

- Ale dlaczego ten fakt może być dowodem przeciwko któremukolwiek z naszych podejrzanych?
- podporucznik nie dawał za wygraną.

- Zobaczmy, zobaczmy - major nadal był tajemniczy i nie wykazywał chęci do podtrzymywania tej rozmowy.

Natomiast zaraz po przyjeździe zadzwonił na Dworzec Główny do komisariatu kolejowego MO i długo wypytywał, czy nie ponowiono próby włamania się do stojącego na ślepych torze ambulansu i

czy nikt się przy nim nie kręcił. Pomimo że wagon był przez cały czas pod obserwacją milicji, niczego podejrzanego nie zauważono. Zawiedziony nieco odłożył słuchawkę.

- Czyżby to rzeczywiście była omyłka włamywacza, który sądził, że wagon jest załadowany i przygotowany do odjazdu? - zastanawiał się głośno.

- Już wiem, panie majorze - powiedział podporucznik.

- Co wiecie?

- Kim jest włamywacz!

- To powiedzcie mi jak najprędzej, żebym sobie dłużej bezskutecznie głowy nie łamał nad tym zagadnieniem - Feliks Szpotański nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Ten elektryk. Piotr Gałęcki!

- Tacyście pewni? Zobaczymy, co nam przyniesie jego przesłuchanie.

- Niech pan posłucha, majorze. Konwojent zeznał, że elektrotechnik kręcił się po wagonie sypialnym wtedy, gdy pociąg był w okolicy Żyrardowa. To się doskonale zgadza w czasie. Widząc, że nikt na niego nie zwraca uwagi, ten człowiek wszedł niepostrzeżenie do ambulansu. Już przedtem zamienił flaszki z piwem i teraz działał na pewniaka. Obrabował wagon i wrócił tą samą drogą.

- Konwojent zeznał, że elektrotechnik przyszedł do wagonu sypialnego - odpowiedział major - mniej więcej wtedy, gdy pociąg mijał Pruszków albo Milanówek. Ale jednocześnie wyjaśnił, że obecność rzemieślnika w wagonie sypialnym aż do momentu zamknięcia za nim drzwi, to znaczy kiedy Gałęcki przechodził do sąsiedniego osobowego wagonu, trwała około piętnastu minut.

- Mogła trwać piętnaście, a mogła równie dobrze i dwadzieścia i dwadzieścia pięć minut. Przecież konwojent sam mówiła że nie sprawdzał tego na zegarku. Zresztą nawet piętnaście minut wystarczyłoby w zupełności do obrabowania ambulansu.

- O tak. Elektryk na to miał aż za dużo czasu. Wystarczyło najwyżej pięć minut, żeby włożyć do kieszeni dwie paczki wartościowe i podrzeć oraz wyrzucić list dworcowy. Ale w rozumowaniu waszym, poruczniku, jest jeden błąd.

- Jaki?

- Człowiek miał na to wszystko dość czasu, ale maszyna nie miała dość czasu, żeby przewieźć pociąg spod Pruszkowa aż do tego ósmego kilometra za Skierniewicami. Nawet gdyby się konwojent omylił o te dziesięć minut, to i tak jest to niewystarczający okres na przejechanie tej trasy. Łatwo sprawdzić z rozkładem jazdy (mogę się mylić o kilka minut), że pociąg pośpieszny pokonuje tę odległość w ciągu przeszło czterdziestu minut.

- Konwojent na pewno się omylił. Obecność elektryka w sypialnym trwała dłużej. Opuścił ten wagon przechodząc do sąsiedniego wozu drugiej klasy za Skierniewicami. Bezpośrednio po podarciu

i wyrzuceniu listu. Kto wie, czy nie zrobił tego na korytarzu lub w ubikacji wagonu sypialnego. W ambulansie są kraty i wyrzucenie czegoś przez okno jest dość skomplikowane. Łatwiej znacznie zrobić to w sypialnym.

- Rozrzut skrawków papieru na przestrzeni przeszło kilometra dowodzi właśnie, że były one wyrzucone przez kratę i złodziej wyrzucał papiery „na raty”. Gdybyśmy mogli - roześmiał się major - dowodzić komuś winy na tej podstawie, że świadkowie się mylą, praca milicyjna byłaby bardzo ułatwiona. Niestety taki dowód nie wystarczy ani dla sądu do orzeczenia wyroku skazującego, ani dla prokuratora, aby uzyskać sankcję na areszt podejrzanego. Mało tego - pułkownik przepędziłby nas obydwoh z tego gmachu na cztery wiatry.

Tak jak w przysłowiu - o wilku mowa, a wilk tuż - otworzyły się drzwi i wszedł pułkownik. Major zerwał się i wyprężył na baczność. Chcąc nie chcąc podporucznik musiał pójść za przykładem swojego bezpośredniego zwierzchnika.

- To lubię - uśmiechnął się szef służby śledczej - zupełnie jak w wojsku, gdy generał niespodziewanie wpada do koszar na inspekcję. Zatem spocznij! Wolno palić! A teraz co tam słyhać z waszym śledztwem, majorze? Jak tam wasze teorie i hipotezy?

- Dziękuję, panie pułkowniku. - Szpotański, nieco zażenowany swoją służbistością, uśmiechnął się z przymusem. - Przybierają coraz bardziej konkretne kształty. Mogę nawet powiedzieć, że znam już całą prawdę. Brakuje mi tylko pewnych drobiazgów do zamiany hipotezy na rzeczywistość. Ale znajdę je.

- Jakich drobiazgów?

- Właśnie. Sam nie wiem dobrze jakich. Wszystko teraz jest jak cegły ułożone jedna na drugiej, ale bez cementu. Niby to ściana stoi, lecz domu z tego nie zrobisz. A wystarczy niewiele cementu i wszystko będzie się trzymać razem. Mocno związane w jedną całość.

- Szukajcie więc dalej, szukajcie obaj tego swojego cementu.

- Mam nadzieję, że znajdziemy. Porucznik Adamczewski jest mi dużą wyręką i ma doskonałe pomysły.

Młody oficer milicji spojrzał na majora. Ale twarz Szpotańskiego była jak zwykle poważna i Adamczewski nie wiedział, czy zwierzchnik kpi sobie z niego, czy też mówi serio.

XI. Jeszcze jeden niewinny

- Piotr Gałęcki czeka na dole - zawiadomił podporucznik Adamczewski majora Szpotańskiego, gdy ten wrócił od pułkownika z codziennej odprawy oficerów śledczyh.

- To dobrze. Niech pan go od razu przysyła na górę, do mojego pokoju. Zobaczymy, co nam powie.

- Pan go aresztuje?

- Z czego? Pod jakim zarzutem?

- Tylko on mógł ukraść te pieniądze. Mogę za to dać głowę.

- Poruczniku! Nie śpieszcie się tak ze swoją głową. Może się jeszcze na coś przydać. A aresztować będzie czas, jeżeli zdobędziemy odpowiednie dowody. Na razie ich nie mamy.

Piotr Gałęcki sprawiał dobre wrażenie. Był to mężczyzna średniego wzrostu, o bardzo jasnych oczach i lekko zadartym nosie. Blond włosy zaczesane miał do góry. Usiadł na wskazanym sobie krześle, podał swoje personalia. Mówił głosem równym, spokojnym. Jedyne nieustanny ruch palców u rąk zdradzał podniecenie przesłuchiwanego.

- Jak to było z naprawą elektryczności w ambulansie w krytycznym dniu?

- Miałem wtedy dyżur na dworcu. Przychodzą konduktorzy i skarżą się, że w całym pociągu nie ma ani jednego wagonu, w którym paliłyby się wszystkie lampy. Wziąłem torbę z narzędziami, zabrałem duży zapas żarówek i idę wzdłuż wagonów. Albo żarówka przepalona, albo gniazdko nie kontaktuje, albo w aparacie rozdzielczym jakieś uszkodzenie. W jednym wagonie łapie mnie konduktor i powiada, że dyżurny ruchu kazał zaraz iść do ambulansu, bo tam też światła nie mają i to trzeba naprawić w pierwszej kolejności.

- Czy wtedy dużo jeszcze było czasu do odjazdu pociągu?

- Może dziesięć, piętnaście minut. Nie więcej.

- Co było dalej?

- Poszedłem do wagonu pocztowego. Tam, pamiętam, nie paliły się dwie żarówki. Jedną przepaloną wymieniłem. Druga była dobra, ale gniazdko miało uszkodzenie. Drut nie kontaktował. Naprawiłem i to. Sprawdziłem inne punkty świetlne. Działały, ale nie nadzwyczajnie. Co mogłem, to od ręki naprawiłem i wyszedłem.

- Powiedźcie jeszcze jedno. Torbę z narzędziami postawiliście na stole. Co na nim było?

- Nie pamiętam. Jakies papiery czy książki.

- Czy ktoś siedział przy tym stole?

- Czasami siedział, czasami nie. Jeden z pocztowców kilka razy podchodził do stołu, siadał przy nim, robił uwagi w papierach i odchodził. Nie miałem czasu przyglądać się robocie pocztarzy.

- Czy wasza torba cały czas leżała na stole?

- Nie. Później, gdy sprawdzałem jedynie punkty świetlne, miałem torbę przy sobie.

- Chodziliście po całym wagonie?

- Tak. Obszedłem wszystkie pomieszczenia.

- Kto był wtedy w ambulansie?

- Pocztowcy. Sortowali pocztę.

- Nikogo więcej nie było?

- W czasie mego pobytu w ambulansie wszedł do wagonu konwojent z sypialnego. Pamiętam to, bo zwrócił mi uwagę, że u niego światło również wymaga naprawy.

- A po co konwojent przyszedł do ambulansu?

Gałecki długo się zastanawiał, wreszcie twarz jego rozjaśniła się uśmiechem.

- Już wiem. Przyniósł piwo. Postawił na stole. Tam już stały dwie butelki. Zupełnie mi to wyleciało z głowy. Pan major pytał, co stało na stole? Dwie butelki piwa! Potem konwojent dostawił jeszcze jedną.

- Może pan sobie przypomni, jakie to były butelki?

- Butelki były różne. Ale nie pamiętam, czy konwojent przyniósł małą i pękatą, a na stole stały te inne, bardziej smukłe, czy też było na odwrót. Ale na pewno jedno różniły się od drugich.

- Czy nie pamięta pan, jakie to były gatunki piwa?

- Nie. Tego nie powiem. Ale wiadomo wszystkim, że w tych pękatach sprzedają tylko piwo warszawskie, z browaru warszawskiego na Ceglanej. Musiało więc to być piwo „Jubileuszowe” albo zwykłe jasne z tego browaru. Jakie piwo było w innych flaszkach, tego nie zauważyłem.

- Czy konwojent wyszedł, kiedy jeszcze byliście w wagonie pocztowym?

- Tak. On był bardzo krótko w ambulansie. Tyle że postawił piwo na stole i zaraz wyszedł.

- Czy wasza torba leżała wtedy na stoliku?

- Nie pamiętam.

- Dobrze. Wyjaśnimy teraz inną sprawę. Do której trwa wasza praca na dworcu?

- Do dwunastej w nocy.

- To dlaczego pojechaliście pociągiem?

- Panie majorze, diabli mnie wzięli! Skład stoi kilkanaście godzin na Szczęśliwicach. Tam ma być sprzątnięty, woda nalana do zbiorników. Kontrola techniczna hamulców i oświetlenia. Naprawa wszystkich uszkodzeń. Na miejscu jest cała ekipa specjalistów. Potem podstawiają pociąg na

Dworzec Główny. Brudy w wagonach, nawet kurznie wytarty. Wody ani na lekarstwo. Tyle że w sypialnych naleją, bo konwojent przypilnuje, a nawet sam napełni zbiorniki. Uszkodzenia nie naprawione. Najprostsza rzecz: przepalone żarówki nie wymienione na nowe. Tak się odprawia pociąg międzynarodowy? Jakże my tam wystawiamy sobie świadectwo wobec cudzoziemców? Dopiero na dworcu na łapu capu naprawia się, co się tylko zdąży. Tak mnie to rozgniewało, że postanowiłem pojechać do Częstochowy i po drodze wszystko sprawdzić i naprawić. W biegu pociągu najlepiej złapać uszkodzenie. Na przykład gdy coś nie kontaktuje, na stacji można tego nie zauważyć, bo światło będzie się paliło. Dopiero kiedy pociąg jest w biegu i trzęsie, to przerywa dopływ prądu i światło gaśnie. W Częstochowie złapałem zaraz pociąg powrotny do Warszawy.

- Z własnej inicjatywy pojechaliście pociągiem pośpiesznym? Nikt wam tego nie kazał? Ciekawe.

- Ja, panie majorze, nie znoszę partaniny i brakoróbstwa. Jeżeli coś robię, to robię dobrze. Nie pilnuję z zegarkiem godzin pracy.

- Bardzo ładnie z waszej strony - major sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i zapalki. Zapalił i zaciągnął się z przyjemnością palacza, który od kilku godzin nie miał papierosa w ustach. Schował przybory do palenia do kieszeni i powiedział zwracając się do elektrotechnika:

- Jeżeli pan chce, panie Gałeczki, może pan też zapalić.

- Bardzo dziękuję - kolejarz wyjął z kieszeni paczkę „Silesii” i skorzystał z pozwolenia.

- Nie lubię „Silesii” - zauważył major. - Jakoś mi nie smakują. Wolę „Ekstra mocne” albo „Piasty”. Ale „Piasty” trudno dostać i są dość drogie.

- Ja przyzwyczailem się do „Silesii”. Dawniej paliłem „Wrocławskie”.

Obaj mężczyźni, przesłuchujący i przesłuchiwany, zamienili jeszcze kilka uwag na temat papierosów, trudności z nabywaniem pewnych gatunków, które lepsze i zdrowsze - papierosy z filtrem czy bez filtra, czy dostaje się raka od papierosów, czy z waty zawartej w filtrach? Wreszcie major zauważył:

- Wróćmy jednak do naszej sprawy. Co pan robił po wyjściu z ambulansu?

- Poszedłem do wagonu sypialnego jadącego do Belgradu. To był chyba trzeci lub czwarty Wagon licząc od ambulansu. Wiedziałem, że tam również światło nawala. Stamtąd mnie właśnie wywołali alarmując, że uszkodzenie w ambulansie. Naprawiłem wszystko i poszedłem w stronę lokomotywy, do następnego wagonu. Tam wszystko było mniej więcej w porządku. Wymieniłem jedną żarówkę i znowu poszedłem dalej.

- To był sypialny do Rzymu?

- Nie. Do Rzymu, ale pierwsza i druga klasa. Wagon zagraniczny. Tam było wszystko w porządku. Przykręciłem niektóre śrubki, bo się trochę obluzowały. Zupełny drobiazg. A dopiero

potem poszedłem do sypialnego.

- Może pamięta pan, jaka to była wówczas stacja?

- Kiedy pukałem, aby mi konwojent otworzył, to właśnie mijaliśmy Pruszków.

- No dobrze! Co było dalej?

- W sypialnym sprawdziłem wszystkie punkty świetlne. Pukałem do przedziałów. W jednym nie mogłem się porozumieć, bo jechał jakiś pan - cudzoziemiec, mówiący tylko po angielsku. Nie mogłem zrozumieć, czego chce. Nie chciał mnie wpuścić do przedziału, a właśnie tam nie paliła się żaróweczka przy lampce nad łóżkiem. W końcu na migi wytłumaczyłem mu, o co chodzi, i wymieniałem tę żarówkę. Cudzoziemiec podziękował mi i poczęstował amerykańskim papierosem.

- Zapaliliście?

- Nie. Na noc nie chciałem. Amerykańskie papierosy, jak na mój gust, są za mocne i mają za długie palenie. Podziękowałem więc i żeby gościa nie urazić, wziąłem papierosa i schowałem do kieszeni. Wypaliłem go dopiero na drugi dzień po obiedzie, w domu.

- Długo byliście w wagonie sypialnym?

- Dość długo. Zeszło z piętnaście, a może nawet ze dwadzieścia minut. Potem wyszedłem i przeszedłem na koniec pociągu. Pracowałem tam aż do samej Częstochowy.

- Nie wysiadaliście w Koruszkach? Przecież pociąg stał tam dość długo.

- Zauważyłem, że stoimy nieplanowo, ale się tym nie interesowałem. Kiedy człowiek ma pilną robotę, nie zwraca uwagi na nic innego. A tam był cały wagon bez światła. Musiałem sprawdzić całą instalację. Długo zeszło mi z tym wagonem, że ledwie zdążyłem uporać się z tym do Częstochowy. A w Częstochowie miałem powrót - łapałem zakopiański pośpieszny i o szóstej rano byłem w Warszawie. W drodze trochę przekimałem w przedziale służbowym.

- A do ambulansu nie zachodziliście?

- Nie! - szybko odparł elektromonter.

- Dlaczego?

- Tam już wszystko naprawiłem w Warszawie.

- Przecież obiecaliście im, że wstąpicie w czasie drogi, żeby zobaczyć, czy wszystkie żarówki się palą i czy instalacja jest w porządku.

- Ja obiecałem? - w głosie Gałęckiego słychać było zdumienie.

- Mam takie zeznania. Kiedy wychodziliście z ambulansu, powiedzieliście, że jedziecie tym

pociągiem i jeszcze raz tam przyjdziecie.

- Nie pamiętam. Może tam mówiłem.

- Więc byliście w wagonie czy nie?

- Nie, nie byłem. Może powiedziałem, ale zapomniałem o obietnicy. Było dużo roboty. Jeden wagon w ogóle nie miał światła. Musiałem się spieszyć.

Major przez chwilę milczał i tylko wpatrywał się w elektryka. Ten nie wytrzymał spojrzenia i spuścił oczy.

- Bardzo mi - przykro - zauważył Szpotański - ale muszę was aresztować.

Wyjął z szuflady biurka druk opatrzony tytułem „Nakaz aresztowania” i wyciągnąwszy z kieszeni długopis zaczął powoli, bez pośpiechu, ale dokładnie wypełniać rubryki dokumentu.

Piotr Gałęcki siedział jak sparaliżowany i nie spuszczał oczu z arkusza o fatalnym nagłówku.

- Za co?... Panie... majorze... - wyjąkał.

- Za składanie fałszywych zeznań. Uprzedziłem was przecież przed przystąpieniem do przesłuchania, że zeznacie w charakterze świadka i jesteście obowiązani mówić prawdę, niczego nie ukrywając. Pouczyłem was też, że za złożenie fałszywych zeznań grozi surowa kara. Mówiłem?

- Mówił pan major.

- A wy mimo to chcieliście mnie okłamać.

- Ja zeznawałem prawdę. Mogę przysiąc, że cały czas naprawiałem światło w różnych wagonach.

- Przysięgniecie też, że nie wchodziliście do ambulansu? - Głos oficera milicji był zimny i ostry jak stal.

Gałęcki opuścił głowę.

- Milicja nie jest taka naiwna, jak się niektórym zdaje. Wiemy, kiedy człowiek mówi prawdę, a kiedy kłamie. Mamy dowody na to, że byliście w wagonie pocztowym.

- Dowody? Jakie?

- Koło drzwi wejściowych, wewnątrz wagonu pocztowego, zgubiliście papierosa. Właśnie „Silesię”. Mogę nawet pokazać, gdzie to było - to mówiąc major otworzył leżącą na biurku teczkę, wyjął z niej kopertę ze zdjęciami i wyszukawszy jedną z odbitek podał ją elektrykowi. Na zdjęciu widać było wyraźnie tę część wagonu, gdzie znajdują się boczne drzwi. Na podłodze leżał prawie cały papieros z filtrem, a więc taki jak „Silesia”. Major odszukał jeszcze jedno zdjęcie, ale w

zbliżeniu. Niedopałek sfotografowany z odległości kilku centymetrów. Tu nie ulegało wątpliwości, że to „Silesia”.

- No i co powiecie? Nadal będziecie twierdzić, że nie wchodziliście do ambulansu? Możemy nawet zrobić analizę waszej śliny i tej, której ślady zachowały się na filtrze „Silesii”.

Piotr Gałęcki milczał. Tylko na czole wystąpiły mu duże krople potu. Ten człowiek pocił się ze strachu. Wreszcie drżącą ręką otarł czoło i powiedział cichym, łamiącym się głosem:

- Powiem całą prawdę. Wszystko. Ale mnie pan nie aresztuje?

- Tego panu nie mogę obiecać. Muszę aresztować sprawcę kradzieży.

- Ja...Ja nie ukradłem. Przysięgam... Powiem prawdę jak na spowiedzi. Źle zrobiłem, że od razu nie narobiłem alarmu. Bałem się... Strasznie się bałem.

- Mówcie, jak to było.

- Sprawdziłem całą instalację w sypialnym i poprawiłem wszystko, co trzeba było zreperować. Elektrotechnik z wolna się uspokajał. - W ten sposób doszedłem do końca wagonu i zapaliłem papierosa. Właśnie tę „Silesię”, którą później panowie znaleźli. Przypomniałem sobie, że obiecałem pocztowcom wstąpić do ich wagonu. Podniosłem łańcuszek, na który zawsze są zamykane drzwi w wagonach sypialnych, i własnym kluczem otworzyłem drzwi do ambulansu. Pan pamięta, majorze, że tam jest najpierw mały korytarzyk. Po jednej stronie są drzwi do ubikacji, po drugiej jakieś inne pomieszczenie służbowe.

- To się zgadza.

- Znalazłem się w tym korytarzyku i zamknąłem drzwi za sobą. Kiedy się odwróciłem, zamarłem; ze strachu. Zobaczyłem, na ile mi pozwalała szerokość korytarzyka, że jeden z pocztowców leży na podłodze, a obok niego butelka. Drugi miał głowę opartą na stole, z podłożonymi pod twarz rękoma. Przy nim też butelka. Obaj robili wrażenie martwych. Taki byłem przerażony, że stałem jak słup soli. Wreszcie jakoś się przezwyciężyłem i uciekłem z wagonu. Wtedy właśnie musiałem upuścić tego papierosa.

- Nie wchodziliście dalej?

- Nie. Ani kroku. Cały czas stałem przy drzwiach.

- Jak długo znajdowaliście się w wagonie pocztowym?

- Nie wiem. Może dwie, może trzy sekundy. Dopóki nie odzyskałem sił, żeby móc uciec.

- Widzieliście dwu pocztowców - jednego na ziemi, drugiego przy stole. A gdzie był trzeci?

- Trzeciego nie widziałem. Pewnie też leżał na stole, ale ściana korytarzyka zasłaniała znaczną część wagonu. Widziałem tylko kawałek stołu, a na nim leżącego człowieka, właściwie tylko jego

głowę i jedną stronę ciała. Z tego pod stołem widziałem zaledwie korpus i ręce. Uciekłem z ambulansu, zamknąłem drzwi do sypialnego,ostałem tam na korytarzu jeszcze z minutę, udając że coś robię. Po prostu chciałem się uspokoić, bo z przerażenia drżały mi ręce i nogi. Myślałem, że głosu z gardła nie wydobędę.

- Dlaczego?

- Z miejsca zrozumiałem, że na ambulans dokonano napadu. Przecież niedawno cała prasa pisała o podobnym napadzie w Anglii. Nazywano go nawet „napadem stulecia”. Wiedziałem, że poczta wozi pieniądze i inne cenne rzeczy. Bałem się wchodzić dalej, bo przypuszczałem, że bandyci są jeszcze w środku wagonu pocztowego. Wtedy zabiliby mnie bez wahania. Nie pomyślałem, że ci ludzie mogą jeszcze żyć, że są tylko nieprzytomni. Zresztą nawet gdybym podniósł alarm, to i tak podejrzenie padłoby przede wszystkim na mnie. Przecież pan major od samego początku mnie podejrzewał o tę kradzież. Gdybym wtedy narobił alarmu, mnie pierwszego by aresztowano.

- Znowu pan się pomylił. Nie podejrzewałem pana o kradzież i również teraz pana o to nie podejrzewam.

Twarz podporucznika Adamczewskiego, który protokołował zeznania elektryka, wyrażała ogromne zdziwienie, ale nie odezwał się ani słowem. Tymczasem major mówił dalej:

- Gdybyście natychmiast zrobili alarm, prawdopodobnie nie doszłoby w ogóle do kradzieży. W takich wypadkach nie wolno być neutralnym i przyglądać się z boku. A tak wskutek milczenia skomplikowaliście swoje położenie i niewiele brakowało, żeby was zamknięto zamiast prawdziwego złodzieja. I tak macie szczęście, że pocztowcom nic się nie stało. W przeciwnym razie odpowiedzialibyście za nieudzielenie pomocy ludziom znajdującym się w niebezpieczeństwie życia. Za to też można siedzieć. Powiem szczerze: postąpił pan nie jak dorosły, rozsądny człowiek, lecz jak dureń. Małe dziecko miałoby więcej rozumu.

- Kiedy, panie majorze, bałem się, że przede wszystkim na mnie padnie podejrzenie. Głupi byłem. Gdybym pomyślał, pewnie postąpiłbym inaczej. Ale tak się przestraszyłem tego leżącego na ziemi. Wyglądał jak nieżywy. Ten drugi zresztą też. Pamiętałem o jednym - uciekać, jak najdalej uciekać z tego miejsca.

- Coście robili dalej?

- Jak już powiedziałem, jakiś czas stałem na korytarzu. Uspokoilem się nieco, zapaliłem papierosa, bo nawet, nie zauważyłem, że zgubiłem poprzedniego. Następnie poszedłem do przedziału służbowego konwojenta. Na korytarzu nie było nikogo, tylko Jakubowski siedział na ławce w swojej służbowce i drzemał. Zamieniliśmy kilka słów. Pamiętam, że chciał mnie poczęstować kawą, ale odmówiłem. Pragnąłem jednego - być jak najdalej od tego miejsca. Powiedziałem konwojentowi, że wszystko naprawione i żeby mnie wypuścił. Wyszliśmy na korytarz. Kiedy wychodziłem z sypialnego, widziałem, że Jakubowski zamyka za mną drzwi. Zatrzymałem się dopiero w ostatnim wagonie, na samym końcu pociągu. Tam jeszcze odpocząłem po tym strasznym przeżyciu i zabrałem się do reperacji tego wozu bez światła. Pracowałem w nim aż do samej Częstochowy. W Koluszkach bałem się wyjść na peron. Od razu się domyśliłem, że zbrodnia została odkryta. W przeciwnym

wypadku pociąg nie stałby tam przeszło pół godziny.

- Przypomnijcie sobie, znaliście tego człowieka, który leżał na podłodze?

- Pocztowców za dobrze nie znam. Tak z widzenia wiem, który pracuje w urzędzie dworcowym. Ale nazwisk nie znam. Ja przecież jestem tylko chwilowo oddelegowany do pracy na Dworcu Głównym. Zresztą już mówiłem, że nie widziałem twarzy tego, który leżał pod stołem.

- Czy człowiek leżący na podłodze miał na sobie mundur, czy też był tylko w koszuli?

Elektrotechnik usiłował sobie przypomnieć.

- Chyba... na pewno nie miał munduru. Widzę dokładnie, leży w białej koszuli. Z krótkimi rękawami. Ręce mocno owłosione.

- A ten drugi jak wyglądał? Poznacie go na zdjęciu? - major znowu podsunął przesłuchiwanemu kilka fotek.

- Nie, panie majorze. Leżał twarzą na stole, a ręce trzymał koło głowy. Nie widziałem ani twarzy, ani nawet włosów - Gałęcki nie spojrzał na podane mu fotografie.

- Słyszeliście, że wtedy chodził ktoś po wagonie?

- Nic nie słyszałem. Chociaż nie nasłuchiwałem, ale miałem wtedy tak napięte nerwy, że usłyszałbym na pewno najmniejszy nawet szmer. W ambulansie panowała głucha cisza. Gdyby tam coś było słychać, może bym się tak nie przeraził. A tak, martwa cisza i tylko tych dwóch ludzi leżących bez najmniejszego ruchu. Stałem więc jak sparaliżowany, a później myślałem tylko o ucieczce. - Gałęcki umilkł i znowu wycierał chustką spoczone czoło. Był blady i ręce mu drżały.

- Oj Gałęcki, Gałęcki, co ja mam teraz z wami zrobić?

- Panie majorze, przysięgam, powiedziałem najszczerzą prawdę. Żebym natychmiast miał trupem paść, jeślim zełgał choć jedno słówko.

- No trudno. Bierzcie przepustkę i idźcie do domu. A kiedy po raz drugi zobaczycie, że ktoś popełnia przestępstwo, to nie uciekajcie, tylko wzywajcie pomocy. Miejcie więcej zaufania do milicji.

- Pan major mnie nie... - ogromna radość odbiła się na twarzy kolejarza. Zerwał się z krzesła, chwycił czapkę, niezgrabnie się uklonił i jak pijany, zataczając się, wyszedł za drzwi. Nawet ich nie zamknął dobrze.

- Popatrzcie za nim - zauważył major - bo gotowy jeszcze zlecieć ze schodów.

- Ja bym go zamknął - zauważył podporucznik.

- Dlaczego? - W głosie majora wyczuwało się rozbawienie.

- Jak to? Sam się przyznał, że był w ambulansie. Miał okazję zamienić flaszki z piwem, a później wszedł do wagonu i ukradł paczki.

- Nie. On nie ukradł paczek - spokojnie odpowiedział major - wiele ma na swoją obronę.

- Nie rozumiem?

- Przede wszystkim skąd mógł wiedzieć, że Szczęśliwiec wyślą skład pociągu w tak skandalicznym stanie technicznym i że właśnie światło w wagonie pocztowym będzie uszkodzone. To pierwszy, choć nie najważniejszy argument w jego obronie. Są i inne.

- Ciekawy jestem jakie?

- Choćby ten zgubiony papieros. Gdyby wchodząc do ambulansu Gałęcki z góry wiedział, co tam zastanie, nie zgubiłby dopiero co zapalonego papierosa. Gdyby to leżał tylko niedopałek, sądziłbym, że po prostu elektryk nie zwrócił nań uwagi i nie pomyślał, że ta „Silesia” może go zdradzić. Ot, zwyczajnie wypalił papierosa i rzucił peta na podłogę. Ale prawie cały papieros został zgubiony dlatego, że jego właściciela coś zaskoczyło lub przestraszyło. Ale i to nie jest jeszcze najważniejsze.

- Major bawi się ze mną jak kot z myszą.

- Najważniejsze są zeznania konwojenta Jakubowskiego. On przecież wyraźnie stwierdził, że elektryk opuścił wagon grubo przed Skierniewicami. A więc dużo wcześniej, niż z ambulansu wyrzucono plany.

- Konwojent mógł być w zмовie z Gałęckim. Albo on sam obrabował ambulans.

- Rozpatrzmy po kolei obie hipotezy. Pierwsza - konwojent i elektryk działają wspólnie. Wtedy Gałęcki nie zeznawałby, że widział konwojenta przynoszącego piwo do wagonu pocztowego. Nie mówiłby również, że gdy Jakubowski stawiał piwo na stole, nikogo w pobliżu nie było. Albo mówiłby, że w ogóle nie zauważył w ambulansie konwojenta, albo też zapewniłby mu alibi przyznając, że stał wtedy obok niego, gdy ten przyniósł piwo. Również Jakubowski kryłby elektryka. Cóż bardziej prostego niż zeznać, że po całym wagonie sypialnym chodzili stale we dwóch i że Gałęcki na pewno nie wchodził do ambulansu. Zeznania obydwu wskazują wyraźnie, że nie działali w zмовie. Rozpatrzmy teraz drugą hipotezę - konwojent obrabował wagon pocztowy. Wiedząc w takim razie, że tam leżą nieprzytomni pocztowcy, pod żadnym pozorem nie pozwoliliby elektrykowi wejść do środka. Powiedzmy jednak, że rzeczywiście Jakubowski był w tym momencie zajęty i nie upilnował Gałęckiego, któremu udało się zajrzeć do sąsiedniego wozu. Cóż wtedy zrobiłby Jakubowski? Albo właśnie sypnąłby elektryka zeznając, że ten wszedł do ambulansu i wyszedł z niego za Skierniewicami, co od razu zrobiłoby z Gałęckiego podejrzanego Nr 1. Albo też, korzystając z nocy i pustego o tej porze korytarza, Jakubowski sprzątnąłby niewygodnego świadka. To w gruncie rzeczy mało skomplikowane. Przy wypuszczaniu go z wagonu mocno stuknąłby faceta w głowę czymś ciężkim. Włożyłby mu do kieszeni coś kompromitującego - jedną z paczek wartościowych i - wyrzuciłby trupa na sąsiedni tor. Wszyscy byliby przekonani, że elektrotechnik okradł ambulans i usiłował wyskoczyć w czasie biegu pociągu. Nie zdarzyło się ani jedno, ani

drugie. Stąd prosty wniosek: Jakubowski nie jest sprawcą włamania i zeznawał prawdę. A zatem Gałęcki również nie jest złodziejem.

- Możliwe, że pan major ma rację. Wydaje mi się, że sprawcą kradzieży może być tylko jedna osoba spośród przesłuchiwanym przez nas. A przesłuchiwaliśmy wszystkich, którzy bądź jechali ambulansem, bądź wchodzili do ambulansu lub mieli możliwość niepostrzeżenie wejść do tego wozu w czasie jazdy. Pozornie wszyscy są niewinni, a jednak kradzież półtora miliona jest faktem.

- To racja. W każdym razie Gałęcki może o sobie mówić, że miał szczęście.

- Dlaczego?

- Przypuszczam, że gdyby w ambulansie zrobił choć jeden krok dalej, już by tam został na wieczność. A my mielibyśmy piękną sprawę o morderstwo. Człowiek, który tak doskonale zaplanował całą akcję i w końcu się na nią zdecydował, nie zawahałby się przed ostatecznością - usunięciem niewygodnego świadka. Sądzę, że gdy Gałęcki stał w korytarzu, ten drugi czekał tuż za ścianą, z bronią przygotowaną do ciosu.

- Pan się domyśla, kto to był?

- Nie domyślam się, lecz wiem.

- I pan go nie aresztuje?

- Od „wiedzieć” do „dowieść” czasami jeszcze bardzo daleka droga. Jestem absolutnie pewien, że kradzieży mógł dokonać tylko jeden człowiek, ale nie mam nawet wszystkich poszlak. W moim rozumowaniu ciągle brakuje kilku ogniw. Zdarza się nieraz, że matematyk potrafi napisać końcowy rezultat zadania, bo domyśla się rozwiązania, lecz nie przeprowadzi jego dowodu. Przeżywam podobne uczucia. Wiem, kim jest czy kim może być sprawca kradzieży, ale nie potrafię tego dowieść. W moim logicznym rozumowaniu są pewne luki, na razie jeszcze nie potrafię ich wyjaśnić. Ale wyjaśnię, zobaczycie” poruczniku.

- Pan major jest optymistą. Sam pułkownik to wczoraj zauważył.

- Całe życie byłem i będę optymistą. Zawsze wierzyłem i wierzę w tryumf sprawiedliwości.

- O tym, że wykryjemy właściwego sprawcę kradzieży, nigdy nie wątpiłem - dodał porucznik - chociaż, w przeciwieństwie do pana majora, po zwolnieniu elektrotechnika nawet się nie domyślam, kto to może być.

- Jutro przesłuchamy ponownie dwóch kolejarzy z bagażowego. Pierwszego wezwałem na godzinę dziesiątą. Drugi ma tu przyjść o dwunastej.

- A więc to jeden z nich? - zapytał podporucznik z pewnym rozczarowaniem w głosie. - Który?

Ale major nic nie odpowiedział.

XII. Dwóch przesłuchiwanym - dwie taktyki

- Siadajcie - major wskazał kolejarzowi krzesło naprzeciwko biurka.

Edmund Cupryś usiadł i wpatrywał się w obu oficerów milicji. Szpotański nie spiesząc się wyjął z biurka akta sprawy, wyszukał pierwotne zeznania bagażowego i zagłębił się w ich lekturze. Podporucznik Adamczewski wypełniał tymczasem wstępne rubryki formularza przesłuchania świadka.

- No tak - powiedział major odsuwając papiery - co nam powiecie ciekawego?

- Ja nic nie wiem, panie majorze.

- Nic nie wiecie? A może chociaż domyślacie się, kto to zrobił? Zapewne zastanawialiście się nad tą sprawą.

- Jii... tam, co się miałem zastanawiać. Mam swoją pracę.

- Ale przecież człowiek nie tylko pracuje. Po pracy, a nawet w czasie pracy myśli i rozmawia. Nie macie chyba takiego zajęcia, żeby nie zdarzyła się chwilka wolnego czasu i żeby nie można było ust otworzyć.

- Co to, to nie.

- Bo jak to się dzieje, że z sąsiedniego wagonu kradną półtora miliona złotych, a wy na ten temat ani słowa? Ani między sobą, ani do innych. Do kolegów, przyjaciół lub znajomych.

- Mówić to się tam różne rzeczy mówiło. Ale kto zabrał pieniądze - nie wiem.

- My nie twierdzimy, że wy wiecie, ale skoro rozmawialiście w tej sprawie, to musieliście się zastanawiać, kto mógł być tym złodziejem.

- Mówiło się różnie. Ktoś wszedł do ambulansu i wziął pieniądze. Albo to dużo czasu potrzeba, żeby taką rzecz załatwić? Otworzyć drzwi, wejść do wagonu, potem dostać się do pomieszczenia, gdzie są schowane pieniądze i cenne przesyłki, włożyć dwie paczki do kieszeni i szybko z powrotem. Na to wszystko wystarczy trzy minuty.

- Akurat tak długo był Leszczyk w ambulansie - wtrącił niespodziewanie major.

- Co pan, panie majorze?! Leszczyk nie wchodził do ambulansu.

- Wchodził, wchodził. Powiem wam nawet, kiedy to było. Właśnie ekspres zwolnił, bo mijają Skierniewice. Duża stacja, sporo rozjazdów i maszyniści jadą tam trochę wolniej, zwłaszcza w nocy. Właśnie kiedy pociąg zwolnił szybkość, Leszczyk poszedł do sąsiedniego wagonu. Między waszymi wagonami nie ma harmonijki. Trudno jest przechodzić z jednego do drugiego wozu, gdy ekspres pędzi z szybkością ponad sto kilometrów na godzinę. Ale Leszczyk miał pecha. Widziano na stacji, że wtedy ktoś przechodził z wagonu do wagonu.

Kolejarz spoglądał na majora jak na wariata.

- Leszczyk nigdzie nie ruszał się z bagażowego. Wiem na pewno. Cały czas pracowaliśmy razem. Nawet do ubikacji nie poszedł. Tego wieczoru bagaże przywieźli w innej kolejności niż zwykle. Najpierw przysły walizki i różne paczki, a kiedy je załadowali do brankardu, przywieziono trzy wózki owoców do Wiednia. Stały z samego brzegu. Kiedy pociąg ruszył, przenosiliśmy skrzynki na koniec wagonu, żeby nie przeszkadzały przy przyjmowaniu i wydawaniu bagaży na pośrednich stacjach. Do Kuluszek nie skończyliśmy tej roboty, tyle że przygotowaliśmy paczki do wyładowania na tej stacji. Jeszcze do Częstochowy mieliśmy pełne ręce roboty. Oni tak zawsze w ekspedycji. Nie zastanowią się, tylko przywożą, jak leci. Pół wagonu zapchano nam owocami. Kiedy Czesi zobaczyli ten ładunek w Zebrzydowicach, wcale nie chcieli brać go do swojego brankardu. Musieliśmy się z nimi wyklócać.

- A jednak dwóch kolejarzy na stacji Skierniewice wyraźnie widziało człowieka, który przechodził z wagonu do wagonu.

- Musiało im się, panie majorze, w oczach dwoić. Albo pomylili wagony. Może zauważyli kogoś, kto przechodził z sypialnego do ambulansu? Tam też nie ma harmonijki. A sypialny siedł tuż za pocztowym.

- Myślicie, że to konwojent ukradł pieniądze?

- Ja tego nie powiedziałem, panie majorze. Powtarzam tylko, że z naszego wagonu nikt w czasie jazdy pociągu nie wchodził do ambulansu.

- Pieniądze same nie zniknęły. Ktoś je musiał wziąć. A w krasnoludki przestaliśmy wierzyć. Jeżeli nie jeden z was, to człowiek, który przyszedł z sypialnego.

- Mógł nie być z sypialnego, tylko przejść przez ten wagon. Tam dalej cały skład był połączony za pomocą harmonijek i przechodzenie z jednego wozu do drugiego było bardzo łatwe.

- O tym też myśleliśmy, ale przez wagony sypialne w nocy nie tak łatwo jest przechodzić. Klamki wagonu zamykane są na łańcuszek. Kto chce wejść do wozu, musi wywołać konwojenta, żeby mu otworzył.

- Mógł się ktoś z wagonu sypialnego zakraść do sąsiedniego ambulansu. Kupił sobie bilet i czekał na sposobność.

- Przecież to wagon idący za granicę. Do niego nie sprzedają miejsc w relacji krajowej.

- W „Orbisie” nie sprzedają. Ale jeżeli są wolne miejsca, konwojent może przed odjazdem pociągu zabrać pasażera do granicy. Kosztuje tak samo jak w wagonach krajowych.

- Znacie konwojenta?

- Nie znam. On nie jeździł na trasach ze Wschodniego. Leszczyk go zna lepiej. Tylko dzięki temu dostaliśmy wtedy te dwie butelki piwa na drogę.

- Nie bardzo rozumiem, co znaczy pańska informacja, że konwojent nie jeździł z Dworca Wschodniego.

- Pociągi z wagonami sypialnymi odchodzą z trzech dworców warszawskich. Najwięcej z Dworca Głównego. Z Gdańskiego wszystkie do Berlina i do ZSRR. Ze Wschodniego w kierunkach nad morze, do Rzeszowa i na Mazury. Ekipy konwojentów jeżdżą zwykle na tych samych liniach. Tak samo jak i nasze, kolejowe z brankardami. Jeżeli się zdarzają jakieś zmiany, to tylko w obrębie jednego dworca.

- Ale co ma z tym wszystkim wspólnego właśnie Dworzec Wschodni?

- Od piętnastu lat pracuję na Dworcu Wschodnim. Dopiero przed dwoma tygodniami przeniesiono mnie na Główny. Dlatego znam wszystkich konwojentów ze Wschodniego, a nie znam żadnego z tych, którzy rozpoczynają trasę z Głównego. Po prostu nie stykałem się z nimi.

- Dlaczego przenieśli was na Główny?

- Paru ludzi odeszło na emeryturę, a wiadomo, na Dworcu Głównym największy ruch. Nowych skierowano więc na spokojniejszy Wschodni, a bardziej doświadczonych kolejarzy przesunęli na Główny. Mnie tam nawet lepiej, bo mieszkam w Śródmieściu, w dużym domu kolejowym na rogu Chmielnej i Żelaznej. Do pracy mam bliżej i nie muszę jeździć tramwajem albo Średnicową.

- Na Głównym więcej roboty?

- Taka sama. W brankardzie na całym świecie ta sama praca. Czasem jest więcej bagaży, czasem mniej. Teraz w lecie na liniach zagranicznych dużo zajęcia z owocami. Przesyłają je zwykle dodatkowymi wagonami, doczepianymi do ekspresów, żeby towar jak najszybciej dostarczyć do miejsca przeznaczenia i żeby się w drodze nie zepsuł. Ale jeżeli jest mniejszy ładunek i nie zapełni całego wagonu, wtedy idzie jako przesyłka ekspresowa. Z owocami najczęściej kramu. Trzeba uważać, żeby się nie gniotły. Niekiedy, zwłaszcza truskawki, puszczają sok i cały wagon po nich trzeba szorować. A pachnie, że aż głowa boli.

Major nie przerywał bagażowemu. Pozwalał mu się wygadać, licząc, że w ten sposób dowie się czegoś więcej.

- To i Leszczyka przenieśli razem z wami ze Wschodniego?

- Nie. On zawsze był na Głównym.

- A wy dawno pracujecie na kolei?

- Zacząłem jeszcze za hitlerowców. W 1942 roku. Jak były te wielkie łapanki. Miałem wtedy 17 lat. Ojciec bał się, że mnie złapią i zabiorą albo do Niemiec na roboty, albo do obozu koncentracyjnego. A że był kolejarzem, więc załatwił moje przyjęcie. Najpierw pracowałem na torze przy podbijaniu podkładów. A w 1946 roku przeszedłem do służby ruchu. Byłem kolejno spinaczem, zwrotniczym, pracowałem w ekspedycji bagażowej. Od pięciu lat jeżdżę na brankardzie. Przyzwyczałem się.

- Dawno znacie Leszczyka?

- Nie. Poznałem go dopiero na Głównym. Spasowali nas razem i jeździmy jednym wagonem. Kiedy był ten wypadek z kradzieżą, jechaliśmy ze sobą dopiero trzeci raz. Ale dobrze się z nim pracuje. Chłop przyzwoity, zna się na robocie. A że po pracy lubi sobie czasem ćwiarteczkę rozgnieść - jego sprawa. Ale nie zdarzyło się, żeby do roboty przyszedł kiedy poci muchą.

- Wracając do kradzieży w ambulansie, rozmawialiście przecież o tym z Leszczykiem. Jak myślicie obaj, kto to mógł zrobić?

- Tego ani ja, ani Leszczyk nie wiemy. Cieszyliśmy się, że to nie na nas trafiło.

- Złodziej wiedział, gdzie czego szukać. Cóż on mógłby ukraść z wagonu bagażowego. Walizkę czy skrzynkę z truskawkami? Albo paczkę nadaną przesyłką ekspresową?

- To się pan myli, panie majorze. Kiedy taki brankard idzie do granicy, jest w czym wybierać. Są walizy z najrozmaitszym dobrem.

- Złodziej nie szukał cennych rzeczy. On polował na gotówkę. Zabierać walizy i kufry z bagażowego - nie takie to proste. Musiałby chyba ciężarówką podjechać. A tak wsadził pieniądze do kieszeni i poszedł.

- Przecież u nas często więcej pieniędzy niż w ambulansie pocztowym.

- Doprawdy?

- A tak. Zdarza się, że jakieś przedsiębiorstwo, chcąc przesłać pieniądze na prowincję, po prostu pakuje je w solidny kuferek i wysyła jako przesyłkę bagażową. Kolejarze dobrze o tym wiedzą.

- Piliście wtedy piwo?

- Naturalnie. Upał był ogromny. Noc gorąca i duszna. Kiedy tylko pociąg ruszył z Warszawy, od razu wypiliśmy piwo. Ciepłe było. Potem zabraliśmy się do roboty, przerzucaliśmy te owoce w koniec wagonu.

- Czy Mazurek rozmawiał z wami o pieniądzach, które mieliście w swoim wagonie?

- Nie. Mazurek przyszedł tylko po papierosy. Nie był dłużej niż minutę. Mówiło się tylko o paleniu.

- A czy Mazurek wiedział, że wieziecie pieniądze.

- Kto go tam wie? Może i wiedział, ale nic nie mówił na ten temat. Ale pewnie nie wiedział, bo on nie pracuje przy ambulansach. Inni pocztowcy, którzy jeżdżą wagonami, orientują się doskonale w naszej pracy, tak jak i my wiemy, co oni robią u siebie.

- Dawno znacie Mazurka?

- Wcale go nie znam. Nie znałem żadnego z tych pocztowców. To Leszczyk mi powiedział, że Mazurek jedzie na urlop i nie jest z obsługi wagonu pocztowego. Toteż Mazurek ze mną wcale nie gadał, tylko z Leszczykiem. Co prawda ja dałem mu wtedy te fajki, bo kolega miał tylko parę papierosów. Moja paczka „Sportów” była prawie pełna. Do tej pory mi nie oddał, a obiecywał, że w Częstochowie odniesie. No, czort z nim.

Gdy po podpisaniu protokołu i podstemplowaniu przepustki Edmund Cupryś opuścił gmach KG MO, podporucznik zapytał:

- Co pan sądzi o tych zeznaniach?

- Mogą być prawdziwe, mogą być fałszywe. Jeżeli działali w porozumieniu, to jeden drugiemu będzie wystawiał alibi i obaj będą zgodnie twierdzić, że żaden z nich nawet na chwilę nie opuszczał swojego wagonu. Sądzę jednak, że Cupryś mówił prawdę.

- Czy dlatego, że mieli wówczas pieniądze w wagonie?

- Jest to w pewnym sensie argumentem przemawiającym na ich korzyść. Ale tylko w pewnym sensie. Gdyby chcieli okraść swój wagon, musieliby mieć współnika, który zabrałby pieniądze. Poza tym gdyby to ich znaleźiono w Koluszkach, uszpionych zatrutym piwem, sprawa byłaby bardzo prosta. Tam nikt poza konwojentem nie wchodził.

- A Mazurek?

- Mazurek nie miał okazji zamienić butelek piwa. Jego pobyt w wagonie bagażowym był bardzo krótki. Wszyscy trzej stwierdzają to kategorycznie. Poprosił o papierosy, otrzymał je i natychmiast wyszedł. Gdyby więc uszpiiono kolejarzy, wina konwojenta nie ulegałaby żadnej wątpliwości. Tylko on mógł im dostarczyć zatrutego piwa. Co innego w przypadku pocztowców. Ich ambulans był jak gdyby gościnnym salonem, do którego każdy wchodził na rozmowę. W tej sytuacji złodziej zdecydował się na swój „skok”. Był kryty faktem, że podejrzanych będzie większe grono. A im więcej podejrzanych, tym trudniej znaleźć i zdemaskować prawdziwego przestępcę. Mamy tego najlepszy przykład w naszych aktach - to mówiąc major uderzył ręką po coraz grubszej tece z papierami.

- A pańska hipoteza, majorze?

- Moja hipoteza ciągle się potwierdza, zwłaszcza po tym ostatnim przesłuchaniu. Ale nadal pozostaje jedynie hipotezą. Ma pewne luki. Jestem jak człowiek, który - znajdując się w nocy w ciemnym lesie - widzi z daleka migocące światełko. Nie wie jednak, którędy do niego trafić. Błądzi i obija się wśród konarów, wpada w różne wykroty i przedziera się przez kłujące krzaki, chociaż o parę metrów dalej znajduje się wygodna ścieżka. Szukam tej ścieżki, chociaż już widzę z oddali moje światełko.

- O dwunastej przyjdzie drugi kolejarz. Tadeusz Leszczyk.

- Mamy jeszcze prawie godzinę. Udało mi się zebrać świadectwa pracy zarówno kolejarzy, jak i pocztowców oraz konwojenta. Bardzo dobre oceny wystawił personalny obu bagażowym. Są starymi fachowcami, którzy pracowali na różnych stanowiskach w służbie ruchu. Ich uczciwość nie podlega żadnej dyskusji. Oczywiście zdaniem władz kolejowych, a nie zdaniem milicji, która na te sprawy wyraża bardziej ostrożny pogląd. Obaj jeżdżą w wagonach bagażowych już od wielu lat. Leszczyk przeszło dziesięć. Nigdy nie mieli żadnej kradzieży czy zaginięcia ładunku. Świadectwa potwierdzają fakt przeniesienia w ostatnich czasach Cuprysia z Dworca Wschodniego na Główny. Kolejarz tylko przezornie przemilczał fakt, że stało się to na jego własną prośbę.

- Obawiał się, że będzie go pan posądzal o kradzież.

- Ten Cupryś robi na mnie wrażenie człowieka bystrego. Na początku udawał, że do trzech nie umie zliczyć. Później, kiedy się rozgadał, poznałem, że to stary wyjadacz. Ludzie przesłuchiwani przez milicję często usiłują robić wrażenie głupszych i mniej inteligentnych, niż są w istocie.

Pocztowcy mają znacznie gorsze opinie z miejsc pracy. Jedyne Bagiński ma świadectwo bez żadnych obciążeń, ale równie skąpe w pochwały. Jest to długoletni pracownik poczty, zatrudniony na stanowisku kierownika ambulansu. Z obowiązków swoich wywiązuje się dobrze. Dyscyplinarek i dochodzeń służbowych nie miał. O uczciwości personalny pisze jeszcze krócej. Załatwia to po prostu jednym słowem „uczciwy”.

- A dwaj pozostali?

- Olszak ma dwie opinie. Z Katowic i z Warszawy. Ta pierwsza jest gorsza od drugiej. Wprawdzie stwierdza się w niej, że to dobry, pracowity funkcjonariusz, ale potem jest taki passus: „mało koleżeński, bardzo porywczy, miał na tym tle zatargi z kolegami i ze zwierzchnikami. Nie lubiany przez otoczenie”. W świetle tego świadectwa przeniesienie do Warszawy wygląda na karę dyscyplinarną lub na chęć pozbycia się Olszaka z katowickiego urzędu dworcowego.

- Jeżeli zdołał zarobić taką opinię już w pierwszym półroczu swojej pracy na poczcie, widocznie facet naprawdę jest ciężki we współżyciu.

- Nigdy nie wiadomo. Trzeba by znać stosunki panujące w tym katowickim urzędzie pocztowym, w którym Olszak pracował. Mogła tam też być niezła kliczka kumotrów wykańczających każdego nowego.

- A co pisze Warszawa?

- Warszawa stwierdza, że Olszak jest dobrym pracownikiem. Nie stawia mu takich zarzutów jak Katowice, ale podkreśla brak fachowości, co zresztą tłumaczy lojalnie krótkim okresem pracy na poczcie i brakiem wykształcenia zawodowego. Zarzuty to dwukrotne nie usprawiedliwione opuszczenie pracy. Olszak tłumaczy te bumelki wyjazdem do domu, do Katowic i nieumyślnym spóźnieniem się do Warszawy. Ostatnia nieobecność zdarzyła się na dwa dni przed znanymi nam wypadkami. Usprawiedliwień Olszaka nie uznano za wystarczające. Sądząc jednak z tego, że przewidziano skierowanie go na półroczny kurs szkoleniowy, Warszawa jest w sumie zadowolona z nowego pracownika.

Za to ta sama Warszawa niezbyt entuzjastycznie wyraża się o Mazurku, chociaż to ich długoletni pracownik. Piszą, że ma lekceważący stosunek do pracy, a zwłaszcza do kierownictwa, i różne zatargi służbowe. Często zmienia miejsce pracy, wędrując z jednego urzędu do drugiego. Z całej treści świadectwa wynika, że gdyby nie to, Mazurek dawno by awansował i zajmował wyższe stanowisko niż zwykły roznosiciel paczek. Przyznam się, że i ja, po dwóch rozmowach z tym człowiekiem, odniosłem to sarno wrażenie. Od razu wyczuwa się, że mu zbyt nie zależy ani na awansie, ani nawet na pracy na poczcie. On w ogóle niczym się nie przejmuje. Po kradzieży w ambulansie jeszcze się śmiał i mówił, że ktoś się dobrze obłowił. Groziłem mu konsekwencjami, a on tylko ręką machnął i powiedział, że Związek Zawodowy nie da mu krzywdy zrobić. Gdyby jednak usunęli go z pracy, to, jak twierdzi, zawsze znajdzie zupełnie niezłe płatne zajęcie.

- Nie dziwię się, że Mazurek nie chce awansować, tylko woli roznosić paczki. Zajęcie „wesole”. Czas szybko schodzi. Chociaż więc nadzwiga się tych paczek na różne schody, to każdy, kto otrzyma przesyłkę, pamięta o listonoszu. Parę groszy zawsze do ręki wciśnie. Awansując na lepsze stanowisko straci dodatkowe zarobki. A elektrotechnik i konwojent? Jakie są ich świadectwa pracy?

- Elektrotechnik ma bardzo dobre. Podkreśla się wyjątkową pracowitość tego człowieka, inicjatywę i pomysłowość. Liczne premie i nagrody, w tym dwie racjonalizatorskie. Wykształcenie fachowe: zasadnicza szkoła zawodowa i pięcioletnie technikum wieczorowe, ukończone już w czasie pracy na PKP. Słowem, dobry i pracowity fachowiec. Na Dworcu Głównym zatrudniony tylko na okres letnich urlopów. Żonaty, troje dzieci, trudne warunki mieszkaniowe. Od paru lat czeka na przydział mieszkania w blokach kolejowych.

- Za półtora miliona można mieć bardzo ładne mieszkanie - zauważył podporucznik.

- Widzę, że pan ciągle podejrzewa tego człowieka?

- Tak jest, panie majorze. Fańskie argumenty, chociaż bardzo logiczne, nie przekonały mnie całkowicie. Coś nie jest z nim w porządku. Dla zdobycia mieszkania ludzie popełniają nieraz zbrodnie. Mamy tego niestety bardzo liczne przykłady nawet w naszej pracy.

- Motyw rzeczywiście jest. Ale przy tej kwocie motyw znajdziemy prawie u każdego. Tacy jak konwojent z sypialnego, któremu nie opłaca się ryzykować, rzadko się trafiają. Gdybyśmy poszukali motywu u tych wszystkich, których podejrzewaliśmy, znaleźlibyśmy znacznie więcej „ludzi z motywami”. Jeżeli chodzi o konwojenta, on również ma dobrą opinię. Jeździ od lat na liniach zagranicznych. Uzupełnia swoje kwalifikacje. Zdał egzamin z trzech obcych języków.

Żadnych reklamacji czy zarzutów przeciw niemu nie wnoszono. Jedna jedyna sprawa to spowodowana przez nas rewizja. Personalny skrupulatnie zanotował, że „podejrzewano go o udział w przemyśle złota, ale niczego, jak dotychczas, Jakubowskiemu nie udowodniono”.

Podporucznik roześmiał się słuchając tego cytatu.

- To nie takie śmieszne - odpowiedział major - nie wzięliśmy pod uwagę, że przez nas chłop „zarobił” haka w ankiecie. Trzeba będzie to wyprostować. W najbliższych dniach pojedziecie do

„Warsa”, rozmówicie się z personalnym, wyjaśnicie całą sprawę „przemytu złota” i dopilnujecie, żeby ta notatka została wykreślona z akt służbowych konwojenta. Przy tak korzystnej posadzie najmniejszy haczyk może człowiekowi bardzo zaszkodzić. No, ale gdzie ten Leszczyk? Przecież już dziesięć po dwunastej.

Jak na zamówienie majora zadzwonił telefon. Biuro przepustek meldowało, że „zgłosił się obywatel Tadeusz Leszczyk”.

Drugi z kolejarzy obrał zupełnie inną taktykę obrony. Na samym wstępie oświadczył majorowi, że orientuje się, iż jest jednym z głównych podejrzanych. Przecież wchodził do ambulansu, a później też mógł się tam niepostrzeżenie dostać. Ale mimo to jest niewinny i nie boi się, bo milicja niczego nie zdoła mu udowodnić.

- Tacy jesteście pewni? - majora trochę bawiła bojowa postawa bagażowego.

- Zupełnie pewien, panie majorze. Jestem niewinny i nikt mi niczego nie dowiedzie.

- A jednak Cupryś zeznał, że kiedy pociąg przejeżdżał przez Skierniewice, wychodziliście do ambulansu i wasza nieobecność w wagonie bagażowym trwała około pięciu minut.

- Stary kawał, panie majorze. Cupryś tego nie powiedział, a mnie się tak łatwo na plewy nie złapie. Za stary wróbel ze mnie.

- Dlaczego Cupryś tego nie mógł powiedzieć?

- Bo to byłoby kłamstwo. Cały czas pracowałem przy przenoszeniu owoców. Razem z Cuprysiem. Jaki miałby powód, żeby mnie wrabiać w tę kradzież?

- Może Cupryś chciał swoją winę przerzucić na pana? Może to właśnie on wychodził z wagonu? Przypomina pan sobie taki moment?

- Nie. Ani ja, ani Cupryś nie wychodziliśmy nawet na sekundę z brankardu. Powtarzam raz jeszcze - jestem niewinny.

- Niestety wszyscy mówią, że są niewinni. Nikt się nie przyznaje, a pieniądze zginęły. I ukradł je jeden z tych niewinnych.

- To nie był kolejarz.

- Dlaczego?

- Kolejarze dobrze wiedzą, że czasem różne firmy przesyłają pieniądze wagonem bagażowym jako przesyłki ekspresowe. Zrobiliby wtedy skok na nasz wagon.

- U was trudniej było zorganizować taki skok. Do was nikt nie wchodził na stacji i nikt nie mógł zamienić piwa.

- Nie prowadzi się dochodzenia o kradzież z wagonu bagażowego, dlatego też major nie wie, ilu wchodziło do brankardu. Na pewno więcej niż do ambulansu. Każdy kolejarz, który przechodził peronem, to albo zagadał, albo do nas wstąpił. Znam wszystkich i ze wszystkimi żyję dobrze. Nasze piwo też stało na stoliku i warty przy nim nikt nie trzymał. Dlatego powiadam, to nie kolejarze okradli ambulans. Tylko my mogliśmy taką rzecz zrobić, a ponieważ nie my, więc żaden z kolejarzy.

- Kto w takim razie, zdaniem pana, mógłby to zrobić?

- Nie wiem. Przypuszczam, że ktoś dał im na sen, a następnie pojechał pociągiem do Koluszek i w drodze obrobił ambulans.

- A w jaki sposób dostał się tam później?

- Może kiedy pociąg ruszył, ten facet mógł siedzieć na stopniach wagonu sypialnego. Noc była ciepła, można było w ten sposób jechać nawet do samych Katowic. Ze stopni dostać się po buforze na mostek między wagonami mała sztuka. A dalej już tylko drzwi. Swoje zrobił i w ten sam sposób wysiadł. Na stacji w Koluszkach wyskoczył, kiedy pociąg hamował. Nie na tę stronę od budynków, lecz na przeciwną.

- Zna pan tych pocztowców?

- Bagińskiego i Mazurka znam od wielu lat. Z Bagińskim niejedną kufelkę piwa pociągnęliśmy na dworcu w bufecie. Mazurek specjalnie za piwem nie przepada. Ćwiartką to nie pogardzi. Ja zresztą też. Tego nowego znam najmniej, ale równy gość. W Warszawie pracuje od niedawna, ale fason zna. Wkupywał się i do nas, kolejarzy. Uczynny chłop. Kiedy potrzebowałem dla dziecka pewnego lekarstwa, przywiózł mi je z Katowic. Zna tam jedną aptekarkę i od niej dostał. W naszym mieście wszystkie apteki obleciałem bez skutku.

- Konwojenta też pan zna?

- Jakubowskiego? Kto by go nie znał? Tyle lat razem jeździmy. Też równy facet. Chociaż teraz nosa zadziera. Uważa, że jak się nauczył tych różnych języków i lepiej zarabia, to kolejarz dla niego nie towarzystwo.

- Ale piwa wam nie odmówił.

- Niechby spróbował. Kiedy razem się jeździ, zawsze może się zdarzyć okazja, aby drugiemu pomóc albo swinię podłożyć. Jakubowski jest ostrożny i trzyma się tej posady. Miałby sąsiadom butelki piwa pożalować? Nie taki on głupi.

- Nie myślicie czasem, że to on mógł wziąć te pieniądze? Jego wagon był przy ambulansie.

- Wziąć mógł, ale myślę, że tego nie zrobił - odpowiedział kolejarz po chwili namysłu. - Jak na jego apetyty to tej forszy tam było za mało. Dorn wybudował niczym jakiś pałac. On, jego rodzina dobrze ubrani i dyrektor kolei lepiej się nie nosi. Chce kupić samochód. A z czego to wszystko? Z kłaniania się i nadstawiania łapy gościom z dolarami, a także z tego, co zahandluje za każdym wyjazdem.

- Nie wierzę w złodzieja siedzącego na stopniach wagonu - powiedział podporucznik, gdy Tadeusz Leszczyk opuścił gabinet majora. - Złodziej mógłby tam się znajdować, ale nie miałby okazji do zamiany piwa na napój usypiający. Prędzej już ci kolejarze, a najpewniej konwojent lub elektryk.

- Czyli inaczej mówiąc, przesłuchaliśmy wszystkich i wróciliśmy do punktu wyjścia - odpowiedział Szpotański. - A jednak rozwiązanie jest inne. Zupełnie inne...

XIII. Czwarta butelka!

Podporucznik Władysław Adamczewski zapewne do dziś dnia nie domyśla się, że ten upalny lipcowy dzień zadecydował o dalszej jego karierze w MO. A właściwie nie sam dzień, bo ostatecznie nie wyróżniał się on niczym specjalnym ani od poprzedniego, ani od dnia, który po nim nastąpił. O tym, że w aktach personalnych czyjaś ręka zanotowała uwagę „bardzo zdolny, nadaje się do samodzielnego prowadzenia nawet skomplikowanych spraw”, zadecydowała krótka rozmowa, jaką tego ranka odbył oficer milicji ze swoim zwierzchnikiem, majorem Feliksem Szpotańskim.

- Nurtuje mnie parę wątpliwości, majorze - zaczął wtedy podporucznik.

- Jeśli tylko parę - to bardzo szczęśliwie wam się układa życie, szczerze wam zazdroszczę - odpowiedział major, zatopiony w odczytywaniu, nie wiadomo po raz który, wszystkich zeznań sprawy oznaczonej kryptonimem „Wagon pocztowy Nr Gm 38552”. Przez ostatnie dwa dni Szpotański prawie bez przerwy studiował akta sprawy i kilka razy dziennie wydzwaniał komisariat kolejowy MO, który informował go niezmiennie, że „wszystko w porządku, przy wzmiankowanym wagonie nie zauważono niczego podejrzanego”. Major odpowiadał „pilnujcie dalej” i odkładał słuchawkę, aby znowu powrócić do przerwanej lektury.

- Ja jestem w gorszym położeniu - dodał po chwili. - Mam niesłychanie dużo najrozmaitszych wątpliwości. Nie opuszczają mnie one od lat. Ani w domu, ani w pracy.

- Ale ja mam wątpliwości w związku z tą sprawą.

- A mianowicie?

- Ze wszystkich zeznań wynika, że były tylko trzy butelki piwa. Dwie przyniósł wózkarz. O ile się nie mylę, nazywał się Andrzej Marciniak. To były te z warszawskim piwem, otrzymane od bufetowej na dworcu. Trzecią przyniósł konwojent Jakubowski. Butelkę „Okocimia”. Ktoś zamienił te trzy butelki na piwo „Żywieckie”. Zygmunt Bagiński wyraźnie zeznaje, że gdy usiadł do stołu, stały na nim trzy butelki. Otworzono je na tymże stole i od razu przystąpiono do picia. Każdy wypił po jednej butelce. Myśmy jednak znaleźli w wagonie pocztowym nie trzy, ale cztery butelki po piwie „Żywieckim”. Tego właśnie nie rozumiem. Kto i po co przyniósł czwartą butelkę? - podporucznik urwał spoglądając na majora.

- Mówcie, poruczniku. Mówcie. To bardzo ciekawe.

- W przedziale znaleźliśmy cztery butelki. Trzy stały na stole. Jedna leżała na podłodze koło

nieprzytomnego Mazurka. Co dziwniejsze, tylko trzy butelki zawierały ślady, że w ich zawartości rozpuszczone było phanodormium - silny środek usypiający. W czwartej, jednej z tych, które stały na stole, analiza dokonana przez Instytut Kryminalistyki nie znalazła ani śladu phanodormium. Czyżby się w Instytucie pomylili? To chyba niemożliwe?

- Każdy człowiek się myli, więc i pracownik Instytutu mógł się omylić. Ale Instytut na pewno się nie omylił. Wszystko, każda analiza jest sprawdzana i kontrolowana. Inaczej niczego nie wypuszczą za bramą budynku. Nieraz od wyników analizy zależy wolność lub życie ludzkie. Błąd jest wykluczony. Na pewno jedna butelka nie zawierała środka nasennego.

- Już wczoraj wpadło mi to do głowy. Myślę nad tym i myślę.

- Wiecie, poruczniku, co ja wam powiem? Adamczewski spojrzał na zwierzchnika.

- Powiem wam, że wysoko zajdziecie. Umiecie myśleć logicznie i dostrzegać fakty. Żeby zostać doskonałym oficerem śledczym, brakuje wam jeszcze trochę doświadczenia i rutyny. Winszuję wam. Pobiliście mnie. Ciągle szukałem tych brakujących ogniwi. Czwarta butelka - oto brakujące ogniwo. Czwarta butelka! Tyle razy czytałem te akta i nie wpadłem na to. Czułem, że rozwiązanie w nich się mieści. Że mamy już całkowicie skompletowany materiał dochodzeniowy, a należy tylko wyciągnąć z niego odpowiednie wnioski, A pomimo to ten właśnie szczegół uszedł mojej uwagi. Widocznie człowiek starzeje się, skleroza zaczyna dawać się we znaki. Czwarta butelka... No tak, teraz wszystko jest jasne.

- Kiedy ja, panie majorze, w dalszym ciągu nie rozumiem niczego.

- Wszystko jasne, jak na dłoni. Jedno piwo nie zatrute. Oczywiście musiało być nie zatrute, bo inaczej nie byłoby kradzieży. Znakomicie, poruczniku, znakomicie. Miałem nosa, że wziąłem was do współpracy w tej sprawie, chociaż pułkownik krzywił się, że jesteście za młodzi i nigdy nie mieliście do czynienia z poważniejszą sprawą. Ta czwarta butelka przyniesie wam trzecią gwiazdkę prędzej, niż się tego spodziewacie. Moja w tym głowa. Przyrzekam to wam.

- Kiedy ja, panie majorze, naprawdę nie wiem, o co chodzi.

- Akta. Przeczytajcie akta i pomyślcie trochę. Sami na to wpadniecie. Idę do pułkownika. Sprawa wyjaśniona, ale zostało sporo do roboty i pieniądze trzeba odzyskać. A wy poczytajcie sobie akta. Sama spostrzegawczość nie wystarcza. Trzeba nauczyć się kojarzenia ich z innymi i wyciągania z tego logicznych wniosków. Te akta zawierają całe rozwiązanie sprawy pod warunkiem, że się ma klucz. A tym kluczem jest właśnie czwarta butelka.

Major Feliks Szpotański, bardzo podniecony i bardzo szczęśliwy, pokręcił się jeszcze chwilę po pokoju i poszedł do szefa służby śledczej. Podporucznik czuł się trochę bohaterem mimo woli. Zadowolony z pochwał, jakimi go zwierzchnik obsypał, zabrał się do czytania akt. W żaden jednak sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego jego odkrycie ma być tym cudownym kluczem pozwalającym na rozwiązanie dotychczas skomplikowanej sprawy.

Narada u pułkownika trwała przeszło godzinę. Szef służby śledczej wysłuchał majora, jednak

nie podzielał w stu procentach jego punktu widzenia.

- To jeszcze jedna hipoteza - powiedział - choć przyznaję, że skonstruowana bardzo logicznie i oparta na dowodach dostarczonych przez śledztwo. Niemniej to tylko hipoteza. Gdybym był prokuratorem, to przy tych podstawach nie dałbym wam jednak sankcji na aresztowanie sprawcy. Gdybyście nawet znaleźli takiego rzykanta, który sporządziłby akt oskarżenia przeciwko waszemu podejrzanemu, to każdy sąd by go uniewinnił. Adwokat - obrońca oskarżonego - zadałby jedno krótkie pytanie: „Gdzie są pieniądze i biżuteria?”

- Panie pułkowniku, wiem, gdzie złodziej schował swoje łupy. To znaczy nie potrafię wskazać schowka, ale wiem, gdzie go szukać. Sądzę, że bez żadnego trudu w ciągu paru godzin odnalazłbym i pieniądze, i biżuterię.

- Proszę bardzo - uśmiechnął się pułkownik. - Nie mam nic przeciwko temu.

- Z pewnych względów nie chcę w tej chwili tego robić. Doskonale orientuję się, że jakkolwiek poszlaki są poważne, nie wystarczają do aresztowania przestępcy. Znajdą się jednak i „murowane” dowody. Jestem tego pewien.

- Niepoprawny optymista - roześmiał się pułkownik. - Dobrze, róbcie, co uważacie za stosowne. Daję wam wolną rękę. Ale pamiętajcie, jeśli się zbłąznicie...

- Nie ma strachu, panie pułkowniku - odpowiedział Szpotański opuszczając gabinet przełożonego.

Wracając do siebie nadal miał minę człowieka bardzo z siebie zadowolonego.

- No jak tam? - zapytał podporucznika po powrocie do swojego pokoju. - Wszystko już jasne?

- Gdzie tam - odpowiedział Adamczewski. - Przeczytałem akta od „A” do „Z” i jestem nadal ciemny jak tabaka w rogu. Może jednak pan major uchyli przede mną rąbka tajemnicy?

- **Przyjdzie na to czas** - Szpotański odpowiedział swojemu pomocnikowi słowami popularnej piosenki i zabrał się do pisania.

- Wiecie co, poruczniku - odezwał się po chwili - żeby rozproszyć resztę waszych podejrzeń wobec elektryka, Piotra Gałęckiego, zrobimy wizję lokalną w wagonie pocztowym. Sprawdzimy, czy rzeczywiście stojąc na korytarzu monter mógł widzieć jedynie kawałek stołu i leżącego na podłodze Mazurka i czy zgubiony papieros akurat znajduje się w miejscu, gdzie mniej więcej, według swoich zeznań, stał kolejarz. To się zresztą później przyda i prokuratorowi do sprawy. A poza tym trzeba w końcu zwolnić ten ambulans. Dyrekcja Poczty i Telekomunikacji zwracała się już oficjalnym pismem w tej sprawie do KG MO. Dlatego zrobimy wizję lokalną i jednocześnie załatwimy formalności z ponownym przekazaniem wagonu Poczcie.

- Kogo zawiadomimy?

- Wszystkich trzech pocztowców, dyżurnego ruchu i naczelnika stacji z Kuluszek oraz

porucznika Banasia z tamtejszej Komendy Powiatowej MO. Tylko oni widzieli, gdzie znajdowali się pocztowcy w momencie otworzenia drzwi do ambulansu.

- Tam był jeszcze milicjant oraz sokiści i kilku kolejarzy. Ich też wezwiemy?

- To już dla nas nieważne. Tych trzech wystarczy. Zawiadomcie wszystkich, aby jutro o trzeciej zbrali się przed tym wagonem. Wezwiemy też przedstawicieli zarówno Poczty, jak i Kolei. Będzie tam i dla was robota.

- Jaka?

- O tym dowiedzie się na miejscu - odpowiedział tajemniczo major.

W ciągu następnych godzin major Szpotański był bardzo czynny. Najpierw nadał kilka pilnych telefonogramów, między innymi do Szpitala Wojewódzkiego w Łodzi, do Kuluszek i Katowic. Z kolei udał się na Dworzec Główny, gdzie wydawał instrukcje kierownikowi miejscowego komisariatu kolejowego. Następnie pojechał do Ministerstwa Komunikacji. Stamtąd, po rozmowie z dyrektorem departamentu ruchu i po otrzymaniu od niego odpowiedniego pisemka, zajrzał jeszcze na ulicę Wileńską do Dyrekcji PKP. I tutaj narada zakończyła się pełnym porozumieniem, chociaż początkowo pewien urzędnik kolejowy nie mógł pojąć, czego oficer milicji od niego żąda.

Dopiero przed samą trzecią Szpotański wrócił na Ksawerów. Na stole w swoim pokoju zastał już odpowiedzi na wysłane telefonogramy. Sądząc po minie oficera milicji, gdy opuszczał on późnym wieczorem gmach Komendy Głównej MO, wiadomości musiały być pomyślne.

Nazajutrz po południu mała grupka osób zebrała się przed ciągle stojącym na ślepych torze wagonem pocztowym. Przybyli przedstawiciele Dyrekcji Kolei, naczelnik urzędu pocztowego Warszawa 2 i dwóch panów z Dyrekcji Poczty. Z Kuluszek przyjechała cała trójka: naczelnik stacji, dyżurny ruchu i porucznik Banaś. Byli także i trzej ówczesni delikwenci: Zygmunt Bagiński, Karol Olszak i Stanisław Mazurek. Milicję reprezentował major Szpotański wraz z fotografem. Był też obecny kierownik komisariatu kolejowego MO.

- Jak tam sprawa? - interesowali się przedstawiciele Poczty.

- Bardzo ciężka - odpowiedział major. - Przyznam się, że właściwie nie ruszyliśmy z miejsca. Szukamy wszędzie, jednak jest to błędzenie po omacku. Złodziej nie pozostawił żadnych śladów. Jesteśmy pewni, że była to afera szpiegowska, a kradzież pieniędzy i biżuterii służyła za zasłonę dymną. Skradziono plany motorów do czołgów. W sąsiednim, sypialnym wagonie jechało kilku dyplomatów. Prawdopodobnie jeden z nich albo sam się włamał do ambulansu, albo odebrał od szpiega interesujące go plany i wywiózł za granicę. Niestety na to nie ma rady. Obawiam się, że Poczta będzie musiała płacić.

- No, nie my, lecz ubezpieczenia. Wszystkie przesyłki pocztowe są ubezpieczone. Dajcie nam oświadczenie pisemne, a zlikwidujemy całą historię. Poszkodowani nieustannie się o to dopominają.

- Na razie nie umarzamy jeszcze sprawy. Ale jeżeli w ciągu trzech miesięcy niczego nie

wykryjemy, trzeba będzie to zrobić. Obecnie chcemy chociaż zadość uczynić formalnościom - dokonać wizji lokalnej i protokolarnie zwolnić wagon. A zatem przystąpmy do rzeczy.

Major osobiście zdjął pieczęcie na nowo założone po nie-; udanej próbie włamania i otworzył drzwi do wagonu pocztowego. Zwracając się do wszystkich zebranych powiedział:

- Panowie, zanim zwolnimy wagon i zwrócimy go Poczcie, musimy dokonać jeszcze pewnej drobnej formalności śledczej - wizji lokalnej. Posiadamy fotografie wnętrza wagonu, tak jak wyglądał on po zabraniu stamtąd chorych. Potrzebne nam są jeszcze zdjęcia obrazujące, w jakim położeniu znajdowali się trzej pocztowcy w momencie przybycia pociągu do Kuluszek, wtedy gdy przez otwarte okno zauważono, że z obsługą ambulansu jest coś nie w porządku. Panowie Mazurek, Olszak i Bagiński będą uprzejmi wejść do środka, a porucznik Banaś i dwaj przedstawiciele stacji Kuluszek postarają się ich uplasować w identycznych pozycjach, w jakich widzieli ich tamtej nocy. Porucznik Banaś jako fachowiec w tych sprawach niech ustawia pocztowców, pozostali zaś dwaj panowie skorygują jego pracę, gdyby okazało się, że popełnia błędy.

Cała szóstka weszła do wagonu. Oficer milicji szybko upozował pocztowców. Dwóch siedziało naprzeciwko siebie przy stole z głowami na blacie. Trzeci rozciągnięty był na podłodze tuż koło stołu.

- Tak jest dobrze - zawyrokowali kolejarze - tylko ten leżący miał podkurczoną lewą nogę.

Zgodnie z udzielonymi wskazówkami Mazurek podkurczył lewą nogę.

- O tak. Doskonale. Tak leżeli - zgodzili się teraz wszyscy, którzy owej krytycznej nocy zaglądali do ambulansu.

- Chwileczkę - poprosił major - sprawdzę tylko jeszcze, czy z bocznego wejścia widać było całą trójkę.

Szpotkański stanął tam, gdzie według swoich zeznań zatrzymał się przestraszony elektryk, Piotr Gałęcki. Mówił on prawdę. Z tego miejsca mógł widzieć tylko leżącego na podłodze Mazurka i jedną postać z głową na stole. Położenie głowy i rąk wykluczało identyfikację siedzącego. Gdyby major nie wiedział, że to Zygmunt Bagiński, nigdy by go nie rozpoznał. Widoczna była tylko część głowy i lewe przedramię, resztę zasłaniała ściana. Za to mały krzyżyk zrobiony białą kredą, znak, że w tym miejscu leżał niedopałek „Silesii”, znajdował się teraz prawie pionowo pod lewą ręką majora. A więc i ten szczegół potwierdzał prawdziwość zeznań elektromontera.

Na dany przez majora znak fotograf milicyjny dokonał kilku zdjęć. Wizja lokalna była skończona.

- Teraz do środka poproszę również i przedstawicieli Dyrekcji Poczty oraz delegatów z PKP. Wagon już nie jest nam potrzebny. Chciałbym jednak, żeby cała komisja obejrzała go dokładnie: jest nie uszkodzony. Nic tu nie robiliśmy, ścian nie rozbieraliśmy, dziur nie borowaliśmy. Słowem, ambulans jest dokładnie w takim samym stanie jak w momencie, kiedy wyruszał w drogę tamtego fatalnego wieczoru. Panowie obejrzą go szczegółowo, a potem podpiszemy odpowiedni protokół.

- Ależ wierzymy na słowo - roześmiał się jeden z przedstawicieli Poczty.

- Mieliśmy już podobny wypadek - tłumaczył major. - Zdarzyło się to, jeżeli dobrze pamiętam, przed czterema laty w Krakowskim. W wagonie popełniono zbrodnię. Zatrzymaliśmy wówczas do naszej dyspozycji wagon celem przeprowadzenia odpowiednich badań i ekspertyz. A potem Kolej przysłała nam rachunek. Były tam pozycje odmalowania wagonu, usunięcia uszkodzeń, wstawienia nowych szyb, a nawet koszt zakupu trzech popielniczek, których rzekomo brakowało, a które, według rozumowania Kolei, zostały zabrane stamtąd przez komendę milicji. Muszę więc być ostrożny. Sporządzimy zatem formalny protokół.

Komisja pobieżnie obejrzała wnętrze wagonu stwierdzając, że wszystko jest na swoim miejscu i ambulans został oddany przez milicję w stanie zdatnym do użytku.

- Bardzo jestem zadowolony - stwierdził naczelnik urzędu pocztowego - że odzyskujemy ten wagon. Cierpimy na brak ambulansów. Każdy jest dla nas na wagę złota.

- Tak. Tylko że na tę radość trzeba będzie trochę jeszcze poczekać - odpowiedział przedstawiciel Dyrekcji PKP. - Ten wagon pójdzie teraz do okresowego remontu. Jutro zabieramy go do warsztatów kolejowych w Pile. Nie na długo, ale miesiąc lub dwa to zawsze potrwa.

- Co takiego? Przecież jest w doskonałym stanie.

- Przykro mi, ale to już sprawa kolejowego regulaminu. Po przebiegu osiemdziesięciu tysięcy kilometrów każdy wagon musi iść do przeglądu technicznego. Stawia się go na kanale, sprawdza całe podwozie. Rozbiera się wszystko i ogląda, czy nie ma uszkodzeń. Jeśli są, wymienia się części lub je naprawia. Jeśli zaś wszystko jest w porządku - pozostaje tylko mała kosmetyka malarska i wóz wraca po paru tygodniach do eksploatacji. Akurat dla tego ambulansu nadszedł czas oddania go do przeglądu.

- Ależ panowie - bronił się naczelnik Poczty - poczekajcie jeszcze choć z miesiąc. Niedawno pozbawiliście nas czterech ambulansów, zabierając je w podobny sposób do remontu. Niech chociaż któryś z tamtych wróci z warsztatów. Jak tak dalej pójdzie, nie pozostanie nam nic innego, jak maszerować na piechotę wzdłuż torów i worki z pocztą nosić na plecach.

- Może wówczas nareszcie listy by szybciej dochodziły do adresatów - mruknął złośliwie drugi z kolejarzy.

- Nic na to nie poradzę - rozłożył ręce przedstawiciel Dyrekcji Kolei. - Przepisy przepisami. Jutro z samego rana, a może jeszcze dziś wieczorem, zabieramy wóz do ZNTK w Pile.

- Chodźmy w takim razie na stację. Tam u naczelnika spisujemy krótki protokół z dzisiejszych czynności - zaproponował major. - Nas, milicję, dalsze losy ambulansu już nie interesują. To sprawa wyłącznie Kolei i Poczty.

- Kto nam podpisze delegacje? - zatroskał się porucznik Banaś.

- Mogę to zrobić, ale musimy w takim razie wszyscy pojechać na Ksawerów.

- No trudno, pojedziemy - zgodził się porucznik.

Po minach obu kolejarzy z Koruszek widać było, że taki spacer na drugi koniec stolicy wcale ich nie nęci.

- Nie chciałbym jednak fatygować panów kolejarzy - major widział dobrze ich niezadowolenie - czy nie wystarczy panom stempel komisariatu kolejowego MO?

- Oczywiście - ucieszył się naczelnik stacji z Koruszek. - Przecież nikt nie będzie sprawdzał i zastanawiał się, że wezwanie jest z Komendy Głównej MO, a stempel na delegacji z komisariatu kolejowego. I to milicja, i to milicja.

Wszyscy wyszli z wagonu pocztowego. Milicjant, który dotychczas pilnował ambulansu, chciał zamknąć drzwi. Major machnął ręką.

- Możecie zestawić otwarte - powiedział. - Teraz to niepotrzebne.

- Naturalnie - potwierdził przedstawiciel PKP. - Postaram się, żeby wóz zabrano jak najprędzej. Może da to się zrobić jeszcze dzisiaj. Skoro Poczta tak narzeka, pójdziemy jej na rękę i zrobimy wszystko, żeby przegląd trwał jak najkrócej. Bodaj że o północy odchodzi ze Wschodniego pociąg do Kołobrzegu przez Piłę. Może uda się ten ambulans doczepić do tego składu. Rano byłby już na miejscu.

- Panów Bagińskiego, Mazurka i Olszaka - major zwrócił się do trzech pocztowców, którzy byli cały czas obecni przy tej rozmowie - również poproszę z nami, abyście i wy podpisali ten protokół. Wiem z praktyki, że im więcej podpisów na tego rodzaju dokumencie, tym lepiej.

- Czy mam zostać przy wagonie? - zapytał milicjant pilnujący dotychczas ambulansu.

- Nie. Zabierajcie się z nami. W komisariacie powiecie, że posterunek z mojego polecenia został zlikwidowany. Zresztą za chwilę tam będę i sam to wyjaśnię.

Cała grupa - skierowała się w stronę budynku dworca. Na ślepy torze pozostał tylko pechowy ambulans. Teraz pusty, z otwartymi na oścież drzwiami.

XIV. Sam na sam z przestępcą

Pomimo później pory major, po załatwieniu wszystkich formalności na dworcu, nie udał się do domu, lecz Wrócił do KG MO. Siedział w swoim pokoju, przeglądając po raz nie wiadomo który akta sprawy. Bezskutecznie próbował czytać gazetę. Wypalił całą masę papierosów i co chwila spoglądał na aparat telefoniczny. Ale mała, czarna skrzyneczka milczała jak zaklęta. Oficer milicji nie mógł już sobie miejsca znaleźć. Czekanie coraz bardziej mu się dłużyło.

Wreszcie rozległ się upragniony sygnał.

Szpotkański szybko podniósł słuchawkę.

- Halo!

- To pan major? - rozległ się głos w słuchawce.

- Tak, to ja. Poznaję was po głosie, poruczniku. Ujęliście Olszaka?

- Pan major już wie? - w głosie Adamczewskiego brzmiała nutka zawodu. - Myślałem, że jestem pierwszy, który pana o tym zawiadomił.

- Ależ chłopcze - major natychmiast odzyskał dobry humor, całe zdenerwowanie znikło bez śladu - wiedziałem o tym już od momentu, kiedy zwróciłeś mi uwagę na czwartą butelkę piwa. A domyślałem się tego dużo, dużo wcześniej. Gdzie były pieniądze i biżuteria?

- Schował je pod oknem. Po prostu odkręcił śruby. Tam na dole jest klapka na śrubach na wypadek naprawy instalacji służącej do otwierania i zamykania okien. Olszak odkręcił tę klapkę, włożył do środka obie paczki wartościowe i z powrotem zakręcił śruby.

- Nie brakuje niczego?

- Nie. Są pieniądze i cała biżuteria. Paczki nie były nawet otworzone, tylko z boku są nieco naddarte. Złapaliśmy go na gorącym uczynku, gdy wyjmował swój łup ze skrytki.

- Winszuję wam, poruczniku. Podziękujcie też w moim imieniu tym wszystkim, którzy biorąc udział w akcji pomagali wam w ujęciu przestępcy.

- Tak jest, panie majorze. Przekażę im zaraz te słowa. Co mam robić z aresztowanym? Czy zostawić go w komisariacie kolejowym?

- Nie. Niech go zaraz przewiożą do aresztu. I niech pilnują, żeby nie uciekł. Facet niewiele ma do stracenia.

- Nie ma obawy. Zaopiekujemy się nim troskliwie.

- Kupcie mu coś do jedzenia, bo w areszcie dopiero jutro dadzą mu jeść.

- Dobrze. Sam mu kupię parę bułek, chociaż nie przypuszczam, żeby miał zbyt duży apetyt.

- Ja się też obawiam, że pierwszy posiłek w celi nie będzie mu smakował. Co prawda jest przyzwyczajony.

- Co pan mówi, majorze?

- Pogadamy o wszystkim, kiedy będzie na to czas. Nie przez telefon.

- Co mam robić ze skarbem?

- Weźcie jednego milicjanta ze sobą i przyjeżdżajcie taksówką do KG MO. Tutaj w kasie

zdeponujecie za pokwitowaniem kosztowności i pieniądze. Potem przyjdziecie do mnie na górę. Czekam.

- Tak jest, panie majorze - w głosie podporucznika wyczuwało się dumę i zadowolenie.

Nie upłynęła godzina, kiedy podporucznik Adamczewski zjawił się w pokoju majora Szpotańskiego. Jeszcze teraz był podniecony. Oczy mu błyszczały, mówił głośniejszym głosem niż zwykle.

- Wszystko tak się stało, jak pan major z góry przewidział - opowiadał. - Gdy tylko opuściliście wagon i weszliście do budynku stacyjnego, wyszedłem z moimi ludźmi z dyżurki, w której się schowaliśmy. Ja sam ukryłem się w wagonie pocztowym, w ubikacji. We wszystkich wagonach w pobliżu ambulansu umieściłem milicjantów. Dwaj wywiadowcy w cywilu pozostali na otwartej przestrzeni, na sąsiednich torach. Mieli na widoku zarówno sam wagon, jak i całe otoczenie. Udawali robotników kolejowych reperujących szyny. Wręczono im duży klucz i dwa kilofy. Nie bardzo wiedzieli, co z nimi robić, ale z daleka wyglądali jak zwykli robotnicy kolejowi, którym się nie spieszy i którzy jak mogą, tak bumelują, czekając na koniec dniówki. Jeszcze jeden wywiadowca siedział przy budynku dworcowym, na rampie bagażowej w pobliżu ekspedycji. Sprawiał wrażenie człowieka czekającego na bagaż. Omówiliśmy cały system sygnalizacji. Gdyby ktoś zmierzał w stronę ambulansu, ten przy dworcu miał zdjąć czapkę z głowy. To był pierwszy sygnał alarmowy, przeznaczony przede wszystkim dla tych pracujących przy torze. Z kolei oni, widząc postać wyraźnie już zdążającą w kierunku wagonu pocztowego, mieli ogłosić alarm bojowy, uderzając kilka razy kluczem o szyny. To miał być znak dla mnie i milicjantów ukrytych w wagonach. Przecież zarówno ja, jak i pozostali milicjanci nic nie widzieliśmy. Siedziałem na podłodze tak, żeby być niewidocznym z zewnątrz wagonu. Bałem się tylko, że skarb będzie schowany właśnie w ubikacji, chociaż obszukałem ją przedtem bardzo dokładnie.

- A nie domyślaliście się tej skrytki?

- Nie przyszło mi na myśl, że to się rozkręca. Ale w szparę w oknie zaglądałem! Nawet próbowałem calówką, czy tam coś nie siedzi. Paczki schowane były pod innym oknem, tym z lewej strony drzwi. Umówiliśmy się, że kiedy wywieszę na kracie okna chustkę, wtedy cała obstawa będzie ze wszystkich stron koncentrycznie podchodziła do wagonu. Bądź co bądź było nas siedmiu ludzi. Z takiej sieci mysz by się nie wymknęła.

- Długo czekaliście?

- Prawie trzy godziny. Już nóg nie czułem i plecy mnie bolały, bo cały czas siedziałem skurczony. Rozpacz mnie ogarniała, że będę się tak męczył aż do rana. Przecież mógł przyjść w nocy.

- Tego nie brałem pod uwagę. Bo jeśli ktoś w mundurze pocztowca kręci się po stacji kolejowej w biały dzień i zagłada lub wchodzi do różnych wagonów, nie zwróci to niczyjej uwagi. Co innego w nocy. Już sama obecność obcego człowieka na torach kolejowych jest podejrzana. Wpadnie w oko zarówno patrolującemu teren milicjantem, jak i SOK-owi czy choćby kolejarzom mającym nocną pracę. Dlatego też z góry wykluczałem próby dostania się do ambulansu po zmierzchu. Tym bardziej że otworzenie skrytki bez światła, a złodziej bałby się zapalić elektryczność w pustym wagonie, byłoby bardzo utrudnione.

- Tego pan major nam nie mówił.

- Oczywiście. W razie potrzeby czuwalibyście całą noc. Rano z fachową pomocą specjalistów zrobilibyśmy szczegółową rewizję w wagonie i sami znaleźlibyśmy ukryte w jego wnętrzu pieniądze. Teoretycznie biorąc istniała możliwość, że złodziej przejrzał nasze plany i „wycofa się z interesu” rezygnując ze schowanego gdzieś w ambulansie skarbu. Wtedy mielibyśmy bardzo ciekawy proces poszlakowy.

- Nie po to kradł, by później rezygnować.

- Ja też tak rozumowałem i na to liczyłem. A jednak to byłaby dla niego jakaś szansa. Miał co prawda lepszą, mógł skorzystać z amnestii, przyznać się i zwrócić pieniądze. Wtedy wykręciłby się łagodniejszym wyrokiem. To są zresztą rozważania raczej filozoficzne, bo sprawa została przesądzona. Mamy przestępcę złapanego na gorącym uczynku i mamy też pieniądze. Mówcie, poruczniku, jak to było dalej.

- Czekam więc i czekam. Wreszcie słyszę uderzenie w szynę. Aż oddech wstrzymałem. Ktoś wchodzi do wagonu. Chwilę albo nasłuchuje, albo się rozgląda. Potem po cichu zamyka drzwi. Pan major pamięta? Kazał pan zostawić je otwarte. Upłynęło znowu z pięć minut. Ten człowiek w wagonie nie ruszał się. Potem usłyszałem kilka kroków, jak gdyby w moją stronę, i ponownie zapadła cisza.

- Jednak coś niecoś podejrzewał. Był ostrożny. Chciał się przekonać, że wagon rzeczywiście nie jest strzeżony. Poprzednim razem, właśnie przy wchodzeniu do ambulansu, spłoszył go milicjant.

- Tak jest. Coś widać przeczuwał. Potem mówili mi wywiadowcy, że Olszak po wejściu do wagonu zamknął drzwi i długo stał bez ruchu. Rozglądał się. Następnie podszedł do okna w przeciwległej ścianie wagonu i znowu badał, czy nikt go nie obserwuje. Dobrze, że uprzedziłem obstawę i nikt z nich nie zdradził się przedwcześnie. Mieli interweniować jedynie na znak chustką i nie zwracać uwagi na nikogo, kto by wchodził do ambulansu. Mieli też zatrzymać każdego człowieka, który by chciał opuścić ambulans.

- Opuścić?

- Musiałem przewidywać wszelkie okoliczności. Mogło się zdarzyć, że przestępca odkryłby mnie w moim trochę śmiesznym schowku. I nie tylko odkrył, mógłby okazać się ode mnie szybszy. Miałby zresztą przewagę pozycji. On stojący, ja na podłodze, skurczony we dwoje. W tej sytuacji wystarczyłby jeden ruch ręki z czymś ciężkim i nie zdążyłbym nawet krzyknąć, nie mówiąc już o wywieszeniu chustki przez okno. Pan major sam mówił, że gdyby Gałęcki posunął się jeszcze dwa kroki dalej, przestępca nie zawahałby się sprzątnąć niewygodnego świadka. Musiałem i tę okoliczność mieć na uwadze. Dlatego wydałem rozkaz, że jeżeli ktoś będzie chciał wyjść z wagonu pocztowego, należy go natychmiast zatrzymać, a następnie milicjanci mieli wejść do ambulansu i sprawdzić, co się dzieje ze mną.

Major uważnie przyjrzał się podporucznikowi. Młody oficer milicji mówił te słowa bez przechwałki i bez pozowania na bohatera. Fakt, że prawie bezbronny czatował na niebezpiecznego

przestępcę i ryzykował przy tym ryciem, był dla niego sam przez się zrozumiały. Przecież inaczej nie mógł postąpić. Jeszcze przed wstąpieniem do milicji i później w szkole oficerskiej w Szczytnie nauczono kandydata na milicjanta, że ryzyko życia jest w tym zawodzie chlebem powszednim. Major był absolutnie przekonany, że Adamczewski, kuląc się i czatując na przestępcę, nawet o tym nie pomyślał. Nie miał bowiem wątpliwości, że tak musi postąpić. Nie przyszło mu też na myśl, że na ten niebezpieczny posterunek może wyznaczyć kogoś innego - jednego z przydzielonych do akcji milicjantów. Przeciwnie, uważał za zupełnie naturalne, że ponieważ właśnie tu grozi niebezpieczeństwo, miejsce powinno być obsadzone przez niego - dowódcę akcji.

Muszę to podkreślić w sprawozdaniu do pułkownika - postanowił Szpotański. - Udał się ten chłopak.

- Znowu upłynęło parę minut - mówił dalej podporucznik - zdawało mi się, że długich jak sama wieczność; W końcu ponownie usłyszałem kroki w wagonie. Potem doszedł mnie odgłos jakichś cichych szmerów. Leciutko uchylilem drzwi i ostrożnie wyjrzałem przez szparę. Człowiek w mundurze pocztowca klęczał przy oknie. Obok leżała teczka. W rękę trzymał śrubokręt. Nie widziałem, ale domyśliłem się, że odkręca pokrywę u dołu pod oknem. Stało się dla mnie jasne, że tam schowane są paczki wartościowe. Oczekałem jeszcze trochę. Dopiero kiedy zobaczyłem, że pokrywa odchodzi od ściany, wywiesiłem chustkę przez kratę okna. Sam ostrożnie wstałem, otworzyłem drzwi i wyszedłem z tej cholernej ubikacji. Klęczący człowiek akurat trzymał w rękę jedną paczkę i sprawdzał jej zawartość. Tak był tym zajęty, że nie słyszał moich kroków. Kiedy byłem od niego o parę metrów, powiedziałem głośno: „Może pomóc”.

- Efekt tych słów musiał być nadzwyczajny - roześmiał się Szpotański. - Wyobrażam sobie.

- Na dźwięk mojego głosu klęczący mężczyzna upuścił paczkę z biżuterią. Odwrócił się, a widząc mundur milicjanta chwycił leżący na ziemi śrubokręt. Przez moment sądziłem, że rzuci się na mnie. Cofnąłem się o krok i sięgając ręką do kabury powiedziałem:

- Bez głupstw. Wagon jest otoczony milicją.

- To był ogromny błąd i niesłychana lekkomyślność - major surowo zgromił podwładnego. - Wychodząc z ukrycia trzeba było już mieć w rękę pistolet gotowy do strzału. Nigdy nie wiadomo, jak taki facet zareaguje. Dobrze wiedział, że i tak grozi mu przynajmniej dycha. Mógł się zdobyć na jakiś odruch rozpaczy.

- Nic by mu z tego nie przyszło. Obstawa ze wszystkich stron biegła do ambulansu.

- Jemu by nie przyszło, ale za to wam. Rany zadane śrubokrętem są bardzo paskudne. Możecie mi wierzyć na słowo. Na przyszłość proszę nie szarżować.

- Tak jest, panie majorze. Dopiero kiedy się odwrócił, poznałem, że to Karol Olszak. W tej samej prawie chwili drzwi wagonu z obu stron zostały otwarte. Widząc, że nie ma żadnych szans ani obrony, ani ucieczki, przestępca wstał i podniósł ręce do góry. Dla pewności sierżant Mańkowski skuł go zaraz w kajdanki. Ja zabrałem paczki wartościowe. Jeden z naszych ludzi wziął teczkę. Były w niej tylko dwa śrubokręty. Jednym z nich przykręciliśmy klapę pod oknem. Sprawdziłem

oczywiście, czy w skrytce coś nie pozostało, ale była pusta. Przystępcę zabraliśmy do komisariatu kolejowego, gdzie od razu spisaliśmy protokół. Olszak odmówił jakichkolwiek zeznań. Nie chciał nawet podać swoich personali.

- Teraz to nie ma znaczenia. Ujęty został na gorącym uczynku ze skradzionymi pieniędzmi w rękę. Milczenie mu nie pomoże - major schował akta sprawy „Wagon pocztowy Nr Gm 38552” do stojącej pod ścianą metalowej szafki i dodał: - Dochodzi dziewiąta. Najwyższy czas trochę pomieszkać. Po raz pierwszy od dwóch tygodni, odkąd dostałem tę sprawę, będę spał spokojnie.

- Zawsze się dziwiłem, że pan major wcale się nie przejmuje prowadzoną przez siebie sprawą - zauważył podporucznik.

- Nie przejmuje - roześmiał się Szpotański. - Nikt nie wie, ile mnie każda taka afera kosztuje nerwów i zdrowia, zanim jej nie rozplączę. Ale cóż robić. Nie będę przecież chodził po korytarzach tego budynku i obnosił wszędzie zbolalej i zatroskanej miny. No, chodźmy!

W wielkim gmachu KG MO na Ksawerowie w jednym oknie zgasło światło.

XV. Major wyjaśnia tajemnicę

Jak zwykle punkt ósma podporucznik Władysław Adamczewski otworzył drzwi do pokoju majora Szpotańskiego. Miał cichą nadzieję, że może raz uda mu się uprzedzić przełożonego i przyjść do pracy wcześniej. Próżne złudzenia. Major jak zwykle siedział przy biurku i jak zwykle studiował akta sprawy.

- Jak się macie, poruczniku - powitał młodego oficera - przeglądam jeszcze raz tę sprawę. Musimy ją dzisiaj przesłać do prokuratury. Chciałbym, żeby wszystko było związane na ostatni guzik. Lubię przekazywać prokuratorowi akta w takim stanie, aby po zapoznaniu się z ich treścią od razu mógł rozpocząć dochodzenie prokuratorskie i szybko pisać akt oskarżenia.

- Pan major zrobił wszystko, co należało do milicji. Do tej pory nie rozumiem, skąd pan wiedział, że to właśnie Karol Olszak jest złodziejem.

- To przecież proste. Wytłumaczenie wszystkiego jest w aktach sprawy. Wystarczyło przeczytać uważnie kolejno wszystkie zeznania, aby dojść do nieomylnego wniosku: ukraść paczki wartościowe mógł tylko Karol Olszak. Byłem o tym przekonany prawie od początku. Rozwiązanie nie przyszło mi jednak zbyt łatwo. Domyślając się, kto jest złodziejem, nie umiałem tego udowodnić. Zrobiłem bowiem błąd, a właściwie niedopatrzenie. Zapomniałem o czwartej butelce piwa. Ona w tej całej sprawie była wyraźną wskazówką demaskującą przestępcę. Właśnie to wasza zasługa, że zwróciliście mi na to uwagę.

- Ale ja dotąd nie wszystko rozumiem. Pan major obiecał mi wytłumaczyć...

- Doskonale. Mamy trochę czasu, więc zrobię wam mały wykład - uśmiechnął się Szpotański. - Przekonałem się, że umiecie patrzeć, jesteście odważni i sprytni, brakuje wam jedynie rutyny i umiejętności wyciągania właściwych wniosków z zaobserwowanych faktów. Usiądźmy sobie

wygodnie w tych fotelach i pogadajmy.

Major zapalił papierosa, zagłębił się w miękkim fotelu i rozpoczął swoją opowieść.

- Od początku było jasne, że kradzieży dokonał człowiek, który dostarczył do ambulansu piwo zaprawione środkiem usypiającym. On sam albo jego współnik. Należało się bowiem liczyć z tym, że możemy mieć do czynienia z dwoma ludźmi albo nawet z całym, dobrze zorganizowanym gangiem. Punktem wyjściowym śledztwa stało się więc sporządzenie listy wszystkich podejrzanych - osób, które bądź wstępowały do ambulansu, bądź też przez ich ręce przechodziły butelki z piwem.

Byli to:

1) bufetowa Helena - wydała piwo wózkarzowi

2) wózkarz - dostarczył piwo do ambulansu

3) konwojent wagonu sypialnego, Jakubowski - dostarczył piwo do wagonu pocztowego

4) dyżurny ruchu - wchodził do ambulansu sprawdzić światło

5) elektrotechnik Gałęcki - reperował światło

6), 7) dwaj kolejarze z wagonu bagażowego - jeden z nich wchodził do ambulansu, a obaj mieli możliwość wejścia tam podczas biegu pociągu 8), 9), 10) wszyscy trzej pocztowcy jadący ambulansem:

Bagiński, Mazurek i Olszak. Do tego trzeba dodać pasażerów jadących wagonem sypialnym tuż koło ambulansu i połączonym z nim mostkiem umożliwiającym przechodzenie z wagonu do wagonu podczas jazdy. Każdy z tych ludzi mógłby być współnikiem przestępcy, który dostarczył zatrutego piwa. Ale tylko współnikiem, bo jak wiemy, żaden z tych ludzi nie odwiedzał ambulansu przed odjazdem pociągu. Rola takiego współnika mogła polegać na niepostrzeżonym wejściu do wagonu pocztowego już wtedy, gdy pocztowcy spali, i okradzeniu schowka z paczkami wartościowymi.

Dalsze śledztwo - ciągnął major - polegało na eliminowaniu z tej listy osób niewinnych. Najpierw mogłem skreślić bufetową i wózkarza. Oboje wprawdzie mieli do czynienia z piwem, wózkarz nawet wchodził do wagonu i stawiał butelki na stole, ale oni tego dnia rozporządzali tylko „Jubileuszowym” z Browaru Warszawskiego. Natomiast w wagonie znaleziono ślady piwa i phanodormium w butelkach opatrzonych etykietkami „Żywieckie”, mających zresztą zupełnie inny kształt. Stąd wniosek, że piwo dostarczone przez tych dwojga było normalnym, dobrym napojem, a dopiero później zamieniono je na inne.

Z kolei trzeba było wykluczyć dyżurnego ruchu. Wchodził on do wagonu pocztowego i sprawdzał instalacje świetlne, ponieważ pocztowcy reklamowali, że nie wszystkie lampy się palą. Przebywał jednak w ambulansie, jeszcze zanim zjawiała się następna porcja piwa. Wózkarz i bufetowa zeznali, że dostarczyli do wagonu dwie butelki piwa. Myśleli bowiem, że jak zwykle ambulans obsługiwany jest przez dwie osoby. O tym, że „na waleta” jedzie tam do Katowic trzeci pocztowiec, oczywiście nie wiedzieli. Potwierdziły to również zeznania Mazurka, który właśnie był

owym „waletem” i który o dalszą porcję piwa prosił konwojenta Jakubowskiego. Jakubowski zeznał natomiast, że kiedy wszedł do ambulansu, by postawić na stole trzecią flaszkę piwa, elektrotechnik reperował w wagonie uszkodzenia światła. Gałęcki zeznawał to samo. A że to właśnie dyżurny ruchu po opuszczeniu ambulansu odszukał elektryka Gałęckiego i przysłał go do naprawy instalacji świetlnej, stąd prosty wniosek, że trzecia butelka zjawiała się w ambulansie dużo później po wizycie dyżurnego ruchu.

- Tak, to wszystko prawda.

- Początkowo braliśmy pod uwagę i to, że sprawa może mieć charakter szpiegowski. W sypialnym jechało kilku cudzoziemców, wśród nich dyplomaci. Z wagonu pocztowego zginęły plany motoru, który nadaje się między innymi do zastosowania go w czołgach. Wyglądało to dosyć podejrzanie. Jednak wyjaśnienia przedstawiciela kontrwywiadu kazały poważnie zwątpić w sens tej hipotezy. Bystry Henio Wąsik, który w krzakach znalazł kolorowe papierki i omal że za to nie otrzymał od ojca solidnego lania, całkowicie obalił teorię afery szpiegowskiej. Zeznania elektryka i konwojenta stwierdzające, że poczynając od Warszawy wszyscy podróżni wagonu sypialnego znajdowali się w swoich przedziałach i w tym czasie nie wychodzili na korytarz, stwarzały tym ludziom alibi nie do podważenia. Tak więc można było przyjąć jako pewnik, że żaden z pasażerów wagonu sypialnego nie jest zamieszany w tę aferę. W ten sposób nasza lista kurczyła się bardzo szybko. Wiedziałem jednak z doświadczenia, że im dalej, tym trudniej będzie ze skreślaniami nazwisk. Bardzo ważne okazały się zeznania Jakubowskiego. Ujawniły przede wszystkim fakt, że do ambulansu dostarczono, a przynajmniej dostarczono w sposób jawny, tylko trzy butelki piwa. Poza tym dowiedzieliśmy się, że marki tego piwa były różne: dwie „Jubileuszowego” i jedna z Browaru Okocimskiego. Myśmy natomiast znaleźli w ambulansie tylko piwo „Żywieckie”. Stąd prosty wniosek - zarówno piwo dostarczone przez wózkarza, jak i to, które przyniósł konwojent, było dobre. Dopiero później ktoś zamienił te butelki na zatrute piwo „Żywieckie”. A więc Jakubowski również jest niewinny. „Żywcem” me rozporządzał. „Wars”, który zaopatruje wagony sypialne w napoje chłodzące, od prawie trzech miesięcy nie otrzymał dostaw „Żywca”.

- Nie rozumiem, dlaczego przestępca tak sobie upodobał właśnie tę markę piwa - wtrącił podporucznik.

- Wyjaśnię to później - odpowiedział major i ciągnął dalej: - Pomijam już rozumowanie konwojenta, że kradzież półtora miliona złotych po prostu byłaby w jego sytuacji nieopłacalnym ryzykiem. To rozumowanie jest bardzo logiczne i trafia mi do przekonania. Takie posady są lepsze od ministerialnych. Dają się porównać chyba tylko ze stanowiskiem szatniarza w dużej kawiarni. Ale fakt, że Jakubowski zupełnie nie zwracał uwagi na kręcącego się po wagonie sypialnym elektrotechnika, świadczy również o niewinności konwojenta. Przestępca chodziłby krok w krok za elektrykiem i nie dopuściłby do jego wejścia do ambulansu. A jednocześnie to, co nam powiedział konwojent, w dużej mierze uwolniło od podejrzeń jeszcze jedną osobę - właśnie nieszczęsnego elektryka - Piotra Gałęckiego.

- Nie byłem pewien niewinności elektromontera aż do momentu aresztowania właściwego sprawcy kradzieży.

- Na osobie Gałęckiego nie będę się dłużej zatrzymywał. Zaraz po przesłuchaniu elektrotechnika

uzasadniłem panu, poruczniku, dlaczego go nie aresztuję. Oczywiście zawinił on swoim milczeniem i obawą, żeby go nie wplątano w tę całą aferę. Bogiem a prawdą można by było przysporzyć mu sporo przykrości z tego powodu. Ale niech go tam. Tysiące ludzi codziennie zachowuje się podobnie - widząc popełniane przestępstwo odwracają głowy. Chodziło nam nie o cudzą głupotę, lecz o znalezienie złodzieja. Dlatego machnąłem ręką na dziwne i niewłaściwe zachowanie się montera. Na szczęście nie przyniosło ono poważniejszych szkód.

Bardzo podejrzani byli obydwaj kolejarze z wagonu bagażowego - chociaż jedynie pod warunkiem, że działali w zмовie. Jeden z nich wchodził do ambulansu i miał możliwość zamiany butelek. Obaj jechali tuż koło ambulansu i posiadali klucze, którymi mogli otworzyć drzwi i dostać się do środka wagonu. W końcu jednak skreśliłem ich z mojej listy z kilku powodów.

- Jakich? - podporucznik słuchał wywodów swojego przełożonego z wypiekami na policzkach. Nawet uszy zaczerwieniły się młodemu człowiekowi.

- Przede wszystkim mój „nos” mówił mi, że tego rodzaju przestępstwa dokonywane są raczej w pojedynkę. Oczywiście, że przy prowadzeniu śledztwa nie można kierować się domniemaniami. Trzeba się opierać na niewzruszonych dowodach. Jednym z nich był fakt, że w tym wagonie znajdowały się bardzo cenne bagaże i że wieziono tam poważne kwoty pieniężne na wypłatę dla kolejarzy. Pieniądze te odbierane były na wszystkich stacjach, na których się pociąg pośpieszny zatrzymywał. Po cóż więc kolejarze okradaliby sąsiedni ambulans, kiedy i u siebie mieli znacznie większą kwotę pieniędzy. Poza tym obydwaj pracują na kolei od lat. Ich ojcowie również byli kolejarzami. Jeden z tych bagażowych został przeniesiony na Dworzec Główny ze Wschodniego dopiero przed dwoma tygodniami. Swojego partnera przedtem nie znał. Tak szybko by się dogadali? W tak delikatnej sprawie jak okradzenie ambulansu? Poza tym skąd ci ludzie wytrzasnęliby piwo „Żywieckie”? Nie było go wówczas w Warszawie nawet na lekarstwo.

- Ale Olszak znajdował się w tej samej sytuacji - zauważył podporucznik - a jednak dysponował właśnie piwem z browaru w Żywcu.

- Nie bardzo w tej samej sytuacji - odpowiedział major. - Dojdę zresztą do tego piwa i wyjaśnię, dlaczego złodziej użył właśnie „Żywieckiego” przy sporządzaniu płynu usypiającego. Wracając jednak do kolejarzy, pomimo tych wszystkich dowodów przemawiających za ich niewinnością, nie od razu skreśliłem ich z mojej listy. Ciągłe byli brani pod uwagę jako ewentualni sprawcy kradzieży - nawet po znalezieniu przez dzieci torowego planów znajdujących się w skradzionym liście dworcowym. Dlatego przesłuchiwałem ich dwukrotnie, licząc, że może się coś z nich wycisnąć.

- Nie rozumiem, jaki związek ma znalezienie podartych planów z kolejarzami?

- To nie jest skomplikowane zagadnienie. Gdybyście się, poruczniku, trochę zastanowili, umielibyście wysnuć prawidłowy wniosek.

- Jaki?

- Po pierwsze - złodziej nie orientował się zbyt dobrze w przepisach pocztowych i nie wiedział,

że w listach dworcowych nie wolno przysyłać pieniędzy ani kosztowności. Z chwilą gdy upadła hipoteza o szpiegostwie, stało się dla mnie jasne, że list został skradziony tylko dlatego, iż był gruby i duży. Przestępca liczył, że znajdzie tam coś bardzo wartościowego. Może spodziewał się znaleźć wewnątrz przesyłkę pieniężną? Kiedy rozerwał kopertę i zobaczył tylko papiery i rysunki, ze złości, nie namyślając się, co robi, podarł wszystko i wyrzucił przez okno. Starzy, doświadczeni kolejarze jeżdżący od lat po sąsiedzku z wagonem pocztowym i w ogóle ludzie pracujący dostatecznie długo na poczcie nie popełniliby tego błędu. Listy dworcowe by ich nie interesowały. Wiedzieliby bowiem dobrze, że tam nie ma nic, co warto ukraść.

- Pocztowcy tak, ale nie kolejarze.

- Również kolejarze z dużym stażem jazdy w brankardach. Nie darmo stare polskie przysłowie mówi: „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi”. Natomiast otworzenie i podarcie listu dworcowego znakomicie pasowało do jednego tylko człowieka. Właśnie do Karola Olszaka. Pracował on na poczcie zaledwie osiem miesięcy. Przedtem, nim zaczął jeździć ambulansem, w ogóle nie miał nigdy do czynienia z listami dworcowymi. Jeździł po Katowicach samochodem Łączności i opróżniał z listów skrzynki pocztowe. Do pracy w ambulansie skierowano go dopiero po przeniesieniu do Warszawy. Tylko Olszak z całej trójki pocztowców i z dwójki kolejarzy mógł nie wiedzieć, że list dworcowy i przesyłka wartościowa to dwie całkiem różne rzeczy. Także reakcja na zawód, jaki spotkał złodzieja - podarcie dokumentów - jest charakterystyczna dla tego właśnie człowieka. Nie zapominajmy, że miał on dwie sprawy o udział w bójkach. W jego opinii służbowej figuruje uwaga: „porywczy, kłótniwy”.

- To chyba jeszcze za mało, żeby oskarżać Olszaka?

- Naturalnie, że za mało, aby oskarżać, ale dostatecznie wiele, żeby zwrócić na niego uwagę. Pewności nabrałem dopiero wówczas, gdy powiedzieliście mi o swoich wątpliwościach dotyczących czwartej butelki piwa.

- Nadal nie rozumiem, jakie to miało znaczenie.

- To przecież jasne. Gdyby były tylko trzy butelki piwa, a Więc ta ilość, jaką dostarczyli do wagonu wózkarz i konwojent, byłby to dowód, że przestępcy należy szukać wśród ludzi spoza obsługi ambulansu. Czwarta butelka wyraźnie wskazywała, że złodziejem jest jeden z pocztowców.

- Dlaczego?

- Wszyscy trzej pocztowcy zeznali, że usiedli przy stole i wypili razem piwo. Każdy wypił jedną butelkę. A potem znaleziono cztery butelki! A więc jeden z tych ludzi, nazwijmy go na razie „panem X”, okłamał. Wypił dwie butelki. Wiemy z analizy Instytutu Kryminalistyki, że jedna butelka zawierała zwykłe piwo, druga zaś napój usypiający. Powstaje pytanie, w jakiej kolejności nasz X wypił te dwie flaszki? Znowu logika każe nam przyjąć, że najpierw wypił butelkę ze zwykłym piwem, a dopiero później płyn z rozpuszczonym w nim phanodormium. Gdyby było odwrotnie i ten tajemniczy pan X wypiłby przedtem napój usypiający, to usnąłby jednocześnie ze swoimi kolegami. A tak nie był naprawdę senny, tylko udawał ogarniający go bezwład. Odczekał, aż jego towarzysze zasnęli na dobre, wstał, wyjął z kieszeni marynarki Bagińskiego klucz od pomieszczenia z paczkami

wartościowymi, otworzył to pomieszczenie i wziął stamtąd dwie najbardziej cenne przesyłki. Nie wziął ich więcej, bo z góry uplanowany schowek był niewielki i paczki o większych rozmiarach nie zmieściłyby się w nim. Przesłupca otworzył wówczas list dworcowy, który uprzednio zwrócił jego uwagę - i ten moment także kieruje podejrzenie w stronę Karola Olszaka. To właśnie tylko przez jego ręce przechodziły tego wieczora wszystkie listy dworcowe. Bagiński ani Mazurek nie tknęli tej roboty.

- A dalej?

- Dalej przestępca, nasz pan X, schował swoje łupy pod okno i starannie przykręcił śruby przytrzymujące klapę. Następnie wyjął z ukrycia czwartą butelkę piwa, wypił ją i ułożył się w wygodnej pozycji, czekając na działanie phanodormium. Tu też mamy pewną wskazówkę. Jedna z trzech butelek, zawierająca ślady środka usypiającego, była opróżniona tylko w dwu trzecich. Złodziej nie wiedział, jak silnie działającą miksturę skomponował, i bał się ryzykować. Dlatego też wypił tylko część płynu. A świadectwo lekarskie ze Szpitala Wojewódzkiego w Łodzi mówi, że Karol Olszak obudził się o osiem godzin wcześniej od swoich kolegów i że koncentracja narkotyku w jego krwi była znacznie mniejsza niż u pozostałych dwóch pocztowców.

- Z tych wszystkich drobnych podejrzeń pan major zbudował bezbłędną teorię, wyraźnie wskazującą sprawcę kradzieży. - Podporucznik wpatrywał się w Szpotańskiego jak urzeczony.

- Z pojedynczych cegiełek buduje się największe gmachy - roześmiał się major. - Co prawda obawiam się, że to porównanie nieco się zdezaktualizowało, bo obecnie duże gmachy buduje się z wielkich płyt. Ale ma pan rację, poruczniku. Te pozornie drobne poszlaki w sumie stanowiły poważny dowód. Nie wymieniłem tu - wszystkiego. Nie bez znaczenia były świadectwa pracy. Obecnie mam też dane z Rejestru Skazanych. Okazuje się, że Mazurek i Bagiński nie są tam notowani. Olszak zaś aż trzykrotnie. Dwa razy za bójki i raz za kradzież z włamaniem. W swoim życiorysie, złożonym przy przyjmowaniu do pracy na poczcie, Olszak ukrył te fakty, a nawet sfałszował świadectwa z poprzednich miejsc pracy. Tylko dzięki temu udało mu się otrzymać posadę na poczcie, gdzie przecież przyjmuje się ludzi o nieposzlakowanej uczciwości i gdzie wszelkiego rodzaju przestępstwa zdarzają się niesłychanie rzadko. Ta afera stanowi smutny wyjątek.

- Więc pan, panie majorze, od początku podejrzewał Olszaka?

- Nie. Ja również początkowo zasugerowałem się hipotezą, że mamy do czynienia z aferą szpiegowską. Później szukałem winnego wśród ludzi, którzy wchodzili do wagonu pocztowego. To, że prawdziwy złodziej leżał w ambulansie nieprzytomny, razem ze swoimi ofiarami, było doskonałym kamuflażem i kierowało śledztwo w zupełnie innym kierunku. Dopiero po przesłuchaniu wózkarza i ujawnieniu faktu, że piwo dostarczali do ambulansu dwaj ludzie, zaczęły się we mnie budzić pierwsze wątpliwości. Ale i wówczas przypuszczałem raczej, że sprawcą jest Mazurek. Nie należał do załogi ambulansu, był inicjatorem picia piwa, sam się o nie starał. Poza tym miał teczkę - aktówkę, w której mógł niepostrzeżenie przynieść zatrute piwo do wagonu. Okazji zamiany butelek Mazurkowi nie brakowało, zresztą jak i pozostałym pocztowcom. Za Mazurkiem przemawiały jednak dwa bezsporne fakty: po pierwsze to nie on przyniósł piwo do wagonu, zrobił to wózkarz. Gdyby listonosz był sprawcą kradzieży, po prostu od razu zaopatrzyłby się w trzy butelki, a czwartą ukryłby w teczce.

- Ten argument nie bardzo mnie przekonuje - odpowiedział podporucznik. - Mazurek mógł specjalnie tak wszystko zorganizować, żeby piwo było przyniesione do ambulansu przez kogo innego. W ten sposób odsuwał podejrzenia od swojej osoby.

- Brałem i to pod uwagę. Ale Mazurka bronią zeznania Bagińskiego. Przypomniawszy sobie, że przed ostateczną utratą przytomności usłyszał jakiś szmer, a gdy zdołał otworzyć oczy, listonosza nie było przy stole. Znalaziono go na podłodze. Przy upadku, jak stwierdził lekarz, potłukł się dotkliwie. Gdyby był złodziejem, to nawet pozorując upadek ze stołka postarałby się zrobić to bez szkody dla siebie. A poza tym skąd by Mazurek wytrzasnął piwo „Żywieckie”. To jest argument, który broni wszystkich warszawiaków.

- A Olszaka?

- Olszaka właśnie obciąża. Już raz dopytywał się pan o to” dlaczego przestępca użył właśnie „Żywca” do przyrządzenia środka nasennego. Po prostu dwa dni przed wypadkiem Olszak był w Katowicach. Wtedy kupienie „Żywieckiego” nie nastęrczało żadnych kłopotów. W Katowicach właśnie był w sprzedaży tylko „Żywiec” albo piwo z miejscowych browarów. Olszak, planując kradzież, nie mógł kupić piwa katowickiego czy też sosnowieckiego, bo to natychmiast by go zdradziło. Natomiast wiedział, że „Żywieckie” ma zasięg ogólnopolski, dlatego też wybrał właśnie tę markę. Miksturę usypiającą Olszak mógł sfabrykować tylko u siebie w domu, w Katowicach. Nie zapominajmy, że w Warszawie mieszkał w hotelu pracowniczym, a na Śląsku miał własny pokój. Na moją prośbę milicja katowicka ustaliła, że w tych dniach piwo „Żywieckie” sprzedawały między innymi „Delikatesy”. Olszak mieszkał w Katowicach na ulicy Kopernika. Idąc na dworzec, przechodził koło „Delikatesów”. Tam też zapewne zaopatrzył się w cztery flaszki piwa. Wprawdzie wypytywane ekspedientki nie przypominały sobie tego zakupu, ale z okazanego im zdjęcia poznały Olszaka jako stałego klienta.

- A jak pan doszedł, że pieniądze są schowane w ambulansie?

- Od początku brałem tę okoliczność pod uwagę. Złodziej, a mógł nim być przecież tylko jakiś kolejarz, konwojent lub któryś z pocztowców, musiał się liczyć z tym, że go ktoś zobaczy w chwili opuszczania ambulansu. Dla każdego z tych ludzi schowanie pieniędzy na miejscu w wagonie, gdzie ich nikt nie będzie próbował nawet szukać, było najwygodniejsze. Dlatego też kazałem wagon opieczętować, odstawić na boczny tor i poleciłem milicji z komisariatu kolejowego zwracać na ten ambulans dyskretną uwagę. Oczywiście była to wówczas tylko zawodowa ostrożność. Natomiast kiedy doszedłem do wniosku, że sprawcą kradzieży może być tylko jeden z pocztowców, wtedy byłem już pewien, że łup schowany jest w tym wagonie. Nieudana próba zerwania pieczęci i wtargnięcia do środka ambulansu jeszcze bardziej mnie w tym utwierdziła.

- Dlaczego więc nie zarządził pan dokładnej rewizji? Fachowcy odkryliby schowek bez najmniejszego trudu.

- Odnalezienie pieniędzy nie rozwiązywałoby sprawy. Przeciwnie, utrudniłoby niepomierne zdemaskowanie przestępcy. Wszystkie poszlaki obciążały Olszaka, ale były przecież tylko poszlakami. Wynik procesu poszlakowego jest zawsze wątpliwy. A wobec domniemania prawnego niewinności oskarżonego i wobec przepisów ustawy, każącej tłumaczyć wszelkie wątpliwości i

niejasności tylko na korzyść oskarżonego, kto wie, jak by się taki proces skończył. Przy zręcznej obronie Olszak mógłby się wykręcić niewielkim wymiarem kary, a nawet wyrokiem uniewinniającym z „braku dowodów”. Dlatego postanowiłem zdobyć ten dowód i zdopingować złodzieja do podjęcia następnej próby wyjęcia pieniędzy ze skrytki. W tym też wyłącznie celu zwołałem komisję i zorganizowałem wizję lokalną. Umówiliśmy się z przedstawicielem Dyrekcji Kolei, że oświadczy on głośno, w obecności wszystkich trzech pocztowców, o konieczności natychmiastowego przesłania zwolnionego przez nas ambulansu do warsztatów w ZNTK w Pile dla dokonania generalnego przeglądu. Złodziej wiedział, że podczas takiego przeglądu pracownicy warsztatów odkryją skrytkę i znajdą pieniądze. Musiał więc ich uprzedzić i sam zawładnąć swoją zdobyczą. Demonstracyjne zdjęcie posterunku milicji, który dotychczas czuwał przy ambulansie, było z mojej strony jeszcze jednym krokiem zachęcającym przestępcę do działania. Chciałem mieć dowód i złapać Olszaka na gorącym uczynku. Osiągnąłem to. Nie będzie procesu poszlakowego.

- Jeszcze jedno, panie majorze. Jak to było z mundurem Mazurka? Wszyscy pocztowcy, łącznie nawet z przestępcą, zeznają, że Mazurek siedział przy piwie bez munduru. A przecież znaleziono go leżącego na ziemi w mundurze. Również elektryk widział Mazurka tylko w koszuli. Niech mi pan to wytłumaczy.

- Nie wytłumaczę. Przyznam się, że podczas prowadzenia śledztwa, zwłaszcza w pierwszej jego fazie, zwracałem specjalną uwagę na ten fakt. Początkowo przypisywałem mu nawet decydujące znaczenie. Później okazało się, że nie ma to najmniejszego wpływu na bieg wypadków w ambulansie. Również dzisiaj nie mogę wyjaśnić, dlaczego Mazurka znaleziono w mundurze, chociaż tracąc przytomność nie miał go na sobie. Mogą tu być dwie hipotezy, obie jednak mają dużo niejasności. Pierwsza: Olszak dla jakichś nie znanych nam celów, może dla utrudnienia śledztwa, może dla obciążenia Mazurka dodatkowymi poszlakami, ubrał go w marynarkę. Może nawet chciał wyrzucić Mazurka z wagonu w biegu pociągu?

- Po co?

- Włożyłby mu do kieszeni jakąś paczkę wartościową. Było przecież tych paczek sporo. Gdyby milicja znalazła na torze kolejowym ciało, a przy nim tak cenny pakunek, podejrzenia skierowałyby się, być może, na biedną ofiarę. Nie oskarżam o taki zamiar Olszaka, bo nie mógłbym mu tego udowodnić. Powtarzam tylko, że tego rodzaju hipoteza ma pewną logiczną podbudowę.

- A druga?

- Druga także może wyjaśnić sprawę munduru, ale również ma poważne luki. Oto po prostu Mazurek, pokonując w pewnym momencie działanie narkotyku, odzyskał przytomność. Zerwał się z podłogi i sięgnął ręką po marynarkę. Z tego miejsca bez trudu mógł ją zdjąć z wieszaka. Może chciał włożyć mundur, żeby wyjść z wagonu i narobić alarmu. Jednakże narkotyk znowu wziął górę i biedny pocziarz ponownie runął na podłogę. A mogło być jeszcze inaczej; Mazurek, zamroczony phanodormium, jak lunatyk wstał, włożył mundur i znowu ułożył się do snu na podłodze. Obie hipotezy są naciągnięte, ale w inny sposób nie umiem sobie wytłumaczyć tego faktu. Jedyne rozwiązanie, który zna całą prawdę - Olszak - będzie milczał na ten temat, tak że nigdy się nie dowiemy, dlaczego starego listonosza znaleziono w pełnym uniformie. Ten problem zabił mi niemałego ćwieka. Dopiero kiedy przestałem się nim zajmować, zaczęło mi przychodzić do głowy właściwe rozwiązanie

zagadki. Jeśli to zrobił Olszak, żeby zamącić śledztwo, trzeba przyznać, miał doskonały pomysł.

- Dziwi mnie jednak bardzo - wtrącił z ożywieniem Adamczewski - że nie pomyślał o usunięciu z wagonu czwartej butelki po piwie, tej nie spreparowanej oczywiście. To był poważny błąd z jego strony. Widocznie nie doceniał drobiazgowości śledztwa, zresztą w ogóle niepotrzebnie używał aż czterech butelek piwa. Mógł posłużyć się tylko trzema - dworna zatrutemu i jedną zwykłą. A tak ustawić butelki, żeby on sam pił zwykłe piwo, dając innym zatruty napój. Później zaś wystarczyło tylko symulować utratę przytomności. Wtedy rozwiązanie zagadki byłoby znacznie trudniejsze.

- Znowu pan jest w błędzie, poruczniku. Gdybyśmy mieli od razu analizę stwierdzającą, że spośród trzech flaszek tylko dwie zawierały narkotyk, wniosek, że jeden z pocztowców jest złodziejem, byłby łatwy do wyciągnięcia nawet dla laika. Złodziej zdemaskowałby się natychmiast. Poza tym symulant byłby wykryty przez lekarzy przy stosowaniu zabiegów w szpitalu. Przede wszystkim przy płukaniu żołądka. Jedno z pierwszych pytań, jakie zadałem lekarzowi w Szpitalu Wojewódzkim w Łodzi, brzmiało: czy czasami któryś z pocztowców nie symuluje zatrucia. A poza tym istniało zawsze pewne ryzyko, że nie zatrute piwo wypije jednak ktoś inny. Przesłanek wolał działać na pewniaka. Na stole stały trzy butelki z narkotykiem. Po ich otwarciu Olszak odszedł na chwilę od stolika, trzymając swoją butelkę w ręku, i szybko ją zamienił na inną, zawczasu przygotowaną. W ten sposób miał pewność, że jego dwaj towarzysze piją napój nasenny. A samozatrucie się narkotykiem było znakomitą sposobem odsunięcia od siebie wszystkich podejrzeń. Przynajmniej tak się zdawało amatorowi cudzych pieniędzy.

- Jeden z kolejarzy, bodaj Leszczyk, wspominał, że Olszak ma znajomości w Katowicach w jakiejś aptece i stamtąd przywiózł rzadki lek dla jego dziecka. Trzeba sprawdzić, czy phanodormium użyte do zatrucia piwa kupił przestępca w tej aptece.

- Wątpię, czy Olszak zdradzi swój „farmaceutyczny kanał”, niemniej można polecić milicji katowickiej, aby drogą wywiadu spróbowała wyświecić i tę sprawę. Teraz te wszystkie zagadnienia mają raczej drugorzędne znaczenie, gdyż złodziej sam się zdemaskował. Przedtem skwapliwie zbierałem najdrobniejsze nawet poszlaki, licząc się z procesem poszlakowym. Na przykład ustaliłem, że katowickie „Delikatesy” używają tego rodzaju toreb jak ta, którą znaleźliśmy w śmietniczce ambulansu. Natomiast sklepy warszawskie mają inne torby. W połączeniu z informacją, że piwo „Żywieckie” sprzedawano wówczas w Katowicach, a nie było go w Warszawie, uzyskałem poważną poszlakę, że w tej „właśnie torbie znajdował się „Żywiec”. Ze wszystkich podejrzanych jedynie Olszak na krótko przed wypadkiem odwiedzał Katowice, gdzie przecież stale mieszka. Z tego powodu spóźnił się nawet do pracy. A więc tylko on mógł kupić tam cztery butelki piwa. Wiedział dobrze, że przy następnym kursie w stronę granicy czechosłowackiej pojedzie w ambulansie trzeci pasażer - Mazurek. Listonosz już wcześniej omówił sprawę zabrania go do Katowic ze swoim przyjacielem Bagińskim. Przesłanek postanowił wykorzystać tę okazję.

- Teraz, kiedy pan major odtworzył szczegółowo przebieg wydarzeń, sprawa jest dla mnie jasna. Ale sam nigdy bym do tego nie doszedł.

- Nie trzeba przesadzać. Będzie pan miał nieraz do rozwiązania bardziej skomplikowane problemy i da pan sobie z nimi radę. Jeszcze tylko trochę doświadczeń, rutyny i cierpliwości.

- A co dalej z naszą sprawą?

- Dla nas ona już się skończyła. Prześlę ją dzisiaj prokuratorowi. Na zlecenie prokuratury właściwe organa MO wykonają jeszcze różne czynności uzupełniające śledztwo. Ale nas już to nie będzie obchodziło. My sobie trochę odpoczniemy po tych wszystkich emocjach. Sprawiedliwie nam się to należy.